

Powieść inspirowana Szekspirem

BURZA



Czarci pomiot

**MARGARET
ATWOOD**



projekt
SZEKSPIR

współcześni uznani autorzy
dramaturg wszech czasów
uniwersalne historie opowiedziane na nowo

Z okazji przypadającej w 2016 roku 400. rocznicy śmierci Williama Szekspira brytyjski wydawca Hogarth Press zaprosił do współpracy bestsellerowych pisarzy. Powierzył im opowiedzenie na nowo najbardziej znanych dzieł wielkiego dramaturga. Owocem ich pracy i talentów literackich jest seria współczesnych powieści, które są wydawane w kilkunastu językach na całym świecie. W Polsce książki ukazują się w kolekcji PROJEKT SZEKSPIR.

- ZIMOWA OPOWIEŚĆ • Jeanette Winterson
- KUPIEC WENECKI • Howard Jacobson
- POSKROMIENIE ZŁOŚNICY • Anne Tyler
- BURZA • Margaret Atwood
- MAKBET • Jo Nesbø
- OTELLO • Tracy Chevalier
- HAMLET • Gillian Flynn

MARGARET ATWOOD

CZARCI
POMIOT

Burza Szekspira
opowiedziana na nowo

Przełożył z angielskiego
Łukasz Witczak



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2016

Tytuł oryginału
Hag-Seed. The Tempest Retold

Fotografia na okładce
© macau/Fotolia

Ilustracja na wyklejce
© Clare Curtis

Projekt okładki
ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Redakcja
BARBARA MAJEWSKA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
ADAM KOLENDA

Copyright © Margaret Atwood 2016
First published as *Hag-Seed. The Tempest Retold* by Hogarth

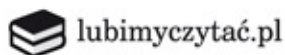
Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-271-5642-6

Patronat



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

PROLOG

I. CZELUŚĆ MINIONEGO CZASU

1. Na brzegu
2. Czarów mych potęga
3. Uzurpator
4. Szaty
5. Władca chatynki lichej
6. Śród samotnej wyspy
7. Wiedza tajemna
8. Sprowadź tu hołotę
9. Oczy jak perły

II. KRÓLESTWO W SAM RAZ

10. Gwiazda pomyślności
11. Pomniejsze duchy
12. Wyspa nieprzystępna
13. Feliks przemawia do aktorów
14. Pierwsze zadanie: przekleństwa
15. O cudzie!
16. Niewidzialny dla każdej żrenicy
17. Wyspa dźwięczy, szemrze, gada
18. To moja wyspa
19. Strasznie durny potwór

III. AKTORZY MOI

20. Zadanie drugie: więźniowie i więzienia
21. Gnomy Prospera
22. Osoby dramatu
23. Godna admiracji Mirando
24. Co nastąpi teraz
25. Zły brat Antonio

26. Czarodziejskim sposobem
27. Która nie wiesz, kim jesteś
28. Czarci pomiot
29. Przybywaj

IV. TOPORNA MAGIA

30. Próbką mojej sztuki
31. Łaskawa Fortuna, dziś mi przychylna
32. Feliks przemawia do goblinów
33. Dziś chwila nadeszła
34. Burza
35. Drogocenny, dziwny cud
36. Istny labirynt
37. Czary nie słabną
38. Ani zmarszczki gniewu więcej
39. Wesoło się żyje, wesoło

V. TA MRO CZNA STWORA

40. Ostatnie zadanie
41. Drużyna Ariela
42. Drużyna Antonia
43. Drużyna Mirandy
44. Drużyna Gonzala
45. Drużyna Kalibana
46. Nasze zabawy
47. Skończone

Epilog

Burza: streszczenie oryginału

Podziękowania

Źródła cytatów

*Pamięci czarodzieja Richarda Bradshawa (1944–2007)
i czarodziejki Gwendolyn MacEwen (1941–1987)*



To jest pewne, że człowiek, co knuje zemstę,
zachowuje świeże swe rany, które w przeciwnym razie
zagoiłyby się i zarosły.

Francis Bacon, *O zemście*, tłum. Czesław Znamierowski

Choć na scenie wielu jest ludzi miłych,
są i tacy, którzy jeżą włos na głowie.

Charles Dickens

O, wiele

Musi być jeszcze innych kwietnych wysp
Na morzu Życia naszego i Męki!
Wiele łaskawych duchów się unosi
Nad tą otchłanią.

Percy Bysshe Shelley, *Wiersze napisane wśród eugenejskich wzgórz*,
tłum. Zygmunt Kubiak

PROLOG

SEANS

Środa, 13 marca 2013 roku

Światła gasną. Widownia cichnie.

NA DUŻYM EKRANIE PLAZMOWYM: *Poszarpane litery na czarnym tle:*

BURZA

według Williama Shakespeare'a

z udziałem

Trupy Teatralnej Zakładu Karnego we Fletcher

NA EKRANIE: *Narrator w krótkiej fioletowej pelerynie, w jednej ręce trzyma gęsie pióro, w drugiej – sztywną kartkę z odręcznym napisem, którą unosi w stronę kamery.*

NAPIS NA KARTCE: NAGŁA BURZA

NARRATOR: Za chwilę na morzu rozpęta się sztorm:
Słysząc wichru wściekłe wycie, marynarze klną obficie,
Dra się w głos pasażerowie, cali drżą o swoje zdrowie:
Będzie dużo mocnych wrażeń, wrzaski jak w sennym koszmarze,
Lecz co jest prawdą, a co ściemą?
Z tym was zostawiam.

Uśmiecha się.

Już mnie tu nie ma.

*Robi gest piórem. Cięcie. Błyskawica rozświetla ciężką burzową chmurę.
Urywki z kanału meteorologicznego. Zdjęcie morskich fal. Zdjęcie
deszczu. Odgłosy wichury.
Najazd kamery na jacht-zabawkę na tle rozfalowanej zastłony
prysznicowej w ryby, poruszanej od spodu przez niewidoczne dłonie.
Zbliżenie na bosmana w czarnej czapce. Spoza kadru chlusta w niego
woda. Jest do cna przemoknięty.*

BOSMAN: Żwawo, bo się roztrzaskamy!
Dalej, odwagi!
Postawić żagle!
Ruszać się, zuchy!
Nie dajmy tej burzy
się zanurzyć!

GŁOSY SPOZA KADRU: Utoniemy!
BOSMAN: Z drogi! Nie włączyć mi pod nogi!

Chlust! Strumień wody spoza kadru trafia go w twarz.

GŁOS SPOZA KADRU: Hola! Uważaj, co mówisz, draniu!
Masz tu przed sobą wielmożnych panów!

BOSMAN: Fale nie dbają o to wcale!
My tu z wichurą walczymy o życie,
A wy stoicie i się gapicie!

GŁOS SPOZA KADRU: Pijak!

BOSMAN: Kretyn!

GŁOS SPOZA KADRU: Już po nas!

GŁOS SPOZA KADRU: Rety!

Zbliżenie na Ariela w błękitnym czepku kąpielowym i opalizujących goglach narciarskich, z dolną połową twarzy pomalowaną na niebiesko. Ubrany jest w półprzezroczysty plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy w biedronki, pszczoły i motyle. Za jego lewym ramieniem widać dziwny cień. Ariel śmieje się bezgłośnie, unosi prawą dłoń w niebieskiej gumowej rękawiczce. Błysk, grzmot.

GŁOS SPOZA KADRU: Do modlitwy!

BOSMAN: Tonący chwyta się brzytwy.

GŁOSY SPOZA KADRU: Zaraz nas na dno pośle wichura!

Nie zobaczymy już naszego króla!

Skaczcie za burtę, płyncie do brzegu!

Ariel odrzuca głowę do tyłu i śmieje się uradowany. W rękach trzyma dwie szybko migoczące latarki o dużej mocy. Ekran ciemnieje.

GŁOS Z WIDOWNI: Co jest?

INNY GŁOS: Wysiadło zasilanie.

INNY GŁOS: To pewnie burza śnieżna. Musiało zerwać linię.

Ciemno jak w grobie. Hałas na korytarzu. Krzyki. Wystrzały.

GŁOS Z WIDOWNI: Co się dzieje?

GŁOSY Z KORYTARZA: Alarm! Alarm!

GŁOS Z WIDOWNI: Kto tu dowodzi?

Trzy kolejne strzały.

GŁOS Z SALI: Nie ruszać się! Spokój! Wszyscy zostają na swoich miejscach!

I

CZELUŚĆ MINIONEGO CZASU^[1]

1

Na brzegu

Poniedziałek, 7 stycznia 2013 roku



Felix myje zęby. Najpierw jedno, a potem drugie, te sztuczne, które następnie wsuwa sobie do ust. Choć nałożył warstwę różowego kleju, nie siedzą tak, jak powinny. Może usta mu się kurczą? Uśmiecha się: jego uśmiech to iluzja. Pozór, udawanie, lecz kto by się domyślił?

Dawniej zadzwoniłby do dentysty i umówił się na wizytę. Komfortowy fotel obity skajem, troskliwa twarz o miętowym oddechu, lśniąca narzędzia w sprawnych dłoniach. *Ach, tak, już wszystko widzę. Proszę się nie martwić, zaraz poprawimy.* Coś jak szybki przegląd samochodu u mechanika. Przy odrobinie szczęścia dostałby nawet słuchawki z muzyką i środek na uspokojenie.

Ale teraz nie stać go na tak profesjonalne zabiegi. Przysługuje mu tylko podstawowa opieka dentystyczna i dlatego jest zdany na łaskę i niełaskę swoich kapryśnych zębów. Niedobrze, jeszcze tego mu trzeba przed zbliżającym się występem: awarii protezy. *Nase zabawy skońcone. Aktozy...* To by dopełniło miary jego upokorzenia; nawet płuca oblewają mu się szkarłatem na samą myśl. Gdy słowa nie wybrzmiewają jak powinny, bez fałszu, z subtelnymi modulacjami, czar pryska. Widzowie zaczynają się wiercić, pokaszają, w antrakcie opuszczają teatr. To prawie jak śmierć.

– Ma me mi mo mu – mówi do upstrzonego pastą lustra nad kuchennym zlewem. Ściąga brwi, wysuwa podbródek. Wyszczera zęby niczym osaczony szympan, jednocześnie groźny, wściekły i zrozpaczony.

Ależ nisko upadł. Co za poniżenie. Zapomniany przez wszystkich, żyje w norze na odludziu, bez jakichkolwiek wygód, podczas gdy Tony, ten obłudny gnojek i karierowicz, baluje z baronami, żłopie szampana, objada się kawiozem, językami skowronków i mlecznymi prosiętami, chadza na gale i pławi się w uwielbieniu swojej świty, oddanych fagasów...

Którzy kiedyś byli fagasami Feliksa.

Ach, jak to boli, swędzi i piecze. Przyprawia o mściwość. Gdyby tak...

Dość. Wyprostuj się, rozkazuje swojemu szaremu odbiciu. Wciągnij brzuch. Nawet bez patrzenia wie, że rośnie mu brzuszek. Może powinien sobie kupić pas wyszczuplający?

Mniejsza o to! Trzeba działać, spisek nie uknuje się sam, łotrzy sami nie wywiodą się w pole! Trzy pstre przepióreczki. W czasie suszy szosa sucha. Brzmią burzowe grzmoty.

Proszę. Ani jednego potknięcia.

Jeszcze nie jest z nim tak źle. Dopnie celu wbrew przeciwnościom. Z początku będą urzeczeni. Zaczaruje ich, jak mawia do swoich aktorów. Niech widz poczuje prawdziwą magię!

A ten szubrawiec i kanalia Tony niech się nią udławi.

Czarów mych potęga^[2]



Ten szubrawiec i kanalia, Tony – to przede wszystkim jego wina. Od dwunastu lat Feliks wyrzuca sobie błędy, które popełnił. Niepotrzebnie przekazał Tony’emu tyle kompetencji, za słabo go pilnował, nie zaglądał mu przez watowane ramię eleganckiego garnituru w prążki. Zignorował sygnały ostrzegawcze, dość oczywiste, zdawałoby się, dla każdego, kto ma mózg i parę uszu. Gorzej: ufał temu podłemu wazeliniarzowi o makiawelicznej duszy. Dał się nabrać na stary trik: „Pozwól mi zrobić to za ciebie, ja cię odciążę, zostaw to mnie”. Ależ był głupi.

Na swoje usprawiedliwienie ma tylko to, że był wtedy pogrążony w głębokim żalu. Dopiero co stracił jedyne dziecko, i to w jakich okolicznościach... Gdyby postąpił inaczej, zrobił to i to, nie zrobił tego i tego, gdyby prędzej się zorientował...

Nie, to wciąż zbyt bolesne. Nie myśl o tym, mówi sobie, zapinając guziki koszuli. Odsuń to od siebie jak najdalej. Jakby to był film.

Lecz nawet gdyby to, o czym nie wolno mu było myśleć, wcale się nie zdarzyło, pewnie i tak dałby się zaskoczyć. Przywykł, że przyziemnymi sprawami związanymi z organizacją przedstawień zajmuje się Tony, w końcu on, Feliks, był dyrektorem artystycznym, o czym Tony nieustannie mu przypominał, i to dyrektorem u szczytu swoich możliwości twórczych, jak zgodnie twierdzili recenzenci, a skoro tak, to powinny go zaprzętać wyższe cele.

I rzeczywiście go zaprzętały. Pragnął tworzyć najwspanialsze, najpiękniejsze, najmyślniejsze, najbardziej niezwykle widowiska teatralne w historii. Podnieść poprzeczkę naprawdę wysoko. Uczynić każdą inscenizację niezapomnianym doświadczeniem. Przyprawiać o zbiorowy dreszcz i zbiorowe westchnienie widzów, którzy opuszczając salę po spektaklu, będą się lekko zataczali, jak pijani. Uczynić Makeshiweg Festival miarą, punktem odniesienia dla wszystkich innych pomniejszych festiwali teatralnych.

Były to bardzo ambitne cele.

Aby je zrealizować, Feliks skompletował najzdolniejszy zespół, na jaki było go stać. Zatrudniał najlepszych fachowców, którzy pod jego okiem dawali z siebie wszystko. Sam dobierał techników, oświetleniowców i dźwiękowców. Ściągnął najbardziej uznanych scenografów i kostiumologów – tych, których udało mu się przekonać. Wszyscy musieli być specjalistami najwyższej klasy.

I dlatego potrzebował pieniędzy.

Ich zdobywanie to była rola Tony'ego. Pomniejsza rola, gdyż pieniądze stanowiły jedynie środek do celu, jakim była transcendencja – obaj to rozumieli. Feliks: czarodziej na obłoku. Tony: twardo stąpający po ziemi pomagier i liczykrupa. Taki podział obowiązków wydawał się odpowiadać ich talentom. Jak to ujął sam Tony, każdy powinien robić to, w czym jest dobry.

Idioto, łaje się Feliks. Jak mało rozumiał z tego, co się dzieje. A co do szczytu jego możliwości – na szczycie zawsze należy być szczególnie ostrożnym. Ze szczytu jedyna droga wiedzie w dół.

Tony zbyt skwapliwie uwalniał Feliksa od zniechęconych przez niego rytuałów: chodził na rauty, nadszakał sponsorom i patronom, przymilał się do zarządu, załatwiał granty od władz na różnych szczeblach, pisał przekonujące sprawozdania. Dzięki temu – jak twierdził – Feliks mógł się bez reszty poświęcić sprawom najważniejszym: sporządzać przenikliwe komentarze do tekstów, eksperymentować z nowatorskimi koncepcjami oświetlenia i drobniawo planować deszcze brokatowego konfetti, z którego umiał robić genialny użytek.

No i, rzecz jasna, reżyserować. W każdym sezonie umieszczał w repertuarze jedną lub dwie sztuki we własnej reżyserii. Niekiedy obsadzał się nawet w głównej roli, o ile czuł, że to coś dla niego. Juliusz Cezar. Król Szkocji. Lear. Andronikus. Każda z tych kreacji była jego triumfem! Podobnie zresztą jak każda produkcja.

Tak przynajmniej uważali krytycy, choć wśród widzów, a nawet wśród mecenasów zdarzały się narzekania. Scena z półnagą i obficie broczącą krwią Lawinią w *Tytusie Andronikusie* była zdaniem wielu zbyt drastyczna, choć, jak Feliks wielokrotnie podkreślał, miała uzasadnienie w tekście. A dlaczego w inscenizacji *Peryklesa* zamiast żaglowców i obcych krain pojawiają się statki kosmiczne oraz istoty pozaziemskie, a księżycowa bogini Artemida ma głowę modliszki? Przecież – jak wyjaśniał Feliks, tłumacząc się przed członkami zarządu – to wszystko miało głęboki sens, jeśli się nad tym zastanowić. No i zmartwychwstanie Hermiony pod postacią wampirzycy

w *Opowieści zimowej*, wręcz wybuchane przez część widzów. Felix był zachwycony: co za efekt! Czy ktokolwiek przed nim odważył się na coś takiego? Tam, gdzie buczą, tam jest życie!

Te brawurowe popisy, ekscesy, triumfy wyobraźni narodziły się w głowie dawnego Feliksa. Przebijała z nich euforia, nieokiełznana życiowa radość. Na krótko przed puczem Tony'ego wszystko się jednak zmieniło. Zapadł mrok – i zapadł zniecka. *O wyjcie, wyjcie!*^[3]

Lecz nie był w stanie wyć.

Najpierw odeszła jego żona, Nadia, zaledwie w rok po ślubie. Felix ożenił się niemłodo i dość niespodziewanie: sam się zdziwił, że jest zdolny do tego rodzaju miłości. Zanim zdążył przekonać się o wszystkich zaletach jej charakteru, naprawdę ją poznać, zmarła wskutek ostrego zakażenia gronkowcem tuż po urodzeniu dziecka. Mimo postępu w medycynie takie rzeczy się zdarzają. Felix często jeszcze próbuje przywołać jej obraz, ożywić ją w swojej pamięci, lecz po tylu latach prawie całkiem znikła, wyblakła niczym stare zdjęcie z polaroidu. Został kontur, który Felix wypełnia swoim smutkiem.

Zostali więc sami, on i nowo narodzona córka. Na imię dał jej Miranda – bo jak inaczej miałyby nazwać półsierotę, oczko w głowie ojca w średnim wieku? To dzięki niej jego świat całkiem się nie rozsypał. Wziął się mocno w garść – w każdym razie najmocniej, jak umiał – i jakoś dał sobie radę. Oczywiście musiał zatrudnić pomoc – potrzebował w domu kobiecej ręki, bo nie miał bladego pojęcia o praktycznych aspektach opieki nad niemowlęciem, a zresztą i tak nie zdołałby jej pogodzić z pracą. Starał się jednak spędzać z córką każdą wolną chwilę. Inna sprawa, że nie miał ich zbyt wiele.

Od początku zawróciła mu w głowie. Zawisał nad nią rozanielony. Jaka ona rozkoszna! Te palce, te oczy, wszystko takie doskonałe! Gdy zaczęła mówić, zabierał ją nawet do teatru; taka była pojętna. Siedziała grzecznie i chłoneła spektakl, nie wierciła się znudzona, jak robiłyby to na jej miejscu inne, zwykłe dwulatki. Miał wspaniałe plany: chciał z nią podróżować, gdy trochę podrośnie, pokazać jej świat, nauczyć mnóstwa różnych rzeczy. Lecz niedługo po jej trzecich urodzinach...

Wysoka gorączka. Zapalenie opon mózgowych. Kobiety opiekujące się Mirandą nie wiedziały, co robić, usiłowały się z nim skontaktować, ale w teatrze trwała próba, a Felix wyraził się jasno: pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. W końcu wrócił do domu i zaraz potem, ze łzami w oczach, pomknął z córką do szpitala – jednak było za późno.

Lekarze próbowali wszystkiego: wykorzystali cały swój arsenał komunałów i usprawiedliwień. Nic jednak nie pomogło i Miranda zgasła. Czy przeniosła się do wieczności, jak mawiano kiedyś? Nie mogła przecież całkiem zniknąć ze wszechświata. Nie wierzył w to.

Lawinia, Julia, Kordelia, Perdita, Marina. Utracone córki, z których część się odnalazła. Dlaczego nie jego Miranda?

* * *

Co począć z takim smutkiem? Był jak ogromna czarna chmura nad horyzontem. Nie, jak śnieżna zamieć. Nie, tego się w ogóle nie da wyrazić słowami! Aby móc z nim żyć, musiał coś z nim zrobić, jakoś go okiełznać.

Gdy rozczulająco mała trumienka spoczęła w grobie, jeszcze tego samego dnia pograżył się w lekturze *Burzy*. Była to ucieczka, nawet wtedy zdawał sobie z tego sprawę, ale jednocześnie myślał o tym, jak o czymś w rodzaju reinkarnacji.

Miranda będzie córką, którą udało się ocalić; opiekuńczym aniołem, który dodawał otuchy wygnanemu ojcu w przeciekającej łodzi na ciemnym morzu; dzieckiem, które nie tylko nie umarło, ale wyrosło na piękną dziewczynę. To, co nie ziściło się w życiu, mogło jeszcze znaleźć odbicie, choćby ulotne, w jego sztuce.

Dla tej odrodzonej Mirandy, ożywionej siłą jego woli, zamierzał stworzyć godną scenerię. Przejść samego siebie jako aktor i reżyser. Wspiąć się na wyżyny nowatorstwa, rozgiąć sztywne ramy rzeczywistości. Było w tamtych jego staraniach coś gorączkowego i rozpaczliwego, ale czyż rozpacz nie leży u źródeł każdego wybitnego dzieła? Czyż nie jest ono zawsze wyzwaniem rzuconym Śmierci? Butnym środkowym palcem na skraju otchłani?

Postanowił, że jego Ariela zagra transwestyta na szrudłach, który w kluczowych momentach będzie się przeistaczał w olbrzymiego świetlika. Kalibanem będzie u niego kostropaty bezdomny – czarnoskóry albo aborygen – sparaliżowany od pasa w dół, poruszający się po scenie na wielkiej deskorolce. Stefano i Trynkulo? Nie przemyślał ich do końca, na pewno jednak zamierzał wprowadzić meloniki i saczki na genitalia. Oraz żonglowanie: Trynkulo mógłby żonglować czymś znalezionym na plaży, na przykład kalmarami.

Jego Miranda miała być cudowna. Dzika, ma się rozumieć – w końcu była rozbitkiem i przez dwanaście lat biegała po wyspie, najpewniej boso, bo skąd by wzięła buty? Musiała mieć podeszwy jak sandały.

Po wyczerpujących poszukiwaniach i odrzuceniu wielu młodych i ładnych kandydatek jego wybór padł na byłą gimnastyczkę, zdobywczynię srebra na mistrzostwach Ameryki Północnej w gimnastyce dziecięcej i uczennicę National Theatre School: silną i gibką dziewczynę u progu kobiecości. Nazywała się Anne-Marie Greenland. Niedawno skończyła szesnaście lat, miała w sobie zapał i energię. Dopiero zaczynała przygodę z teatrem, ale Felix czuł, że jest w stanie wykrzesać z niej to, na czym mu zależy. Jej gra będzie tak świeża, że nie będzie grą, lecz rzeczywistością. Za jej sprawą jego Miranda powróci do świata żywych.

Sam Felix zamierzał wcielić się w Prospera, jej kochającego ojca. Opiekuńczego – być może nadopiekuńczego, ale wyłącznie przez wzgląd

na jej dobro. I mądrego; mądrzejszego niż Felix. Choć nawet mądry Prospero głupio ufał ludziom i zbyt skupiał się na doskonaleniu swoich umiejętności czarodziejskich.

Magiczna szata Prospera miała być uszyta ze skór zwierząt, ale nie z prawdziwych ani nawet przypominających prawdziwe, tylko z wypatroszonych i pozszywanych pluszaków: wiewiórek, królików, lwów, paru niedźwiadków i czegoś na kształt tygrysa. Zwierzęta te miały ewokować pierwotny charakter nadnaturalnych i zarazem naturalnych mocy Prospera. Poza tym Felix zamówił trochę sztucznych liści, malowanych farbą w sprayu złotych kwiatów i jaskrawo barwionych piór, które zamierzał powtykać między zwierzęce futerka, by przydać szacie efektowności oraz głębi znaczeniowej. Laskę Prospera znalazł w antykwariacie: była to elegancka edwardiańska laseczka zwieńczona srebrną głową lisa o, jak mu się zdawało, nefrytowych oczach. Jak na czarodziejską trochę przykrótka, lecz Felix lubił mieszać ekscentryzm z niedopowiedzeniem. Taki starczy rekwizyt mógł w pewnych momentach nabierać ironicznej wymowy. W epilogu Prospero miał przemawiać w blasku zachodzącego słońca, oprószony padającym jak śnieg brokatowym konfetti.

Wyobrażał sobie *Burzę* jako spektakl genialny, najlepszy w całej swojej karierze. Miał na jego punkcie – teraz to dostrzega – niezdrową obsesję. Był dla niego jak Tadź Mahal, ozdobne mauzoleum na pamiątkę ukochanego cienia, albo jak beczenna, wysadzana klejnotami urna kryjąca prochy. A zarazem czymś więcej, bo w tej bańce, którą zamierzał wyczarować, Miranda byłaby żywa.

Tym bardziej więc cierpiał, kiedy wszystko się zawaliło.

3

Uzurpator



Tony odkrył karty tuż przed rozpoczęciem prób. Po dwunastu latach Felix wciąż pamięta tamtą rozmowę co do sylaby.

Zaczęła się całkiem normalnie. Jak w każde wtorkowe popołudnie Felix spotkał się z Tonym, by przedstawić mu listę rzeczy do załatwienia. Tony z kolei zdawał mu przy okazji raport z bieżących spraw, które wymagały jego decyzji lub podpisu. Zwykle było ich niewiele, ponieważ Tony działał bardzo sprawnie i zadbał już o wszystko, co najważniejsze.

– Załatwmy to raz dwa – zaczął Felix, jak to miał w zwyczaju. Z niesmakiem odnotował deseń w żółwie i zające na krawacie Tony’ego, mający zapewne świadczyć o poczuciu humoru. Tony zdradzał coraz bardziej dandysowate upodobanie do kosztownych drobiazgów. – Oto moja lista na dziś: po pierwsze, musimy znaleźć nowego człowieka od światła, bo nie jestem zadowolony z tego, którego mamy. Po drugie, czarodziejska szata. Będziemy potrzebowali...

– Obawiam się, Feliksie, że mam dla ciebie złe wieści – oznajmił Tony. Miał na sobie nowiutki elegancki garnitur, co zwykle oznaczało, że był na posiedzeniu zarządu. Felix prawie zawsze je opuszczał: prezes, Lonnie Gordon, był poczciwym człowiekiem, ale straszliwym nudziarzem, a poza nim w zarządzie zasiadały bezwolne marionetki. Felix nie zawracał sobie nimi głowy, bo jedli Tony’emu z ręki.

– Doprawdy? Jakie?

Złe wieści na ogół oznaczały jakąś błahostkę, list ze skargą od zniesmaczonego mecenasa. Czy król Lear naprawdę musiał rozebrać się do naga? Mogło też chodzić o rachunek z pralni od widza z pierwszego rzędu,

który wbrew swojej woli uczestniczył w scenie z rozbryzgiem: a to zakrwawiona głowa Makbeta wyfrunęła zza kulis z nadmiernym impetem, a to wyłupione oko hrabiego Glouceстера wyslizgnęło się spomiędzy palców oprawcy i zostawiło trudną do wywabienia plamę z galaretki na jedwabnej sukni w kwiaty.

Tony sam odpowiadał na takie małosłowne pretensje i robił to dobrze – doprawiał przeprosiny szczyptą wazelinarstwa – ale wolał o wszystkim informować Feliksa na wypadek nieprzyjemnego spotkania przy tylnym wejściu, gdyż obawiał się, że jego szef mógłby zareagować na krytykę wiązką soczystych przymiotników. Felix podkreślał, że zawsze posługuje się językiem stosownym do okoliczności, na co Tony, że oczywiście, ale jednak mecenas mógłby być innego zdania. Nie mówiąc o tym, że gazety miałyby używanie.

– Niestety – rzekł Tony i zamilkł na chwilę. Jego twarz miała dziwny wyraz. Nie był to uśmiech, lecz smutna mina, spod której przezierał uśmiech. Felix poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. – Niestety – powtórzył Tony swoim najbardziej aksamitnym głosem – zarząd postanowił rozwiązać z tobą kontrakt. Nie jesteś już dyrektorem artystycznym.

Felix na chwilę zamilkł.

– Co? To jakiś żart, prawda?

Nie mogą tego zrobić, myślał. Beze mnie cały festiwal szlag trafi! Darczyńcy puciekają, aktorzy odejdą, zwiną się eleganckie restauracje, sklepy z pamiątkami i pensjonaty, a miasto Makeshiweg znów pograży się w niepamięć, z której on każdego lata pracowicie je wydobywał – bo niby czym jeszcze może się pochwalić? Stacją manewrową pociągów? Rozjazdy kolejowe nie nadają się na motyw przewodni. Nie można wokół nich zbudować karty dań.

– Nie – odparł Tony – obawiam się, że to nie jest żart. – Kolejna pauza. Felix przyglądał mu się, jakby widział go pierwszy raz w życiu. – Doszli do wniosku, że nie masz już tej weny co dawniej. – Jeszcze jedna pauza. – Tłumaczyłem im, że wciąż nie otrząsnąłeś się z szoku po śmierci... po wielkiej stracie, jaka cię spotkała, ale na pewno się pozbierasz. – To zagranie było tak bardzo poniżej pasa, że Feliksa na moment zatkało. Jak śmiać wykorzystywać to jako pretekst? – Robiłem, co mogłem, żeby cię obronić – dodał Tony.

Kłamał. Wiedzieli o tym obaj. Prezes, Lonnie Gordon, nigdy w życiu nie wymyśliłby takiego puczu, a pozostali członkowie zarządu w ogóle się nie liczyli. To byli starannie wybrani ludzie – starannie wybrani przez Tony'ego. Wszyscy bez wyjątku.

– Czego nie mam? – powtórzył Felix. – Weny?!

Czy ktokolwiek w tym kraju miał więcej weny niż on?

– Kontakt z rzeczywistością – uściślił Tony. – Oni uważają, że masz problemy psychiczne. Powiedziałem im, że to zrozumiałe, zważywszy na to, co... Ale nie zdołałem ich przekonać. Uznali, że ta szata ze skór zwierzęcych to już za wiele. Widzieli szkice. Mówią, że obrońcy praw zwierząt rzuciliby się na nas jak rój szerszeni.

– Co za nonsens. Przecież to nie są prawdziwe zwierzęta, tylko zabawki dla dzieci.

– Na pewno rozumiesz – odparł Tony z cierpliwością, w której pobrzmiwała protekcyjność – że nie w tym rzecz. Ważne, że wyglądają jak zwierzęta. Zresztą były też inne zastrzeżenia. Nie godzą się na Kalibana jako paraplegika, ich zdaniem to więcej niż niesmaczne. Ludzie pomyśleliby, że naśmiewasz się z niepełnosprawności. Część pewnie wyszłaby z sali. Albo wyjechała, mamy przecież wśród widzów sporo... Nie jesteśmy teatrem, do którego przychodzą sami dwudziestolatkowie.

– Na miłość boską! – uniósł się Felix. – Oto poprawność polityczna posunięta do absurdu! Przecież to jest w tekście, Kaliban jest zdeformowany! W dzisiejszych czasach to wręcz działa na jego korzyść, widzowie mu kibicują. Ja tylko...

– Rozumiem – wtrącił Tony – ale potrzebujemy wysokiej frekwencji, żeby uzasadnić wnioski o granty. A ostatnio recenzje były... mieszane. Zwłaszcza w minionym sezonie.

– Mieszane? Były fantastyczne!

– Nie pokazywałem ci wszystkich. Było też dużo złych. Mam je tutaj, w teczce, gdybyś chciał rzucić okiem.

– Dlaczego je przede mną ukrywałeś? Nie jestem dzieckiem.

– Złe recenzje cię złością. Potem wyładowujesz się na współpracownikach. Cierpi na tym morale zespołu.

– Ja się nigdy nie złościę! – wrzasnął Felix.

Tony puścił to mimo uszu.

– Oto wypowiedzenie. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę.

– Zarząd postanowił przyznać ci odprawę w podziękowaniu za wieloletnią pracę. Próbowałem wynegocjować więcej. – Na jego twarzy igrał uśmieszek.

Felix wziął kopertę. Pierwszy odruch był taki, żeby ją porwać na strzępy, ale doznał swoistego paraliżu. W trakcie długiej kariery miewał różne zatargi, ale nigdy wcześniej nie dostał wypowiedzenia. Pozbyli się go! Wyrzucili! Wylali na zbity łeb! Na moment cały zdrętwiał.

– Ale moja *Burza*... Ją chyba wystawimy?

Już się płaszczył. Odebrano mu jego skarb, jego największe dzieło. Zdeptano je i zniszczono.

– Przykro mi – odparł Tony. – Uznaliśmy... zarząd uznał, że najlepiej będzie zacząć od początku. Ta produkcja zostanie odwołana. Twoje rzeczy osobiste z biura czekają na ciebie obok twojego samochodu. Aha, będziesz musiał oddać mi swoją przepustkę. Kiedy będziesz gotowy.

– Zamierzam pójść z tym do ministra dziedzictwa narodowego – oświadczył słabym głosem Felix. Wiedział, że niczego w ten sposób nie zdziała. Z Salem O’Nallym chodził do szkoły; swego czasu rywalizowali ze sobą. Poróżniła ich sprawa ukradzionego ołówka, którą rozstrzygnięto na korzyść Feliksa. Sal najwyraźniej nigdy mu tego nie zapomniał. Kilkakrotnie w wywiadach telewizyjnych – wymierzonych prosto w krocze Feliksa – wyrażał opinię, iż festiwal w Makeshiweg powinien wystawiać więcej komedii Noëla Cowarda oraz musicali, na przykład Andrew Lloyd Webbera. Nie to, że Felix miał coś przeciwko musicalom, jego kariera teatralna zaczęła się od studenckiej inscenizacji *Facetów i laleczek*, ale żeby od razu cały repertuar...

Dźwięki muzyki, podpowiadał Sal. *Cats. Crazy for You*. Stepowanie. Rzeczy zrozumiałe dla zwyczajnego widza. Jak gdyby zwyczajny widz nie pojmował tego, co robi Felix! Co było niezrozumiałe w inscenizacji *Makbeta* z piłami mechanicznymi? Bardziej wprost już się nie da.

– Tak się składa, że minister dziedzictwa jest podobnego zdania – odparł Tony. – Oczywiście rozmawialiśmy z Salem... to znaczy, z ministrem O’Nallym przed ostatecznym głosowaniem w tej sprawie, żeby mieć pewność, że postępujemy właściwie. Przykro mi, Feliksie – dodał nieszczercze. – Wiem, że to dla ciebie wstrząs. Nam wszystkim jest trudno.

– Domyślam się, że macie już kogoś na moje miejsce – rzekł Felix najspokojniej, jak umiał. „Sal”. A więc byli ze sobą po imieniu. To wiele tłumaczyło. Nie zamierzał tracić zimnej krwi. Postanowił, że ocali strzępy swojej godności.

– Owszem. Sal... Zarząd poprosił mnie, żebym cię zastąpił. Oczywiście tymczasowo. Dopóki nie znajdzie się kandydat odpowiedniego kalibru.

Tymczasowo srowo, pomyślał Felix. Wszystko było jasne. Spisek i sabotaż. Szubrawy sojusz. Sromotna zdrada. Tony sam to wymyślił, a następnie wcielił w życie. Wykorzystał moment jego największej słabości.

– Ty nikczemny, załgany sukinsynu – krzyknął i poczuł pewną satysfakcję, aczkolwiek niewielką, zważywszy na okoliczności.

4

Szaty



Wtedy do środka weszli dwaj pracownicy ochrony. Musieli nasłuchiwać pod drzwiami, czekać na sygnał albo raczej na podniesiony głos Feliksa. Teraz pluje sobie w brodę, że jego zachowanie było tak przewidywalne.

Tony niewątpliwie wszystko dokładnie zaplanował: był bardzo sprawnym organizatorem. Ochroniarze, jeden czarny, drugi śniady, stanęli po obu stronach Feliksa, zakładając muskularne ręce na piersiach. Ich spojrzenia były nieprzeniknione. Musieli być nowi, bo ich nie znał. Przed wszystkim jednak oni nie znali jego, a zatem nie byli mu winni lojalności. Tony sprytnie to wszystko wykombinował.

– To naprawdę niepotrzebne – rzekł Felix, lecz Tony najwyraźniej uznał, że nie musi już odpowiadać. Wzruszył lekko ramionami, skinął głową – dwa imperatorskie gesty – i spiżowe dłonie grzecznie, ale zdecydowanie wyprowadziły Feliksa na parking.

Sterta tekturowych pudeł czekała obok jego samochodu. Był to czerwony mustang kabriolet, kupiony z drugiej ręki w przystępie buntu wieku średniego, kiedy Felix czuł się jeszcze trochę chłopcem. Przed Mirandą i przed pustką po Mirandzie. Już wtedy rdzewiał, a od tamtej pory zardzewiał jeszcze bardziej. Felix zamierzał sprawić sobie nowe, poważniejsze auto, a stare oddać w rozliczeniu. Marzenie ściętej głowy – nawet bez zaglądania do koperty z odprawą wiedział, że znajdzie w niej absolutne minimum. Nie stać go teraz było na takie luksusy jak prawie nowy samochód.

Siąpił deszcz. Ochroniarze pomogli mu załadować pudła do zardzewiałego mustanga. Nie odzywali się, Felix też milczał, bo i nie było o czym mówić.

Pudła nasiąkły wilgocią. Co się w nich znajdowało? Dokumenty, może

pamiętki? W tamtej chwili Felix dbał o to jak pies o piątą nogę. Chodziło mu po głowie, żeby wykonać jakiś dramatyczny gest, wysypać wszystko na bruk i podpalić, ale czym? Potrzebowałyby do tego benzyny albo materiału wybuchowego, a zresztą – po co dostarczać Tony’emu dodatkowej amunicji? Straż pożarna, radiowóz, samotanina, okrzyki, kajdanki, potem zarzuty podpalenia i zakłócenia porządku, badanie psychiatryczne, opłacone przez Tony’ego, wreszcie diagnoza. „A nie mówiłem? – usłyszeliby członkowie zarządu. – Paranoik i psychotyk. Bogu dzięki, że pozbyliśmy się go w porę, zanim dostał szajby na scenie”.

Gdy kończyli pakować mokre pudła do samochodu, kaczym chodem zbliżyła się do nich okrągła postać. Był to Lonnie Gordon, prezes zarządu festiwalu. W jednej ręce trzymał parasol nad rzadko porośniętą głową, w drugiej niósł plastikową torbę, laskę i coś, co z daleka przypominało naręcze skunksów z bielejącym na samej górze zdechłym kotem.

Zdradziecki pierdziel. Felix nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Szur-szur, człap-człap, plusk-plusk, gruby Lonnie szedł po kałużach, sapiąc jak mors.

– Naprawdę mi przykro, Feliksie – rzekł, gdy był już prawie przy samochodzie.

– Pitu pitu.

– Nie mam z tym nic wspólnego – zarzekał się smutno. – Zostałem przegłosowany.

– Sranie w banie.

Laska, którą przyniósł Lonnie, była tą jego laseczką z lisią głową; zdechły kot z bliska okazał się sztuczną brodą Prospera, skunksy – jego szatą. Niedoszłą szatą. Z mokrego i skudłaczonego futerka świdrująco spozierały plastikowe oczy, zwisały rozliczne ogony. W szarym świetle dnia wyglądała idiotycznie. Lecz na scenie, ukończona, poprzetetykana listowiem, ozłocona farbą, rozjaśniona cekinami, byłaby wspaniała.

– Boli mnie, że mi nie wierzysz – powiedział Lonnie. – Pomyślałem, że może chciałbyś to zachować. – Próbował wręczyć Feliksowi szatę, brodę i laskę, ten jednak trzymał ręce przy sobie i tylko gniewnie spoglądał. Stali tak przez chwilę w niezręcznej ciszy. Lonnie, stary mazgaj płaczący na tragediach, naprawdę czuł się źle. – Proszę – odezwał się w końcu. – Weź na pamiętkę. Po tylu latach pracy. – Znów wyciągnął ręce przed siebie. Czarnoskóry ochroniarz wziął ofiarowane rzeczy i upchnął je do bagażnika.

– Nie trzeba było – rzekł Felix.

– I jeszcze to. – Lonnie uniósł plastikową torbę. – Twój scenariusz do *Burzy*. Z twoimi notatkami. Pozwoliłem sobie przejrzeć... To byłby świetny spektakl – mówił drżącym głosem. – Może jeszcze kiedyś ci się przydadzą.

– Bredzisz – uciął Felix. – Ty i ta menda Tony zrujnowaliście mi karierę i nie udawaj, że o tym nie wiesz. Równie dobrze mogliście mnie wywieźć do lasu i zastrzelić. – Przesadził, ale przyjemnie było dla odreagowania własnej niedoli podręczyć kogoś innego. Kogoś o miękkim sercu i słabym kręgosłupie, kto – inaczej niż Tony – nie potrafił się bronić.

– Na pewno sobie poradzisz. Z twoim talentem i wyobraźnią... Jest przecież, hm, tyle innych miejsc... To nowy początek...

– Nowy początek? Mam pięćdziesiąt lat, na miłość boską! Trochę późno na nowy początek, nie sądzisz?

– Rozumiem twoje... – Lonnie przełknął ślinę. – Na kolejnym posiedzeniu zarządu będziemy głosować w sprawie wyrazów podziękowania. Jest pomysł, żeby postawić ci jakiś pomnik, popiersie, coś w tym rodzaju. Albo fontannę twojego imienia...

Talent i wyobraźnia. Dwa najbardziej nadużywane słowa w tej branży, pomyślał gorzko Felix. I jeszcze: trzy najbardziej bezużyteczne rzeczy na świecie: fiut księdza, cycki zakonnicy i szczerze wyrazy podziękowania.

– Wypchajcie się z waszą fontanną – rzucił, zaraz jednak złagodniał. – Dzięki, Lonnie. Wiem, że chcesz dobrze. – Wyciągnął przed siebie dłoń i Lonnie ją uściskał.

Czy tylko mu się zdawało, że po mocno zaczerwienionym policzku potoczyła się łza? Że Lonniemu zadrżał podbródek? Lepiej niech ma się na bacności, pomyślał Felix. Teraz, gdy Tony przejął ster, dla własnego dobra nie powinien się tak rozklejać. Tony nie będzie się z nikim cackał; zdusi każdy opór, nie wybaczy wahania, otoczy się zbirami, wytnie stare próchno.

– Gdybyś potrzebował kiedyś listu polecającego... To ja bardzo chętnie... Albo coś... Rozumiem, że to bardzo... Może jak odpoczniesz... Za dużo pracowałeś, zwłaszcza po tym strasznym, strasznym... Bardzo ci współczułem, to było zbyt wiele, żaden człowiek nie powinien czegoś takiego...

Lonnie był na pogrzebie; na obu pogrzebach, najpierw u Nadii. Mocno się przejął śmiercią Mirandy. Wrzucił do jej maleńkiego grobu bukietik herbacianych róż, co wydało się Feliksowi nieco teatralne, choć bardzo miłe. Potem zupełnie się rozkleił i długo łkał w białą chustkę wielkości obrusa.

Tony, ta żmija, też przyszedł na pogrzeb, miał ciemny krawat i żałobną minę, ale już wtedy musiał szlifować w myślach swój haniebny plan.

– Dzięki – przerwał mu Felix. – Poradzę sobie. Wam też dziękuję, panowie – zwrócił się do pracowników ochrony. – Za pomoc. Doceniam.

– Proszę jechać ostrożnie – odparł jeden.

– Tak – zawtórował mu drugi. – My tylko robimy, co nam każą – dodał przepaszająco. Pewnie obaj dobrze wiedzieli, jak to jest dostać wypowiedzenie.

Felix wsiadł do swojego pamiętającego lepsze czasy auta i odjechał w stronę reszty swojego życia.

Władca chatynki lichej^[4]



Reszta życia. Kiedyś wydawało się, że to szmat czasu. Jak szybko zleciało! Jak wiele z tego czasu zmarnował. Jak mało zostało do końca.

Odjeżdżając z parkingu przed teatrem, nie miał wrażenia, że kieruje samochodem. Czuł się tak, jakby coś kierowało nim, jakby popychał go silny wiatr. Choć przestało mżyć, choć wyszło słońce i włączył ogrzewanie, było mu zimno. Czy był w szoku? Nie: nie trząsał się. Był spokojny.

Teatr z łopoczącymi flagami, z fontanną w kształcie delfinów, z ukwieconym dziedzińcem i liżącymi lody teatromanami wnet zniknął. Główna ulica Makeshiweg, przy której znajdowały się drogie restauracje i puby ozdobione głowami pradawnych poetów, świń, renesansowych władczyń, żab, gnomów i kogutów, sklepy, gdzie można było nabyć wyroby wełniane w stylu celtyckim, innuickie rzeźby i angielską porcelanę – ta ulica, przy której stały urocze wiktoriańskie domy z żółtej cegły, niekiedy z szyldami pensjonatów, przeszła stopniowo w ciąg aptek, warsztatów szewskich i tajskich salonów kosmetycznych. Kilka przecznic dalej Felix minął ostatnie hurtownie dywanów, meksykańskie bary i hamburgerownie i wyjechał na otwartą przestrzeń.

Gdzie teraz był? Nie miał pojęcia. Dookoła rozpościerały się pofałdowane pola, młodziutka zieleń wiosennej pszenicy i ciemniejsza soi. Wysepki drzew wyciągały swoje lśniące pierzaste liście obok wiekowych domów z szarymi stodołami i równymi rzędami silosów. Żwirowa droga była w kiepskim

stanie.

Zwolnił i rozejrzał się wkoło. Marzyła mu się kryjówka, odludne miejsce, w którym nikogo by nie znał i nikt nie znałby jego. Ustronie, gdzie mógłby dojść do siebie. Zaczęło bowiem do niego docierać, jak dotkliwie został zraniony.

Za dzień lub dwa, góra trzy Tony rozpuści jakąś kłamliwą historię. Gazety napiszą, że Felix zrezygnował z posady dyrektora artystycznego, by podjąć nowe wyzwania, lecz nikt w to nie uwierzy. Gdyby pozostał w Makeshiweg, cyniczni reporterzy nie daliby mu spokoju, roztrząsaliby jego spektakularny upadek. Wydzwanialiby, zasadzali się, otoczyliby go wianuszkami, gdyby przez nierozwagę wybrał się, dajmy na to, do baru. Prosiliby o komentarz, licząc na wściekłą tyradę, bo przecież znany był z porywczosci. Ale po co marnować energię na tyrady, które niczego nie zmieniają?

Słońce opadało, świeciło ukośnie i coraz żółciej. Ile czasu minęło – i gdzie właściwie teraz był? Ruszył dalej.

Na końcu starej nieuczęszczanej drogi, w pewnej odległości od szosy, stał osobliwy budynek, jak gdyby zagłębiony w pagórku, tak że widać było tylko przednią ścianę. Miał jedno okno, drzwi były uchylone. Wystająca ze ściany metalowa rura komina, zakończona blaszanym daszkiem, wyginała się do góry pod kątem prostym. Pod klamerką na rozpiętym sznurku suszyła się samotna ścierka do naczyń. Było to ostatnie miejsce, w jakim można by się spodziewać Feliksa Phillipsa.

Co szkodzi zajrzeć, pomyślał.

Zaparkował na poboczu i ruszył wzdłuż drogi, jego nogawki szeleściły o mokrą trawę i chwasty. Drzwi zaskrzyphiały przy otwieraniu, ale można było temu łatwo zaradzić, wystarczy kropla oliwy. Sufit był nisko, drewniane belki stropu, dawno temu pobielone, obrosły pajęczynami. Wnętrze pachniało całkiem znośnie, był to zapach ziemi i drewna z domieszką popiołu – zapewne z żeliwnej kuchni z miejscem na dwa garnki; był też nieduży piekarnik, zardzewiały, ale bez widocznych uszkodzeń. Dwa pokoje: jeden duży, drugi mniejszy, kiedyś pewnie służący za sypialnię, ze świetlikiem – szyba nie wyglądała na bardzo starą – i bocznymi drzwiami zamykanymi na haczyk. Felix otworzył je i wyszedł na zarośniętą ścieżkę do wychodka. Przynajmniej nie będzie musiał kopać latryny: inni zrobili to za niego.

Mebli nie było prawie wcale, tylko ciężka drewniana szafa w sypialni oraz laminowany stół kuchenny, czerwony w srebrne zawijasy. Zero krzesel. Podłoga z szerokich desek – dobrze, że nie klepisko. Był nawet zlew z ręczną pompą. A także, o dziwo, światło elektryczne. Najwyraźniej poprzedni lokatorzy wyprowadzili się stąd później niż, dajmy na to, w tysiąc osiemset trzydziestym.

Brakowało paru rzeczy, ale gdyby udało się namierzyć właściciela, dobić z nim targu i doprowadzić to miejsce do jakiego takiego porządku, mógłby tu wytrzymać.

Oczywiście zamieszkanie w takiej dziurze, ze wszystkimi wyrzeczeniami, jakie się z tym wiązały, miało w sobie coś z dąsów. Decydując się na to, przywdziewał włosiennicę, wcielał się w pustelnika, flagelanta. Patrzcie, jak cierpię. Zdawał sobie sprawę, że odgrywa teatr – teatr, w którym będzie jedynym widzem. Był dziecinny w swoim uporze, w tym rozczuleniu nad sobą. Dorosły człowiek tak się nie zachowuje.

Ale gwoli prawdy, jaki miał wybór? Z nadszarpniętą reputacją nie znalazłby dla siebie równie prestiżowej posady; nie takiej, na której by mu zależało. A Sal O’Nally, trzymający łapę na szkatule z grantami, dyskretnie blokowałby wszelkie próby zatrudnienia go na wysokim stanowisku; Tony nie życzyłby sobie rywala, w końcu pracując gdzie indziej, Felix mógłby przyćmić Makeshiweg Festival. Działając ręką w rękę, tak jak niewątpliwie do tej pory, Tony i Sal zatroszczyliby się o to, by nie wypłynął z powrotem na powierzchnię. Po co dawać im tę satysfakcję?

Wrócił do Makeshiweg tą samą drogą, którą przyjechał, i zaparkował przed niewielkim ceglanym domkiem, który podnajmował w obecnym sezonie. Od nastania tego strasznego czasu... odkąd stracił rodzinę, nie miał – z wyboru – własnego domu. Wynajmował cudze. Zostawił sobie trochę mebli: łóżko, biurko, lampę, dwa stare drewniane krzesła, które wypatrzyli z Nadią na ulicznej wyprzedaży. Kilka bibelotów. Pamiątki po życiu, zanim legło w gruzach.

No i oczywiście zdjęcie jego Mirandy. Zawsze miał je w pobliżu, by móc na nie spojrzeć, gdy czuł, że osuwa się w mrok. Zrobił to zdjęcie na krótko przed jej trzecimi urodzinami. Pierwszy raz na huśtawce. Roześmiana, z głową zadartą do tyłu, wlatywała w powietrze, zaciskając piąstki na sznurach, a poranne słońce rozświetlało jej włosy aureolą. W pomalowanej na srebrno ramce wyglądała jak w okienku. Po drugiej stronie tego czarodziejskiego okienka jego córka nadal żyła.

I tam już miała pozostać, bo nagły koniec jego *Burzy* oznaczał też koniec nowej Mirandy – tej, którą zamierzał stworzyć, a może nawet wskrzesić.

Tony’emu zabrakło przyzwoitości, żeby umożliwić mu spotkanie z całym zespołem, z aktorami i obsługą techniczną. Nie było mu dane pożegnać się ani wyrazić żalu, że inscenizacja nie dojdzie do skutku. Wyprowadzono go jak przestępcę. Czy Tony i jego pomagierzy bali się go? Obawiali się buntu, kontrpuczu? Czyżby naprawdę myśleli, że Felix jest tak potężny?

Zadzwoił do firmy przeprowadzkowej i spytał, jak szybko mogą przyjechać. Powiedział, że to nagła sytuacja, musi wszystko czym prędzej spakować i oddać na przechowanie, dopłaci za pośpiech. Najemcy wypisał czek na kwotę, którą był mu winien. Podjechał do banku, wpłacił na konto żalostną odprawę od Tony’ego i powiadomił dyrektora oddziału o rychłej zmianie adresu, który poda drogą listowną.

Na szczęście miał trochę oszczędności. Mógł na jakiś czas zaszyć się z dala

od świata.

Teraz musiał zlokalizować właściciela chatki w zбочu. Wrócił w tamto miejsce i zapukał do najbliższego domu. Otworzyła mu kobieta w średnim wieku, średniej urody i średniego wzrostu, o mysich włosach związanych w koński ogon. Bluza, džinsy; za plecami, na linoleum udającym kafle, plastikowa zabawka dziecięca. Feliksowi drgnęło serce.

Kobieta stanęła w progu i skrzyżowała ramiona.

– Pan tu był wcześniej – powiedziała. – Widziałam samochód koło chatki.

– Zgadza się – odparł Felix swoim najbardziej ujmującym tonem. – Tak się zastanawiam. Może wie pani, kto jest właścicielem?

– A bo co? Nie my. Nie będziemy płacić żadnych podatków od tej nory. Ona jest z czasów osadnictwa, wtedy nie było pieniędzy. Mówiłam Bertowi, że trzeba było ją spalić.

Aha, pomyślał Felix. Czyli można się dogadać.

– Choruję – oznajmił, tylko trochę mijając się z prawdą. – Muszę pobyc na wsi. Świeże powietrze dobrze mi robi.

– Powietrze – prychnęła niedowierzająco. – Powietrza starczy dla każdego. Z tego, co wiem, nic nie kosztuje. Proszę się częstować.

– Chciałbym zamieszkać w tej chatce – uściślił Felix, uśmiechając się niewinnie. Usiłował sprawiać wrażenie niegroźnego wariata. Dziwaka, ale nie szaleńca. – Oczywiście płaciłbym czynsz. Gotówką.

To wszystko zmieniło. Kobieta zaprosiła go do środka i posadziła przy kuchennym stole. Zależało jej na pieniądzach, wcale się z tym nie kryła. Trudno było wyżyć z samej uprawy lucerny, dlatego Bert, jej mąż, handlował gazem w butlach, a zimą odśnieżał podjazdy. Był wiecznie poza domem i musiała wszystkim zajmować się sama. Znów prychnęła i odrzuciła głowę do tyłu: „wszystkim”, czyli także świrami pokroju Feliksa.

Przyznała, że od czasu do czasu miewali w chatce lokatorów, a ostatnio – mniej więcej rok temu – przemieszkiwała tam „para hipisów, on malarz, ona z tych, co mieszkają z malarzami”. Przed nimi – jej ubogi wujek, a jeszcze wcześniej – ciotka Berta, którą trzeba było oddać do zakładu, bo brakowało jej piątej klepki. Kto tam mieszkał dawniej – nie wiedziała, bo sama mieszkała wtedy gdzie indziej. Niektórzy twierdzili, że w chatce straszy, ale nie powinien się przejmować tymi opowieściami, bo to bzdury powtarzane przez ciemniaków. (Wyczuwał, że sama tak uważa).

Ustalili, że Felix zamieszka w chatce i będzie mógł ją wyremontować, jak mu się podoba. Zimą Bert będzie odśnieżał dojazd, żeby nie trzeba było przedzierać się do niej pieszo. Pierwszego każdego miesiąca Maude – bo tak miała na imię – będzie odbierać kopertę z czynszem, ale oficjalnie Felix jest jej wujkiem i mieszka za darmo. O drewno na opał nie musi się martwić: ich nastoletni syn może je przywozić traktorem. Koszt jest wliczony w czynsz. Poza tym Felix może jej podrzucać brudy do prania.

Podziękował i odparł, że to się zobaczy. Poprosił też, by nikomu o nim nie mówiła. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Miał swoje powody, ale nie był

w konflikcie z prawem.

Spojrzała z ukosa; nie wierzyła mu, ale i nie przejęła się tym ani trochę.

– Może mi pan zaufać – odrzekła. O dziwo, ufał jej.

Żegnając się w drzwiach, uścisnęli sobie dłonie. Uścisk miała mocny, jak mężczyzna.

– Jak pan się nazywa? To znaczy, co mam powiedzieć, gdyby ktoś pytał?

Felix zawahał się. Miał już na końcu języka „nie wasza sprawa”. W końcu odparł:

– Duke. Pan Duke.

Śród samotnej wyspy^[5]



Felix szybko przekonał się, że nie ma nic prostszego, niż zniknąć – i że świat niezbyt się przejął jego zniknięciem. Dziura, jaką po sobie zostawił w tkance festiwalu, błyskawicznie się wypełniła – a ściślej mówiąc, wypełnił ją Tony. Życie, jak to miało w zwyczaju, toczyło się dalej.

Gdzie się podział Felix? Było to zagadką, lecz nie jedną z tych, które ktokolwiek usiłuje rozwikłać. Domyślał się treści rozmów na korytarzach. Może miał załamanie nerwowe? Skoczył z mostu? Najpierw ogromny smutek po śmierci córki – co za okropna tragedia – i zaraz potem ta obsesja na punkcie, powiedzmy to sobie szczerze, dość cudacznej *Burzy*, trudno się dziwić. Nie żeby dziwiono się bardzo długo, bo pustkę spowodowaną odejściem Feliksa bez wątpienia wypełniły inne, bardziej naglące sprawy, a plotki i domysły wnet ucichły. Trzeba przecież dalej piąć się po szczeblach kariery, uczyć się ról, szlifować technikę.

„Za starego wariata” – wznosili pewnie toasty w Żabim Śpiewie, Pod Królewską Głową, w Diable i Truflu czy gdzie tam jeszcze aktorzy i pracownicy festiwalu stukali się kuflami po godzinach. „Za naszego mistrza. Za Feliksa Phillipsa, gdziekolwiek jest”

Konto bankowe przeniósł do oddziału w Wilmot, czyli dwie miejscowości dalej; tam też wynajął sobie skrytkę pocztową. Nie umarł przecież, a więc musiał chociażby składać zeznania podatkowe. Gdyby dopuścił się w tej mierze zaniechania, świat niezawodnie by sobie o nim przypomniał. Oto

najmniejsza cena, jaką trzeba było zapłacić za przywilej chodzenia po skorupie ziemskiej, oddychania, jedzenia i srania, pomyślał kwaśno.

Otworzył też drugie konto bankowe, na nazwisko F. Duke, utrzymując, że to pseudonim literacki. Jestem pisarzem, wyjaśnił pracownikowi banku. Przyjemnie było mieć drugą tożsamość, wolną od smutnej przeszłości. Felix Phillips był życiowym rozbitkiem, lecz F. Duke wciąż miał przed sobą widoki. Na co? Tego jeszcze nie wiedział.

W rozliczeniach podatkowych pozostał przy swoim nazwisku. Tak było prościej. Dla Maude i Berta był jednak panem Dukiem; podobnie dla ich koso patrzącej córki Crystal, która najwyraźniej uważała Feliksa za pożeracza dzieci, oraz dla Waltera, burkliwego nastolatka, który przez kilka pierwszych lat – dopóki nie wyjechał za pracę na zachód, do Alberty – rzeczywiście co jesień zajeżdżał pod skromne lokum Feliksa z kilkoma wiązkami drewna opałowego.

Na początku Felix dla własnej rozrywki wyobrażał sobie Maude jako niebieskooką wiedźmę Sykoraks, a Waltera jako Kalibana, potwora od noszenia drewna i zmywania naczyń. Lecz ta wersja *Burzy*, którą wystawiał sobie w głowie, szybko dobiegła końca. Nic tu nie trzymało się kupy: Bert nie był diabłem, a młodziutka i raczej pękata Crystal nie miała w sobie nic z sylfidy, jaką była Miranda.

Trudno też było znaleźć w tej gromadce miejsce dla Ariela, mimo że Bert, złota rączka, na prośbę Feliksa (i za drobną opłatę) dociągnął do chatki dodatkowy kabel z prądem, co w sumie dawało już dwa nielegalne kable. Dzięki temu Felix mógł w zimne dni włączać niewielki grzejnik, jak również małą lodówkę i kuchenkę elektryczną z dwoma palnikami – byle nie wszystko naraz, bo wtedy wywalało korki. Kupił też czajnik elektryczny. Maude szacowała zużycie prądu i odpowiednio zawyżyła rachunek. Jeżeli gospodyni i jej rodzina byli kimś w *Burzy*, to chyba pomniejszonymi żywiołakami: dostarczali energię, ale w skąpych ilościach, stwierdzał z rozbawieniem.

Nie licząc koperty z czynszem, którą pierwszego dnia każdego miesiąca wkładał w szorstką dłoń Maude, niewiele miał styczności z właścicielami. Rodzina Maude zajmowała się swoimi sprawami, a Felix swoimi.

Czyli – no właśnie – czym?

Starał się unikać wiadomości ze świata teatru, nie czytać o teatrze ani o nim nie myśleć, gdyż kosztowało go to zbyt wiele nerwów. Rzadko jednak udawało mu się wytrwać w powziętym postanowieniu. Kupował lokalną prasę, a nawet gazety z sąsiednich miast, przeglądał recenzje, po czym rwał je na podpałkę.

W tym wczesnym okresie żałoby i melancholii zabrał się do ulepszania swojej chatynki. Posprzątał wnętrze, zmiotł pajęczyny, przywiózł z przechowalni i rozpakował swój skromny dobytek. Ręczna pompa po wymianie uszczelki, naoliwieniu i zalaniu działała jak złoto. Z wychodkiem sprawa była całkiem prosta, spełniał swoją funkcję i jak

na razie nie cuchnął. Felix kupił worek brązowego granulatu do latryn i co pewien czas wsypywał trochę do środka. Podłogę w sypialni wysłał dywanem. Ustawił stolik nocny, a na nim zdjęcie, z którego wesoło uśmiechała się do niego Miranda.

Mimo tych żalosnych prób uwicia sobie przytulnego gniazdka spał niespokojnie i często się budził.

W sklepie z narzędziami w Wilmot zaopatrzył się w młotek i kosę. Ściął zielsko przed wejściem do chatki, umył okno i, więcej ryzykując, świetlik. Rozważał przekopanie ogródka, posadzenie pomidorów i innych warzyw, ale nie: to byłoby zbyt wiele. Wynajdował sobie jednak inne zajęcia. Bardzo się starał, żeby mieć co robić.

Lecz to nie wystarczało.

Jeździł do biblioteki i wypożyczał klasykę. Uznał, że nadarza się sposobność, by nadrobić młodzieńcze zaległości. *Bracia Karamazow, Anna Karenina, Zbrodnia i kara...* Szło mu jednak jak po grudzie: za dużo prawdziwego życia, za dużo tragedii. Ciągnęło go natomiast do literatury dziecięcej, w której wszystko dobrze się kończy. *Ania z Zielonego Wzgórza, Piotruś Pan*. Baśnie: *Królowna Śnieżka, Śpiąca Królowna*. Opowieści o zmarłych dziewczętach złożonych w szklanej trumnie albo na łożku z baldachimem, a potem cudownie wskrzeszonych jednym dotknięciem dłoni kochającej osoby. Odwrócenie losu – oto czego pragnął.

– Na pewno ma pan wnuki – zagadnęła go sympatyczna bibliotekarka. – Czyta im pan?

Felix uśmiechnął się i skinął głową. Nie było sensu wyprowadzać jej z błędu.

Ale nawet książki nie wystarczyły na długo. Coraz więcej, karygodnie dużo czasu przesiadywał w cieniu na pasiastym leżaku z ulicznej wyprzedaży, gapiąc się w przestrzeń. Po pewnym czasie taki człowiek zaczyna widzieć rzeczy, które, ściśle rzecz biorąc, nie istnieją, lecz Feliksowi w ogóle to nie przeszkadzało. Kształty wśród chmur, twarze wśród liści – wszystko to sprawiało, że czuł się mniej samotny.

Cisza zaczęła mu działać na nerwy. Niezupełnie cisza. Śpiew ptaków, cykanie świerszczy, wiatr w koronach drzew. Kontrapunktowe bzyczenie much z wychodka. Melodyjne. Kojące. Czasem, żeby uciec przed tą nieustającą półmuzyką, wsiadał do swojego coraz mniej pewnego auta i jechał do Wilmot, kupował coś w sklepie z narzędziami, zwyczajnie po to, by usłyszeć ludzki głos. Przez kilka lat uzbierał w ten sposób mnóstwo tubek kleju błyskawicznego i hałdę śrubek, haczyków bez oczek oraz wieszaków na obrazki. Czyżby zaczął fiksować? Czy uchodził w okolicy za nieszkodliwego ekscentryka? Brano go na języki czy też może nikt nie zwrócił na niego uwagi? I czy w ogóle miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

A jeśli nie – to co miało? Czego dziś pragnął, tak jak dawniej pragnął być wpływową postacią świata teatru? Jaki miał cel w życiu? Stracił pracę

i swoją wielką miłość. Obie swoje wielkie miłości. Groziły mu zastój i marazm. Utrata energii. Bezład. Dobrze, że przynajmniej trzymał się z dala od pubów i sklepów z alkoholem.

Mógłby stać się jednym z tych zagubionych mężczyzn w średnim wieku – wyzwolonym z sideł romantyzmu, wyleczonym z ambicji – pomieszkującym to tu, to tam. Mógłby podróżować: powiedzmy, że było go na to stać. Nie byłyby to jednak podróże liczne ani szczególnie ciekawe, bo dokąd chciałby pojechać? Mógłby poznać jakąś samotną kobietę, stworzyć z nią nietrwały i nieszczęśliwy związek. Założenie nowej rodziny nie wchodziło w grę, nikt nie zdołałby zastąpić mu tej utraconej. Mógłby zapisać się do klubu brydżowego, do klubu fotografików albo akwarelistów. Ale nie cierpiał brydża, nie miał ochoty robić zdjęć ani nie wierzył w ocalenie przez malowanie.

Czy w ogóle chciał się ocalić? A jeśli nie – to co wtedy?

Mógł się powiesić. Palnąć sobie w łeb. Utopić się w jeziorze Huron, do którego miał nawet blisko.

Czcie gadanie. Wcale nie rozważał tego na serio.

A zatem?

Potrzebował celu, przewodniej myśli. Dużo o tym dumał na swoim leżaku. Ostatecznie doszedł do wniosku, że pozostały mu dwie rzeczy – dwa projekty, które mogły mu przynieść pewną satysfakcję. Z czasem zaczęły mu się one rysować coraz wyraźniej.

Po pierwsze, wznowienie pracy nad *Burzą*. Musiał ją wystawić – jakkolwiek, gdziekolwiek. Jego powody wykraczały poza teatr, nie chodziło bynajmniej o karierę i reputację – nic podobnego. Chciał po prostu uwolnić Mirandę ze szklanej trumny; tchnąć w nią życie. Tylko jak to zrobić, skąd wziąć zespół? Aktorzy nie rosną na drzewach – a szkoda, bo tych miał teraz wokół siebie co niemiara.

Po drugie, pragnął zemsty. Pożądał jej. Marzył o niej. Tony i Sal muszą wycierpieć swoje. To przez nich, w dużej mierze, znajdował się teraz w opłakanej sytuacji. Postąpili z nim niegodnie. Ale jaką formę miałyby przybrać owa zemsta?

Tych dwóch rzeczy pragnął. Z każdym dniem coraz silniej. Nie wiedział tylko, jak się do nich zabrać.

Wiedza tajemna^[6]



Czy mu się to podobało, czy nie, jego *Burza* musiała poczekać: nie miał środków na jej realizację. W pierwszej kolejności należało więc skupić się na zemście.

Jak to zrobić? Zwabić Tony'ego do wilgotnej piwnicy, obiecując mu beczkę amontillada, po czym żywcem zamurować? Tony nie był smakoszem. Wykwintne dania i napoje nie interesowały go same w sobie, lecz jedynie jako oznaki statusu. Nie byłby zresztą tak głupi, żeby – wiedząc dobrze o uzasadnionym żalu Feliksa – dać mu się zaprowadzić do ciemnego pomieszczenia bez jakiegokolwiek obstawy.

Może powinien uwieść Tony'emu żonę albo lepiej: dać do zrozumienia, że uczynił to jakiś młody ogier? Niestety, żona Tony'ego to pokazowy eksponat z lodowatego alabastru, podejrzewał, że była robotem. Zresztą gdyby nawet istniał klucz do jej niewidzialnego pasa cnoty, czy godzi się narażać Bogu ducha winnego młodego ogiera, ktokolwiek by to był? Ściągać na niego gniew człowieka, który posiadał szeroki arsenał narzędzi do łamania karier? Młode ogiery mają krótki czas połowicznego zaniku. Powinny używać życia w basenach i wonnych pościelach kobiet w średnim wieku, dopóki mogą. Nim zwiotczeją, oklapną i stracą dar koncentracji.

Zakraść się do domu/biura/ulubionej restauracji Tony'ego i przyprawić mu lunch toksyczną substancją, która wywoła nieuleczalną chorobę albo spowoduje długą i bolesną śmierć? Wtedy Feliks przebrałby się za lekarza i odwiedził Tony'ego w szpitalu, żeby się ponapawać. W jednym z kryminałów, które czytał, ofiara zmarła po zjedzeniu cebulek żonkili.

Morderca ukrył je w zupie cebulowej.

Nie, nie. To tylko fantazje. Zbyt melodramatyczne, nie mówiąc o tym, że nie byłby w stanie ich zrealizować. Jego zemsta musi być bardziej subtelna.

Poznaj swojego wroga, radziły wszystkie największe autorytety. Zaczął śledzić ruchy Tony'ego: gdzie bywał, co robił, o czym opowiadał w telewizji. Notował jego osiągnięcia: Tony lubił gromadzić sukcesy i dbał o to, by nie przechodziły bez echa.

Z początku to dyskretne stalkerstwo było łatwe: wystarczyło kupować lokalne gazety – w Makeshiweg ukazywały się tylko dwie – i przeglądać wiadomości teatralne oraz rubryki towarzyskie. Tony był często proszony na przyjęcia i bankiety charytatywne, poza tym chętnie udzielał wywiadów. Felix zgrzytał zębami, czytając najpierw o nagrodzie dla Przedsiębiorcy Kultury, potem o wyróżnieniu Zasłużony dla Oświaty, które Tony otrzymał za zwożenie dzieci autobusami z całej okolicy i zmuszanie ich do oglądania *Hamleta* (szeptaly między sobą i chichotały, gdy na scenie piętrzyły się zwłoki). Ten program to był pomysł Feliksa. W rzeczy samej większość przedsięwzięć, za które Tony zgarniał nagrody, narodziła się w głowie jego poprzednika.

W piątym roku wygnania Felix dowiedział się o kolejnej nagrodzie: Orderze Ontario. Fom, fom, fom, mruknął pod nosem. Jeszcze jedno świciełko w klapie oszusta.

W szóstym roku Tony obrał nowy kurs. Zrezygnował z pracy przy festiwalu, wystartował w wyborach w Makeshiweg, gdzie był powszechnie znany, i dostał się do parlamentu prowincji. Ministrem dziedzictwa kulturowego pozostawał Sal O'Nally, a więc byli teraz razem w jednym gnieździe i bez wątpienia obrastali w piórka. Jak milusio.

Jeszcze trochę, pomyślał, i Tony wkrci się do rządu. Już teraz mówiono, że dobrze się zapowiada. Na zdjęciach puszył się jak minister.

Rozwój technologiczny poszerzył skromne instrumentarium szpiegowskie Feliksa o nowy teleskop w postaci wyszukiwarki Google. Felix miał kiedyś komputer, lecz był on własnością festiwalu, a więc stracił do niego prawo z chwilą dymisji. Przez jakiś czas przesiadywał w kawiarence internetowej w Wilmot, próbując jak najdokładniej śledzić poczynania Tony'ego. Służbowe konto e-mail zamknął natychmiast po odejściu z teatru – nie zniósłby tych wszystkich obłudnych wyrazów ubolewania – teraz jednak założył dwa nowe, jedno dla siebie, drugie dla F. Duke'a, który wyrobił sobie także kilka kart kredytowych. Rozważał nawet prawo jazdy, ale uznał, że byłoby to igranie z losem.

Ponieważ w kawiarence w Wilmot przestał czuć się niewidoczny – ktoś mógłby pomyśleć, że ogląda porno – kupił sobie taniego używanego peceta. Postarał się, aby do jego kryjówki dociągnięto linię telefoniczną z domu właścicieli, i łączył się z internetem za pomocą modemu. Później, gdy w okolicy pojawiła się kablówka, przerzucił się na router ze stałym łączem,

co wydatnie zwiększyło szybkość transferu i bezpieczeństwo danych.

Niesamowicie, ile można się dowiedzieć o człowieku poprzez sieć. Tutaj on, Felix, czytający Alerty Google w swoim zakurzonym kącie, a gdzieś tam, w świecie, zabiegani Tony i Sal, niepodejrzewający, że mają internetowego stalkera; że ktoś im się wciąż przygląda – i wyczekuje.

Na co Felix czekał? Sam tego nie wiedział. Na przypadkową okazję, prezent od losu? Na zbieg okoliczności, który na moment odwróci stosunek sił? Żłudna to była nadzieja, lecz podtrzymywał ją tłumiony gniew – i pragnienie zemsty.

Zdawał sobie sprawę, że całe to szpiegowanie zakrawa – troszeczkę – na obłąd. Lecz w jego życiu od pewnego czasu otwierała się jeszcze inna przestrzeń – i to dopiero było prawdziwe szaleństwo.

Zaczął się od mierzenia upływu czasu wiekiem, w jakim byłaby Miranda, gdyby żyła. Miałaby pięć lat; miałaby sześć lat; wypadałyby jej mleczaki; uczyłaby się pisać; i tak dalej. Z początku było to smutne marzycielstwo i nic więcej.

Ale od smutnego marzycielstwa krótka droga do niby-wiary w to, że Miranda, choć niewidzialna, wciąż jest przy nim. Kaprys, fantazja, aktorstwo, jak zwał, tak zwał, w każdym razie nie wierzył w to naprawdę, ale zachowywał się, jakby tak właśnie było. Znow wypożyczał z biblioteki w Wilmot książki dla dzieci, lecz tym razem czytał je wieczorami na głos. Po trosze dla własnej przyjemności – głos wciąż miał mocny, a czytając, utrzymywał go w dobrej formie – a po trosze, aby podtrzymać stworzoną przez siebie iluzję. Czy słuchała go mała dziewczynka? Niezupełnie. Ale przyjemnie było myśleć, że słucha.

Gdy Miranda miała pięć, sześć, siedem lat, pomagał jej w nauce. Uczyła się oczywiście w domu. Siadali razem przy laminowanym stole, on na jednym starym drewnianym krześle, ona na drugim. „Sześć razy dziewięć?” – pytał. Była taka bystra! Prawie nigdy się nie myliła.

Zaczęli jadać we dwoje, co miało tę zaletę, że dawniej zdarzało mu się zapominać o jedzeniu. Gdy jadł za mało, łagodnie go napominała. Skończ to, co masz na talerzu, mówiła. Jej ulubionym daniem był makaron z sosem serowym.

Kiedy miała osiem lat, nauczył ją gry w szachy. Łapała w mig i szybko zaczęła z nim wygrywać. Z jaką powagą analizowała sytuację na szachownicy, gryząc koniec długiego warkocza, który sama nauczyła się zaplatać! Jaką radość sprawiały mu jej zwycięstwa, choć udawał przygnębienie. Śmiała się z niego, bo wiedziała, że udaje. Gdyby naprawdę był przygnębiony, nie pozwoliłaby mu się smucić. Była taka empatyczna. Starał się nigdy nie okazywać przy niej gniewu, który nosił w sobie od lat, gniewu na Tony’ego i na Sala: nie zrozumiałaby. O ich triumfach czytał, złorzecząc pod nosem, tylko wtedy, kiedy nie było jej w pobliżu.

Większość dnia spędzała na dworze, bawiła się koło domu albo w lasku na jego tyłach. Oho, chmara motyli poderwała się znad łąki – to na pewno

ona je wystraszyła. Gdy spomiędzy drzew dobiegał skrzek sójek lub wron, tłumaczył to sobie jej obecnością. Wiewiórki podnosiły alarm na jej widok, leśne kuraki pierzchały z furkotem. O zmroku świetliki wskazywały jej drogę, sowy pozdrowiały ją głuchym wołaniem.

Nawet zimą, kiedy wyjący wiatr zasypywał drogę kopnym śniegiem, trudno było ją utrzymać w domu. Choć do znudzenia przypominał jej o rękawiczkach, nie ubierała się wystarczająco ciepło, a mimo to nic się nie działo: nie przeziębiała się, nie miewała grypy. W ogóle nie chorowała, w przeciwieństwie do niego. Gdy on był chory, zmartwiona chodziła na paluszkach, lecz o nią nie musiał się martwić, bo i co złego miałoby się jej przytrafić? Była poza wszelkim zagrożeniem.

Nie pytała, skąd się tam wzięli, dlaczego mieszkali w chatce na odludziu. Nigdy jej tego nie powiedział. To byłby dla niej szok, dowiedzieć się, że nie istnieje. W każdym razie nie tak jak inni ludzie.

Pewnego razu usłyszał jej śpiew tuż za oknem. Nie był to sen na jawie, tak jak poniekąd śnił do tej pory. Nie był to kolejny wytwór jego zdesperowanej wyobraźni. Naprawdę usłyszał głos. Lecz zamiast się ucieszyć – przestraszył się.

– To już zaszło za daleko – powiedział sobie z naganą. – Skończ z tym, Feliksie. Weź się w garść. Wyrwij się z tej celi. Potrzebujesz kontaktu z prawdziwym światem.

Sprowadź tu hołotę^[7]



I dlatego w dziewiątym roku swojego wygnania – gdy Miranda miała dwanaście lat – pan Duke znalazł sobie pracę. Niezbyt prestiżową, co jednak odpowiadało Feliksowi, który wolał pozostać w cieniu. Liczył, że powrót do świata, kontakt z ludźmi pozwolą mu stanąć mocniej na ziemi. Popadał w obłęd, teraz to widział. Zbyt wiele czasu spędzał sam ze swoim smutkiem, za dużo przeżuwał swoje żale. Czuł się tak, jakby budził się z długiego przygnębiającego snu.

Ogłoszenie znalazł w jednej z lokalnych gazet internetowych. Nauczyciel prowadzący kurs na poziomie szkoły średniej „Przez literaturę do kultury” w zakładzie karnym w pobliskim hrabstwie Fletcher nagle zachorował – i to, jak się okazało, śmiertelnie. Poszukiwano w trybie pilnym tymczasowego zastępstwa. Wymagano doświadczenia, choć – jak się domyślał – nie był to wymóg bardzo kategoriyczny. Zainteresowani...

Felix był zainteresowany. Z konta mailowego F. Duke’a wysłał swoje zgłoszenie. Następnie stworzył fałszywy życiorys, fabrykując bardzo stare listy polecające z kilku nikomu nieznanym szkół z prowincji Saskatchewan, podpisane przez dyrektorów, co do których można było przypuszczać, że dawno umarli albo przeprowadzili się na Florydę. Był pewien na dziewięćdziesiąt procent, że nikt nie będzie ich weryfikował, chodziło przecież o tymczasowe zastępstwo. W liście motywacyjnym napisał, że kilka lat temu przeszedł na emeryturę, lecz chciałby nadal pomagać ludziom, bo sam otrzymał w życiu wiele pomocy.

Zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną przyszło błyskawicznie, z czego

wywnioskował, że prawdopodobnie jest jedynym kandydatem. Tym lepiej: będą zbyt zdesperowani, żeby wybrzydzać. Zaczęło mu naprawdę zależeć na tej pracy. Sam siebie przekonał, że może jednak okaże się ona coś warta.

Doprowadził się do porządku – ostatnio trochę się zapuścił – i kupił sobie w dużej sieciówce w Wilmot dość plebejską ciemnozieloną koszulę. Przyciął nawet niegoloną od lat brodę. Była już siwa, wręcz biała, podobnie jak okazałe brwi. Liczył, że sprawi wrażenie mędrca.

Rozmowa kwalifikacyjna nie odbyła się w zakładzie karnym, lecz w pobliskim McDonalddie. Kobieta, która ją prowadziła, miała czterdzieści parę lat, ale nie dawała za wygraną: różowe pasemko w siwoblond włosach, błyszczące kolczyki, zadbane paznokcie pomalowane na modne srebro. Na imię jej było Estelle – przedstawiła się imieniem i był to dobry sygnał, widocznie chciała zmniejszyć dystans. Wyjaśniła, że sama nie pracuje w więzieniu, jest wykładowczynią na uniwersytecie w Guelph, a kursem dla więźniów opiekuje się zdalnie. Poza tym zasiada w wielu gremiach doradczych przy ministerstwie sprawiedliwości.

– Mój dziadek był senatorem. To wiele ułatwia. Powiedzmy, że wiem, za które sznurki trzeba pociągać. A musi pan wiedzieć, że kurs „Przez literaturę do kultury” jest moim oczkiem w głowie. Mocno za nim lobbowałam!

Felix powiedział, że to bardzo zacnie. Estelle odparła, że każdy robi tyle, ile może.

Poprzedni nauczyciel to był wspaniały człowiek, opowiadała. Ludzie będą go dobrze wspominać, to się stało tak nagle, wszyscy byli wstrząśnięci. Naprawdę dawał z siebie wszystko i z całkiem niezłym skutkiem, zważywszy na okoliczności, które, no cóż... Trudno było oczekiwać nie wiadomo czego.

Twarz Feliksa wyrażała zrozumienie, kiwał głową, robił „mhm” w odpowiednich miejscach i spoglądał swojej rozmówczyni w oczy. Estelle odwzajemniała mu się coraz liczniejszymi uśmiechami. Wszystko szło prawidłowo.

Po tych wstępach Estelle przystąpiła do rzeczy. Wzięła głęboki wdech i oznajmiła:

– Wydaje mi się, że pana znam. Mimo tej brody, zresztą bardzo dystyngowanej. Felix Phillips, prawda? Słynny reżyser? Od dziecka jeżdżę na festiwal, dziadek mnie zabierał. Mam kolekcję programów!

No to nici z *alter ego*.

– Istotnie – przyznał – ale o tę pracę wolałem się ubiegać pod zmienionym nazwiskiem. Bałem się, że prawdziwe mogłoby podziałać onieśmielająco.

– Rozumiem.

Uśmiech, tym razem troszkę niepewny. Bezbronny, podstarzały reżyser teatralny miałby onieśmielać twardzieli z zakładu karnego? Wolne żarty.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że się nie nadaję, bo mam zbyt wysokie kwalifikacje.

Szerszy uśmiech: to wyjaśnienie uznała za bardziej przekonujące.

– Niech to będzie nasza tajemnica – dodał Felix, zniżając głos i pochylając się nad stolikiem. – Może pani być moją powierniczką.

– Ach, cudownie! – Spodobał jej się ten pomysł. – Powierniczką! To jak

dramat epoki restauracji. *Dziedziczka* albo...

– Aphry Behn – podchwycił Felix. – Tylko że tam powiernikami są włamywacze.

Zaimponowała mu tym nawiązaniem do mało znanej sztuki, której on sam nigdy nie wystawiał.

– Może zawsze marzyłam o byciu włamywaczką? – Estelle zaśmiała się. – A tak całkiem serio, to prawdziwy zaszczyt! Widziałam w Makeshiweg chyba wszystkie pana inscenizacje. *Król Lear* był niesamowity! Taki, taki...

– Ekspresyjny. – Felix zacytował jedną z bardziej entuzjastycznych recenzji.

– Tak – zgodziła się. – Ekspresyjny. – Ale ta posada... To znaczy, oczywiście, że ma pan zbyt wysokie kwalifikacje. Zdaje pan sobie sprawę, że to jest praca na trzy miesiące w roku. Rozumiem, że pańskie oczekiwania finansowe...

– Nie są wygórowane – zapewnił ją Felix. – Dawno już skończyłem karierę i pewnie wszystko zapomniałem.

– Skończył pan karierę? Ależ pan jest na to za młody – zaprotestowała odruchowo. – To byłaby wielka strata.

– Jest pani zbyt miła.

Przez chwilę milczeli.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to jest więzienie – rzekła w końcu. – Będzie pan uczył, co tu dużo mówić, przestępców skazanych wyrokiem sądu. Ten kurs ma rozwijać podstawowe umiejętności czytania i pisania, które ułatwią im funkcjonowanie w społeczeństwie po wyjściu na wolność. Czy nie szkoda na nich pańskiego talentu?

– To będzie dla mnie wyzwanie – odparł. – Zawsze lubiłem wyzwania.

– Powiedzmy to sobie wprost – mówiła dalej Estelle – niektórzy z nich mają wybuchowy temperament. Wyżywają się. Czułabym się strasznie, gdyby...

Najwyraźniej oczyma duszy widziała Feliksa w kałuży krwi, z tkwiącym w szyi majchrem domowej roboty.

– Droga pani – odrzekł najbardziej wytwornym ze swoich scenicznych akcentów – przecież dawniej aktorów traktowano nieomal jak przestępców. Znam wielu aktorów i proszę mi wierzyć, że wyżywanie się jest częścią tego zawodu. Damy sobie radę. Pracując ze mną, będą mogli poćwiczyć panowanie nad sobą.

Estelle wciąż się wahała, odparła jednak:

– No cóż, skoro jest pan gotów spróbować...

– Potrzebowałbym dużej swobody – zaryzykował Felix. – Chciałbym to zrobić po swojemu. – Semestr dopiero się zaczynał, poprzedni nauczyciel nie zdążył jeszcze nic zrobić, więc można się było wykazać twórczo. – Co oni zwykle czytają na te zajęcia?

– Przede wszystkim *Buszującego w zbożu*. To stały punkt programu. Lubią też niektóre opowiadania Stephena Kinga. I jeszcze *Dziwny przypadek psa nocną porą*. Temat, z którym się utożsamiają, i do tego łatwo się czyta. Krótkie zdania.

– Rozumiem – odparł Felix.

Chryste, pomyślał. *Buszujący w zbożu*. Papka dla licealistów. Przecież to jest placówka o średnim i wysokim rygorze; ci ludzie są dorośli, ich życie

wyszło daleko poza te ramy.

– Moje podejście będzie nieco inne.

– Już się boję.

Estelle łobuzersko przekrzywiła głowę. Teraz, gdy podjęła decyzję o zatrudnieniu Feliksa, odprężyła się na tyle, by pozwolić sobie na flirt. Lepiej uważaj, powiedział sobie w duchu. Nie ma obrączki, więc jesteś potencjalnym celem. Nie zaczynaj niczego, czego nie będziesz mógł skończyć.

– Szekspir – oznajmił Felix.

– Szekspir? – Estelle usiadła prosto. Czy to możliwe, żeby jeszcze zmieniała zdanie? – Ale przecież to będzie zbyt... u niego jest tyle słów... zniechęcą się; może jednak powinien pan wybrać coś bardziej na ich poziomie... Szczerze mówiąc, niektórzy ledwie umieją czytać.

– A czy pani zdaniem aktorzy Szekspira dużo czytali? To byli rzemieślnicy, jak... – sięgnął po pierwszy z brzegu przykład, być może nie najlepszy – jak murarze! Nigdy nie czytali sztuki w całości, uczyli się tylko swoich kwestii. Poza tym dużo improwizowali. Tekst nie był świętą krową.

– No tak, wiem, ale... Ale Szekspir to jednak klasyka.

Jest dla nich za dobry, oto co chciała wyrazić.

– Kiedy on wcale nie zamierzał być klasykiem! – odparł Felix, nadając głosowi odcień oburzenia. – Dla niego klasykami byli, bo ja wiem, Wergiliusz, Herodot... On był tylko aktorem i kierownikiem trupy teatralnej, żyjącym z tygodnia na tydzień. To cud, że w ogóle mamy dzisiaj Szekspira! Przed jego śmiercią nic nie ukazało się drukiem! Dopiero potem jego towarzysze posklejali wszystko do kupy ze skrawków: gromada podstarzałych aktorów próbujących po latach przypomnieć sobie swoje kwestie!

Kiedy nie wiesz, co powiedzieć, mów, co ci przyjdzie do głowy, pomyślał. Stara sztuczka scenicznych wyjadaczy: gdy brakuje ci słów, wyrzucić z siebie cokolwiek, co ma jakiś taki sens, daj suflerowi czas na podpowiedzenie właściwej kwestii.

Estelle zdawała się skonsternowana.

– No tak, ale co to ma wspólnego z...

– Uważam, że trzeba chwycić byka za rogi – oznajmił Felix swoim najbardziej autorytatywnym tonem.

– Chwycić byka... – powtórzyła, teraz już serio zaniepokojona. – Musi pan szanować ich przestrzeń prywatną, nie wolno panu ich...

– Będziemy inscenizować – wyjaśnił. – O to mi chodzi. Będziemy wystawiać sztuki. Tylko w ten sposób można się naprawdę wczuć w postaci. Bez obaw, spełnię wszystkie oficjalne wymogi. Pewnie mają pisać wypracowania? Nie ma sprawy, będą pisać. I dostaną stopnie.

Estelle uśmiechnęła się.

– Pan jest idealistą. Wypracowania? Naprawdę nie...

– Krótkie teksty na temat danej sztuki.

– Myśli pan, że ich do tego namówi?

– Proszę mi dać trzy tygodnie. Jeżeli to nie chwyci, przerobię z nimi *Buszującego w zbożu*. Słowo.

– Dobrze, zgoda. I powodzenia.

Trzeba przyznać, że pierwsze tygodnie były trudne. Felix i Szekspir mieli ostro pod górkę, a Felix zdał sobie sprawę, że nie był przygotowany na warunki panujące wewnątrz. Musiał zdobyć autorytet, nakreślić parę nieprzekraczalnych granic. Raz nawet zagroził, że wyjdzie i nie wróci. Kilka osób zrezygnowało, ale ci, którzy zostali, traktowali zajęcia poważnie, ostatecznie więc kurs szekspirowski w zakładzie karnym we Fletcher okazał się hitem. Był nowatorski; można wręcz rzec – i faktycznie powiedział to swoim uczniom, starannie objaśniając im znaczenie tego słowa – awangardowy. Był *cool*. Po pierwszej edycji ustawiały się kolejki chętnych. O dziwo, poprawiły się nawet wyniki testów z czytania i pisania, średnio o piętnaście procent. Jak tajemniczy pan Duke zdołał osiągnąć takie rezultaty? Kręcono z niedowierzaniem głowami, wietrzono oszustwo. Lecz obiektywne wyniki mówiły same za siebie. Efekty były prawdziwe.

Lwią część zasługi przypisywano Estelle. Chwalono ją w szerokim świecie, gdzie badacze spotykali się na konferencjach i przedstawiali teorie, a ministerstwa zatwierdzały budżety, ale Felix nie miał do niej żalu. Był zbyt zaprzątnięty. Znowu zajmował się teatrem, jednak inaczej, niż kiedykolwiek by się spodziewał. Gdyby dawniej ktoś mu powiedział, że będzie wystawiał Szekspira w ciupie ze zgrają kanciarzy, zapytałby go, co wachał.

Robił to już od trzech lat. Starannie dobierał dramaty. Zaczął od *Juliusza Cezara*, potem był *Ryszard III*, a po nim *Makbet*. Walka o władzę, zdrada, zbrodnia: jego uczniowie z łatwością odnajdywali się w tematach, w których byli na swój sposób ekspertami.

Każdy miał własne zdanie o tym, co poszczególni bohaterowie mogli zrobić lepiej. Jak można było pozwolić Markowi Antoniuszowi zabrać głos na pogrzebie Cezara? Dostał szansę, to ją wykorzystał! Ryszard przegiął, nie powinien zabijać wszystkich dookoła, później nie miał kto mu pomóc. Jak chcesz rządzić, potrzebujesz sojuszników: proste! A Makbet źle zrobił, że uwierzył wiedźmom, bo nie ma nic gorszego niż za duża pewność siebie. Zasada numer jeden: trzeba pamiętać o swoich słabych punktach, bo jak coś może się spierdolić, to się spierdoli. Coś o tym wiemy, nie? Wszyscy potakiwali.

Felix mądrze zadał im to jako temat pracy pisemnej.

Unikał komedii romantycznych: byłyby dla nich zbyt frywolne, wolał nie poruszać tematu seksu, żeby nie wywoływać poruszenia w klasie. *Hamlet* i *Król Lear* odpadali z innego powodu: były to dramaty zbyt przygnębiające. We Fletcher i tak było już dużo prób samobójczych, niekiedy udanych. Sztuki, które wybierał do tej pory, nadawały się, bo choć kończyły się śmiercią wielu osób, zapowiadały też nowy początek w osobie zwycięzcy. Podłość, a nawet głupota zostały w nich ukarane, a cnota nagrodzona, mniej lub bardziej. U Szekspira zawsze jest mniej lub bardziej, podkreślał nieraz.

Każdego z dramatów uczył w ten sam sposób. Najpierw wszyscy czytali tekst, uprzednio przez niego skrócony. Otrzymywali też streszczenie fabuły,

garść komentarzy oraz słowniczek archaizmów. Ci, którzy nie radzili sobie na tym etapie, zwykle rezygnowali z udziału w kursie.

Później, na pierwszych zajęciach, Felix zaczynał od zarysowania głównych tematów. O czym jest ta sztuka? Zawsze były co najmniej trzy tematy, a czasem więcej, bo, jak powtarzał, u Szekspira nic nie jest takie, jakie się wydaje. Jego utwory mają wiele warstw. Lubił ukrywać pewne rzeczy za kotarą, by nagle – hokus-pokus! – zaskoczyć widza.

Kolejny ważny element jego metody: w klasie dozwolone były tylko niektóre przekleństwa. Uczniowie mogli sobie wybrać te, których będą używać, lecz musiały one pochodzić z aktualnie przerabianej sztuki. Spodobało im się to, nie mówiąc o tym, że zachęcało do uważnej lektury. Za użycie niedozwolonych przekleństw otrzymywało się punkty karne. „Niechaj cię diabeł, bladolicy łotrze, przeklnie, byś szerniał”^[8] można było powiedzieć tylko w trakcie omawiania *Makbeta*. Na zwycięzców czekała cenna nagroda w postaci przemyconych przez Feliksa do więzienia papierosów. Ten aspekt bardzo przypadł im do gustu.

Dalej: drobiazgowa analiza głównych postaci, dyskutowanych jedna po drugiej. Co nimi powodowało? Czego bohaterowie pragnęli? Dlaczego postępowali tak, a nie inaczej? Wywiązywały się zaciekle dyskusje, proponowano alternatywne wersje zdarzeń. Czy Makbet był psycholem? Czy Lady Makbet zawsze miała nierówno pod sufitem, czy sfiksowała z powodu wyrzutów sumienia? Czy Ryszard III był z natury zimnym mordercą, czy jedynie wytworem swoich czasów i do cna zepsutej rodziny, w której trzeba było zabijać, żeby samemu nie zginąć?

Bardzo interesujące, mówił Felix. Trafne spostrzeżenie. Po czym dodawał, że u Szekspira nigdy nie ma tylko jednej odpowiedzi.

Następnie dokonywał obsady, przy czym każdej z głównych postaci przydzielał drużynę złożoną z suflerów, dublerów, twórców kostiumów. Drużyny mogły po swojemu, własnymi słowami, przepisywać kwestie bohaterów, aby brzmiały one bardziej współcześnie, lecz nie wolno im było ingerować w fabułę.

Ostatnie zadanie, wykonywane dopiero po wystawieniu sztuki, polegało na opisaniu dalszych losów danej postaci, o ile przeżyła. Jeżeli zginęła, uczniowie pisali, jak ich zdaniem wspominały ją po zakończeniu dramatu inne postacie.

Po unowocześnieniu tekstu odbywały się próby, pracowano nad oprawą dźwiękową, kompletowano rekwizyty i kostiumy – te Felix zdobywał na zewnątrz i tachał do więzienia. Oczywiście istniały restrykcje: nie wolno było wnosić ostrych przedmiotów, materiałów wybuchowych, niczego do palenia ani do wstrzyknięcia. Zakaz obejmował pistolety na ziemniaki, a także, jak się okazało, sztuczną krew, uznano bowiem, że mogłaby zostać wzięta za prawdziwą i wywołać rozruchy.

Wreszcie, scena po scenie, odgrywano sztukę. Nie było możliwości wystawienia jej na żywo przed widownią: administracja więzienna z obawy przed zamieszkami nieufnie odnosiła się do pomysłu zgromadzenia wszystkich osadzonych w jednym miejscu, zresztą nie było sali, która by ich

pomieściła. Filmowano więc wszystkie sceny i montowano je na komputerze (dzięki czemu Felix mógł ptaszkować „zdobył umiejętność przydatną na rynku pracy” na niezliczonych dokumentach wymagających optaszkowania). Nagrywanie miało jeszcze jedną zaletę: aktorzy nie musieli się wstydzic ewentualnych pomyłek, bo każdą zepsutą kwestię można było powtórzyć.

Gotowy film, z dogranymi efektami dźwiękowymi oraz muzyką, pokazywano wszystkim więźniom na ekranach umieszczonych w celach. Feliksa, który w trakcie emisji siedział z kierownictwem w biurze naczelnika więzienia, radowały owacje i okrzyki dobiegające z cel za pośrednictwem interkomu. Więźniowie uwielbiali zwłaszcza sceny walki. Co w tym złego? Wszyscy uwielbiali sceny walki – i dlatego Szekspir umieszczał je w dramatach.

Aktorzy grali może mało finezyjnie, ale wkładali w swoje role dużo serca. Za czasów pracy z zawodowcami Felix wiele by dał, by wykrzesać z nich choć połowę tego entuzjazmu. Światła sceny rozbłyły na nowo – krótko i w odległym zakątku, ale rozbłyły.

Po emisji, tak jak w prawdziwym teatrze, odbywała się – dzięki naleganiom Feliksa – impreza dla członków zespołu z chipsami ziemniaczanymi i oranżadą imbirową. Rozdawał na niej papierosy, wszyscy przybijali sobie piątki i żółwiki, czasem oglądali ponownie napisy końcowe. Wszyscy uczestnicy – nawet dublerzy i odtwórcy epizodów – mogli zobaczyć swoje pseudonimy sceniczne na ekranie. I – jak przystało na aktorów – komplementowali się nawzajem. „Ostro grałeś, Brutusie!” „Wszystkie Ryszardy to fajne chłopcy!” „Dawać tu oko traszki!” Oklaski, podziękowania, zakłopotane uśmiechy.

Patrzą na cudze twarze wpatrzone w ich twarze, gdy udają kogoś innego – na myśl o tym Feliksa ogarnęło dziwne wzruszenie. Nareszcie, być może pierwszy raz w życiu, mogli pokochać samych siebie.

Kurs trwał od stycznia do marca i przez te trzy miesiące Feliksa rozpieęła energia. Lecz latem i jesienią, gdy znów spędzał całe dni w swojej dziupli, wracało uczucie przygnębienia. Co za upadek – po tak olśniewającej karierze wystawiać Szekspira w pierdlu, za aktorów mając złodziei, narkotykowych dilerów, kanciarzy i malwersantów. Czy właśnie tak dożyje swych dni: gasnąc po cichu z dala od świata?

– Oj, Feliksie, Feliksie – mówił do siebie. – Kogo ty próbujesz oszukać?

– To środek prowadzący do celu – odpowiadał sobie. – Ten cel już widać. Poza tym zawsze to jakiś teatr.

– Jaki cel? – pytał się.

Ale nie wątpił w jego istnienie. Gdzieś, pod jakimś kamieniem, spoczywała zamknięta puszka z literą Z jak zemsta. Nie był jeszcze pewien, dokąd to wszystko zmierza, lecz musiał ufać, że nie donikąd.

Oczy jak perły

Poniedziałek, 7 stycznia 2013 roku



To już czwarty rok programu teatralnego w zakładzie karnym we Fletcher. Dziś pierwsze zajęcia. Jak zwykle na samym początku Felix jest lekko zdenerwowany. Do tej pory wszystko się udawało, ale zawsze może się przytrafić jakiś wypadek, potknięcie, bunt. Coś nieprzewidzianego. Trzy pstre przepióreczki. Szosa sucha. Mów wyraźnie, napomina swoje odbicie w lustrze. Bądź gotów.

Umył i włożył protezę, a teraz czesze włosy, których na szczęście ma jeszcze sporo. Następnie wyskubuje kilka luźnych kosmyków z brody. Po dwunastu latach osiągnęła właściwy kształt: jest pełna, ale nie krzaczasta, wymowna, ale bez szpica. Spiczasta byłaby demoniczna, a jemu chodzi o dostojność.

Ubiera się do pracy: dzinsy, buty turystyczne, ciemnozielona koszula, wytarta tweedowa kurtka. Bez krawata. Musi być podobny do siebie takiego, jakim go znają we Fletcher, a dał się poznać jako sympatyczny, lecz stanowczy emerytowany nauczyciel, maniak teatru, lekko naiwny i ekscentryczny, ale ogólnie równy facet, który obdarowuje innych swoim czasem, bo wierzy w to, że ludzie mogą stawać się lepsi.

No, może nie do końca obdarowuje, skoro mu za to płacą. Ale marne grosze, więc nie robi tego wyłącznie dla pieniędzy. Jego uczniowie są

wyczuleni na ukryte motywy, bo sami mają wiele ukrytych motywów. Nie lubią pazerności. Dla siebie chcą tylko tego, co im się należy. To, co się komu należy, bywa jednak kwestią sporną, o czym Felix już się przekonał.

Stara się nie mieszać w ich prywatne zatargi. Swoje kwasy zostawiajcie za drzwiami, powtarza. Nie obchodzi mnie, kto wam ukradł szlugi. Ja tu jestem od teatru. Wchodząc do klasy, zapominacie o swoim codziennym ja. Jesteście jak czysta kartka. Przybieracie nową twarz. Jeżeli jest się nikim, a chce się być kimś, trzeba stać się kimś innym, przytacza słowa Marylin Monroe, bo to nazwisko jest im znane. A tutaj na wstępie każdy z nas jest nikim. Tak, ja też.

To ich mityguje: nikt nie chce być wyrzucony za drzwi. W więziennym świecie niewiele zależy od nich samych, ale w kursie szekspirowskim uczestniczą z wyboru. To przywilej, jak na każdym kroku, może zbyt często, im się przypomina. Niektórzy ludzie przebywający na wolności zabiliby, żeby znaleźć się na ich miejscu. Felix nigdy nie mówi tego wprost, ale można to wyczytać między wierszami.

– Nie robię tego dla pieniędzy – oznajmia na głos.

Spogląda przez ramię: Miranda siedzi przy stole, trochę smutna, bo styczeń i początek semestru oznaczają, że będzie go teraz mniej widywać.

– Nigdy nie chodziło mi o pieniądze – dodaje.

Miranda potakuje skinieniem głowy, bo wie, że to prawda: szlachetni ludzie niczego nie robią dla pieniędzy, oni po prostu je mają i dzięki temu mogą być szlachetni. Nie muszą nawet o tym wiele myśleć: roztaczają wokół siebie dobro, jak kwiaty rozsiewają aromat. A Felix w oczach Mirandy jest szlachetny. Ta świadomość bardzo mu pomaga.

Miranda wyrosła na śliczną piętnastoletnią dziewczynę. To już nie ten cherubinek na huśtawce, który nadal stoi w srebrnej ramce przy jego łóżku. Nastoletnia Miranda jest szczupła i pełna dobroci, może troszkę blada. Powinna spędzać więcej czasu na powietrzu, biegać po łąkach i lasach, tak jak dawniej. Nabrałaby kolorów. Oczywiście teraz jest zima i śnieg, ale nigdy jej to nie przeszkadzało; umiała prześlizgiwać się nad zaspami lekko jak ptak.

Miranda nie lubi tych miesięcy, kiedy całymi dniami nie ma go w domu, bo prowadzi kurs. Poza tym martwi się, że się przemęcza. Gdy Felix wraca po ciężkim dniu, piją razem herbatę i grają w szachy, potem jedzą makaron z sosem serowym i może sałatkę. Miranda ostatnio przywiązuje dużą wagę do zdrowego odżywiania, nalega, by jedli dużo zieleniny, wpycha w niego jarmuż. Kiedy był w jej wieku, nikt w ogóle nie słyszał o jarmużu.

Gdyby żyła, byłaby teraz w trudnym okresie nastoletniości: odpowiadałaby półgębkiem, przewracała oczami, farbowała włosy, robiła sobie tatuaże. Szlajałaby się po knajpach albo jeszcze gorzej. Różne słyszało się historie.

Ale nic z tych rzeczy. Nie straciła swojej prostoty i niewinności. Jest prawdziwą pociechą.

Ostatnio jednak coś zaprzęta jej myśli. Czyżby się zakochała? Oby nie!

Zresztą w kim miałyby się zakochać? Walter, ten ciućmok od ciągnika, dawno już tu nie mieszka, innych kandydatów brak.

– Bądź grzeczna, jak mnie nie będzie – mówi, a Miranda uśmiecha się słabo: ma się rozumieć, że będzie grzeczna. – Możesz pohaftować.

Miranda marszczy brwi: to zbyt stereotypowe.

– Przepraszam. Poćwicz całkowanie.

No, przynajmniej udało mu się ją rozśmieszyć.

Nie oddali się od domu, o to jest spokojny. Nie potrafi. Coś ją powstrzymuje.

Teraz Felix będzie musiał stawić czoło pogodzie, wyjść na mróz i jak co dzień zagrać w grę „czy samochód odpali”. Zimą nie podjeżdża nim pod dom, parkuje przy szosie. To już nie mustang, tamtego ładnych parę lat temu zżarła rdza. Teraz jeździ niebieskim peugeotem; kupił używanego przez internet, gdy F. Duke zaczął dostawać wypłaty z więzienia. Nawet odśnieżony podjazd potrafi być zdradliwy, a wiosną tonie w błocie, więc używa go tylko w porze suchej, czyli latem i jesienią. Jeśli niedawno szosą przejeżdżał pług, będzie musiał przekopać się przez zwał lodu i kawałków zmrożonej brei spod jeżdżących tędy samochodów. Jakiś czas po tym, jak tu zamieszkał, drogę wyasfaltowano i odtąd stała się bardziej uczęszczana. Korzysta z niej ciężarówka z propanem. Furgonetka FedExu. Autobus szkolny.

Autobus pełen roześmianych dzieci. Kiedy nadjeżdża, Felix odwraca wzrok. Miranda pewnie jeździłaby podobnym.

Z wieszaka na drzwiach zdejmuje zimowy płaszcz z poupychanymi w rękawach rękawiczkami i wełnianą czapką. Jeszcze szalik, ten kraciasty – gdzie go posiał? Jest w starej szafie w sypialni, podpowiada mu cicho Miranda. Dziwne, zwykle go tam nie trzyma.

Otwiera drzwi szafy i jego wzrok pada na laskę z lisią głową – niedoszłą laskę czarodziejską. W głębi wciąż wisi magiczna szata. Szata jego klęski, martwa skorupa jego dawnego ja.

Nie, nie martwa, lecz zmieniona. Zamknięta w ciemnościach, uległa przeobrażeniu, jakby z wolna budziła się do życia. Felix przygląda się futerkom pluszowych zwierząt, nieco zakurzonym, pręgowanym i płowym, siwym i czarnym, niebieskim, różowym, zielonym. Drogocenny, dziwny cud^[9]. Oczy jak perły połyskują w mrocznej głębinie.

Odkąd dwanaście lat temu wbito mu nóż w plecy, nie miał jej na sobie ani razu. Ale i nie wyrzucił jej. Zachował ją na lepsze czasy.

Teraz jeszcze jej nie włoży: to nie jest właściwy moment. Ale przecucie mówi mu, że ten moment wkrótce nadejdzie.

II

KRÓLESTWO W SAM RAZ^[10]

10

Gwiazda pomysłności^[11]

Poniedziałek, 7 stycznia 2013 roku



Felix odkopuje samochód spod śniegu, który pług zepchnął z asfaltowej drogi. Jeszcze trochę i się doigrasz, mówi sobie. Nie masz dwudziestu pięciu lat. Ani czterdziestu pięciu. Może pora, żebyś przestał się bawić w pustelnika, wynajął jakieś zapuszczone mieszkanko i snuł się po mieście z psem na smyczy, jak przystoi staremu przykowi.

Po kilku wrzodotwórczych próbach odpalenia samochodu (powinien się zaopatrzyć w grzałki do silnika) wreszcie rusza w kierunku więzienia we Fletcher. No, duchy i gnomy, nadchodzę – ogłasza cicho wewnątrz swojego peugeota. Wszyscy gotowi?

On jest gotowy.

Miesiąc temu, w połowie grudnia, dostał mail od Estelle. Pisała, że ma dla niego wspaniałą wiadomość i że chciałyby mu ją przekazać osobiście. Co by powiedział na lunch albo nawet kolację?

Felix wybrał lunch. Przez te ostatnie trzy lata umawiał się z Estelle wyłącznie na lunch. Bał się, że kolacja, zwłaszcza zakrapiana, mogłaby się przeciągnąć, ktoś – on lub ona – mógłby nabrać ochoty na coś więcej. Owszem, jest wdowcem, ale to nie znaczy, że jest wolny. Nie żeby Estelle była nieatrakcyjna – przeciwnie, gwiazda jej urody wciąż świeciła jasno – ale jednak obowiązki ojcowskie muszą stać na pierwszym miejscu. Przy czym, rzecz jasna, nie może powiedzieć Estelle o Mirandzie. Jeszcze by pomyślała, że cierpi na urojenia.

Nigdy nie umawiają się w McDonalddie obok zakładu karnego – Estelle twierdzi, że łatwo tam spotkać funkcjonariuszy więziennych przed pracą lub po pracy, a ściany mają uszy – nie chciałyby, żeby ludzie zaczęli plotkować, że coś ich łączy. Miejscem ich rozmów jest nieco droższa restauracja w Wilmot, którą zasugerowała Estelle. Nazywa się Zenit, a jej właściciele uwielbiają motywy sezonowe. Tym razem lunch wypadł przed świętami Bożego Narodzenia, więc w oknie stała gromadka elfów zajętych produkcją ozdób i zabawek oraz malowaniem srebrnych kwiatów na zimnych szybach. Szczęśliwie lokal ma licencję na sprzedaż alkoholu.

– No! – zaczęła Estelle, gdy już usiedli naprzeciwko siebie w narożnym boksie. – Można śmiało powiedzieć, że idziesz jak burza! – Miała na sobie lśniący naszyjnik, którego nigdy przedtem nie widział. Chyba ze strasów.

– Staram się, jak mogę – odparł z należytą skromnością. – Chociaż tak naprawdę to nie moja zasługa. Chłopak, jak wiesz, dają z siebie wszystko.

– Nie wiem, jak mogłam w to wątpić. Zdziałałeś tam prawdziwe cuda.

– Och, bez przesady. – Felix utopił wzrok w filiżance kawy. – Ale na pewno robią postępy, co do tego zgoda. Twoje wsparcie bardzo nam pomogło – dodał roztropnie. – Bez ciebie raczej nie dałbym rady.

Komplement przyprowadził Estelle o rumieniec. Trzeba uważać, pomyślał Felix. Nie chciał, żeby sobie coś pomyślała: to by mogło zaszkodzić im obojgu.

– Otóż musisz wiedzieć, że twoje czary przynoszą rezultaty! Dwa tygodnie temu byłam w Ottawie na obradach jednego z komitetów doradczych, w których zasiadam, i nie zgadniesz, co udało mi się załatwić – powiedziała lekko zdyszana. – Myślę, że się ucieszysz.

W ciągu tych kilku lat, działając dyskretnie za kulisami, wyświadczyła mu niejedną przysługę. To dzięki niej stać go było na pomoc techniczną, której potrzebował, a także na kostiumy i rekwizyty. Nie dość, że wysupłała trochę dodatkowych funduszy, to jeszcze ułatwiła mu dojście do naczelnika, z którym załatwiał sprawy związane z bezpieczeństwem. Ewidentnie starała się Feliksa zadowolić, a on pokazywał jej, że jest zadowolony. Oby tylko nie przesadził.

– Z czego? – spytał, gładząc brodę i uruchamiając brwi. – Co chytrego zdołałaś?

Co zbroiłaś? – zdawał się mówić jego ton.

– Będiesz miał... – Zawiesiła głos, po czym dokończyła półszepem: – Będiesz miał ważnego gościa! Lepiej: dwóch ważnych gości. Dwóch ministrów! To się bardzo rzadko zdarza. A może nawet przyjadą trzej!

– Naprawdę? A którzy to ministrowie?

– Na pewno minister sprawiedliwości. To w końcu jego działka. Rozmawiałam z jego zastępcą i podkreślałam, że osiągasz duże sukcesy w pracy z... uczniami. Może to będzie początek dużej zmiany w myśleniu o resocjalizacji!

– Fantastycznie. Brawo! Minister sprawiedliwości! To chyba Sal O’Nally.

Sal po przegranej jego partii w wyborach do parlamentu prowincji spróbował szczęścia na poziomie federalnym – i oczywiście zdobył mandat. Doświadczenie, koneksje, umiejętność gromadzenia funduszy – wszystko to sprawiło, że wkrótce znów znalazł się w rządzie, tym razem na wyższym szczeblu. Miał teraz swoje małe królestwo.

– Zgadza się – przytaknęła Estelle. – Najpierw był ministrem kultury, później przez chwilę kierował dyplomacją, ale przenieśli go do ministerstwa sprawiedliwości. Oni bardzo lubią takie przetasowania. O’Nally dużo mówi o surowym traktowaniu przestępców, ale sam fakt, że przyjedzie na własne oczy obejrzeć twój, twój... to, co tutaj robisz, świadczy o tym, że jest bardziej otwarty, niż wielu sądzi.

– Skoro tak, mam nadzieję, że spodoba mu się nasze skromne widowisko. A kim jest ten drugi minister...?

Jak gdyby nie wiedział. Śledził przecież karierę Tony’ego, który poszedł w ślady Sala i wkręcił się do polityki ogólnokrajowej, gdzie czekały większe profity i ekskluzywniejsze rauty.

– Jest nowy, świeżo po nominacji – odparła. – I zaczynał w teatrze! Na pewno go znasz. Anthony Price. Czy on z tobą kiedyś nie pracował przy festiwalu w Makeshiweg?

Ktoś tu chyba zaglądał do Wikipedii, stwierdził w duchu Felix.

– A, ten Anthony Price! Tak, pracował ze mną. Był moją prawą ręką. Bardzo sprawny człowiek.

Czy nie słyszała w tamtej chwili, jak tętno huczy mu w uszach? Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Jego wrogowie, obydwaj! Przyjadą do Fletcher!

Do jedynego miejsca na ziemi, w którym, jeśli mądrze wszystko zaplanuje, będzie miał większą władzę niż oni.

– To będzie jak spotkanie z dawno niewidzianym krewnym – dodał.

– Prawda? – ucieszyła się Estelle. – Będę z tobą szczerą, niektórzy mają wątpliwości, czy twój program powinien być kontynuowany, zważywszy na cięcia wydatków i... Różni moi koledzy i koleżanki, w tym inni doradcy, hm, nie do końca dostrzegają sens, mimo wspaniałych... Według nich więzienia są przede wszystkim po to, żeby... Ale jak wiesz, ten projekt jest moim dzieckiem, wiele dla mnie znaczy. Dlatego nie dałam za wygraną i wreszcie ministrowie zgodzili się przynajmniej rzucić okiem z bliska. W końcu swoją ciężką pracą narobiłeś dużo dobrego szumu.

– Dobry szum – powtórzył Felix. – „Pójdę z pszczołą kwiaty ssać, w kielichu pierwiosnka spać”^[12]. Zawsze to lepiej, niż wdepnąć w gniazdo szerszeni.

Taki mały żarcik. W rzeczy samej, teraz, gdy nadarzyła się okazja, zamierzał jak najgłębiej wetknąć stopę w to gniazdo. Dopiero narobi szumu.

Estelle zaśmiała się.

– O tak! Mamy szczęście, że przyjadą zobaczyć, jakie niesamowite... Mówiłam wiceministrom, że to wspaniały przykład krzyżowania dyscyplin, dowód na to, że sztukę można bardzo twórczo wykorzystać jako narzędzie terapeutyczne i dydaktyczne. Myślę, że obaj to docenią. Obaj ministrowie. Na pewno będą też chcieli zrobić sobie wspólne zdjęcie – dodała. – Ze wszystkimi twoimi... Nawet z tymi...

– Z aktorami – uratował ją Felix. Nigdy nie mówił o nich „więźniowie”, przynajmniej dopóki byli członkami jego trupy. Oczywiście, pomyślał, wspólne zdjęcie. Główny cel każdej wizyty każdego ministra.

– Właśnie. Z aktorami. – Uśmiechnęła się.

– A czy wiedzą, że ja reżyseruję? Znają moje prawdziwe nazwisko?

– Wiedzą tyle, ile można wyczytać z opisu kursu. Figurujesz tam jako F. Duke. Dochowałam naszej tajemnicy, tak jak obiecałam – zapewniła z błyskiem w oku.

– Dziękuję ci za to. Wiem, że mogę na tobie polegać. Niech aktorzy błyszczą, ja wolę pozostać w cieniu. To kiedy przyjadą? Ministrowie.

– Na sam koniec, na wspólne oglądanie. W tym roku to chyba wypada trzynastego marca? Pomyślałam, że to najlepszy moment, żeby docenili gotowy rezultat. Spotkają się z... aktorami. Będzie trochę jak na prawdziwej premierze, no wiesz, dygnitarze...

Jej policzki oblały się rumieńcem. Była podekscytowana, że udało jej się to załatwić. Wyraźnie łaknęła pochwały, więc ją pochwalił.

– Jesteś prawdziwą gwiazdą. Nie wiem, jak ci dziękować.

Estelle uśmiechnęła się.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogłam pomóc. To taki wartościowy... Jeśli będę mogła jeszcze coś zrobić... Wiesz, że stanęłabym na głowie, żeby uratować ten projekt. – Pochyliła się i prawie dotknęła jego nadgarstka, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. – Którą sztukę wybrałeś tym razem? Dobrze pamiętam, że planowałeś wystawić *Henryka V*? Z łukami

i... Ten wspaniały monolog tuż przed... takie porywające...

– Rzeczywiście, myślałem o tym. Ale zmieniłem zdanie.

W istocie zmienił je dosłownie przed chwilą. Dwanaście lat przemyślał nad swoją zemstą – stale miał ją z tyłu głowy, towarzyszyła mu niczym uporczywy, ćmiący ból. Długo śledził Tony’ego i Sala w internecie, lecz byli poza jego zasięgiem. Teraz mieli wkroczyć w jego przestrzeń, na jego teren. Jak ich schwytać, osaczyć, złapać w potrzask? Zemsta nagle była tak blisko, że czuł jej smak na języku. Był to smak krwistego steku. Ach, zobaczyć ich twarze! Patrzeć, jak cierpią!

– Zrobimy *Burzę*.

– O – powiedziała Estelle z wyrazem niepokoju w oczach. Wiedział, co sobie myśli: to zbyt gejowskie. – Tak dobrze się czuli w bardziej wojowniczych opowieściach. Myślisz, że znajdą w tej sztuce coś dla siebie? Te wszystkie czary, duchy i gnomy... Twój *Juliusz Cezar* był taki dosadny!

– O, aktorzy z całą pewnością znajdą coś dla siebie. To sztuka o więzieniach.

– Naprawdę? Nigdy na to nie wpadłam... Może masz rację.

– No i porusza uniwersalną tematykę.

Chodziło mu o zemstę – bez wątpienia był to motyw uniwersalny. Felix miał jednak nadzieję, że Estelle nie będzie drażyła tematu. Wyobrażał sobie jej reakcję: zemsta jest taka negatywna. To zły przykład. Zwłaszcza dla więźniów.

Lecz ją trapiło co innego.

– Ale myślisz, że nasi ministrowie... Nie chcielibyśmy, żeby pojawiły się kolejne wątpliwości... Może udałoby ci się znaleźć coś mniej...

Wyłamywała nerwowo palce.

– Oni też znajdą coś dla siebie – zapewnił ją Felix. – Ministrowie. Jeden i drugi. Ręczę za to.

Pomniejsze duchy^[13]

Tego samego dnia



Rzeżący błękitny peugeot Feliksa wjeżdża ślimakowatą drogą pod górę, ku dwóm wysokim ogrodzeniom ze stalowej siatki, jedno wewnątrz drugiego, zwieńczonym drutem kolczastym. Znów pada śnieg, jeszcze mocniej niż przedtem. Dobrze, że wozi w aucie łopatę i worek piasku. Być może wieczorem będzie musiał odgarnąć śnieg, aby dostać się na podjazd, z którego rano odgarniał śnieg, żeby się wydostać. Zawał serca: któregoś dnia przesadzi z tym odgarnianiem, padnie bez czucia i znajdą go zamrożonego na sopel. Ot, ryzyko mieszkania z dala od ludzi.

Zatrzymuje samochód przy pierwszej bramie i czeka chwilę, aż mu otworzą, przy drugiej uchyla okno i okazuje przepustkę.

- Droga wolna, panie Duke – mówi strażnik. Wszyscy go tu dobrze znają.
- Dzięki, Herb.

Felix wjeżdża na zimny dziedziniec i parkuje na swoim wyznaczonym miejscu. Nie zamyka samochodu na klucz, bo nie ma to sensu: tutaj nie kradną. Jego kroki skrzypią na zaśnieżonym chodniku, na który wysypano już kryształki rozmrażające; wciska znajomy guzik w domofonie i przedstawia się.

Klik. Drzwi się otwierają i wchodzi do ciepłego wnętrza, wypełnionego jedynym w swoim rodzaju zapachem. Trochę nieświeżej farby, odrobina stęchlizny i nudnych posiłków, zapach przygnębienia, zgarbionych ramion,

zwieszonych głów, ciał zapadających się w sobie. Zapaszek. Cebulowe wiatry. Zimne, bose stopy, mokre ręczniki, lata sieroctwa. Zapach nieszczęścia, wiszący nad wszystkimi więźniami niczym zły urok. Są jednak chwile, gdy Felix czuje, że może go odczynić.

Przechodzi przez bramkę, przez którą musi przejść każda osoba z zewnątrz, by udowodnić, że niczego nie przemyca. Maszyna wykryje wszystko: spinacz do papieru, agraftkę, żyletkę – nawet połkniętą.

– Mam opróżnić kieszenie? – zwraca się do strażników. Nazywają się Dylan i Madison, pracują tu co najmniej tak długo jak on. Jeden ma cerę oliwkową, drugi żółtawą. Dylan jest sikhem, nosi turban. Jego prawdziwe imię to Dhian, ale zmienił je, bo – jak wyjaśnił Feliksowi – to wiele upraszcza.

– Droga wolna, panie Duke.

Dwa szerokie uśmiechy. Ten stary, niegroźny artysta miałby coś przemycać? Ciekawe co.

Słowa, myśli Felix, to ich powinniście się obawiać. Słowa są niebezpieczne, bo nie widać ich na ekranie skanera.

– Dzięki, Dylan.

Uśmiecha się żałośnie, dając do zrozumienia, że on też dostrzega bezsensowność tej procedury w stosunku do swojej osoby. Stary piernik i safandula. Naprawdę, panowie, szkoda czasu.

– Co będzie w tym roku? – zagaduje Madison. – Jaka sztuka?

Strażnicy, tak jak cała reszta, oglądają inscenizację na wideo. Dodatkowo Felix urządza im osobną pogadankę o wystawianym dramacie, żeby nie czuli się wykluczeni. Chodzi o uniknięcie sytuacji, w której więźniowie mieliby więcej frajdy niż strażnicy. Ci ostatni mogliby się o to pogniewać i zacząć robić problemy. Akty sabotażu, ginące rekwizyty. Felix wziął sobie do serca radę Estelle i stara się dogodzić wszystkim. Jak dotąd chyba mu się to udaje.

– *Makbet* był świetny – stwierdza Madison. – A ta walka na miecze!

Rzecz jasna, nie mogło być mowy o prawdziwej broni, ale tektura jest taka uniwersalna.

– O tak! – potwierdza Dylan. – „Spójrz, gdzie zatknięto głowę samozwańca przekłętą”^[14]. Brawo, Macduff! Należało się skurwielowi.

– Albo to: „Coś mnie nagle w palcu rwie, znak, że ktoś zły zbliża się”^[15].

Madison zakrzywia palce w kształt wiedźmowych szponów i śmieje się chrapliwie. Felix wciąż nie może się nadziwić, jak bardzo wszyscy pragną choć przez chwilę poczuć się aktorami.

– Oko traszki – mówi Dylan głosem czarownicy. – A może ta z łukami? Widziałem w telewizji wersję filmową. Psy wojny, pamiętam ten fragment.

– Łuki byłyby dobre – przyznaje Madison. – Psy też.

– Tak, tylko że to nie mogą być prawdziwe łuki – zaznacza Dylan. – Ani prawdziwe psy.

– W tym roku będzie troszkę inaczej – mówi Felix. – Wystawimy *Burzę*.

– Nie znam – oznajmia Madison. – O czym to?

Felix słyszy to od nich co roku; nie wie, kiedy mówią prawdę, a kiedy się z nim drocą.

– To nie ta z elfami? – pyta Dylan. – Fruwają sobie i takie tam.

Nie wydaje się zachwycony.

– Chodzi ci o *Sen nocy letniej* – wyjaśnia Felix. – W *Burzy* nie ma elfów. Są za to gnomy. Złośliwe duchy. Spodoba się wam – dodaje po chwili.

– Jest scena walki? – chce wiedzieć Madison.

– W pewnym sensie. Jest potężny sztorm. I zemsta. Dużo zemsty.

– Super – cieszy się Madison. Obaj wyglądają na zadowolonych. Zemsta to znana im rzeczywistość. Domowej roboty nóż w szyi, krew pod prysznicem, odbite nerki; niejedno już widzieli.

– Pan zawsze wybiera coś dobrego. Ufamy panu – zapewnia go Dylan.

Głuptasy, myśli Felix. Nigdy nie ufajcie zawodowemu aktorowi.

Po uprzejmościach przychodzi czas na formalności.

– Oto pański alarm – mówi Dylan.

Felix przypina sobie urządzenie do paska: wygląda jak pager. W sytuacji zagrożenia należy wezwać strażników przyciskiem. Noszenie alarmu jest obowiązkowe, lecz Felix ma poczucie, że trochę mu to urąga. Przecież ma wszystko pod kontrolą. Odpowiednie słowa w odpowiedniej kolejności: oto prawdziwa gwarancja bezpieczeństwa.

– Dzięki. No to wchodzę. Pierwszy dzień! Początki zawsze są trudne. Życie mi *merde!*

– *Merde*, panie Duke! – Madison podnosi oba kciuki.

To Felix nauczył ich mówienia *merde*. Wyjaśnił, że to stary aktorski przesąd, coś jak życzenie połamania nóg. Opowiadając o takich teatralnych smaczkach, poszerza krąg wtajemniczonych.

– W razie kłopotów proszę dać nam sygnał, panie Duke – przypomina Dylan. – Chłopaki pana asekurują.

O tak, myśli Felix, będą kłopoty, ale nie takie, jakich się spodziewacie.

– Dzięki. Wiem, że mogę na was liczyć.

Po czym rusza w głąb korytarza.

Wyspa nieprzystępna^[16]

Tego samego dnia



Ten korytarz bynajmniej nie przypomina lochów: nie ma tu łańcuchów, kajdan ani krwawych plam, choć, jak się domyśla, część z tych rzeczy można by znaleźć, gdyby dobrze poszukać. Ściany pomalowane są dość jasną zielenią, zgodnie z teorią, według której kolor ten działa uspokajająco – inaczej niż, dajmy na to, pobudzająca do złości czerwień. Gdyby nie brak plakatów i gazetek ściennych, można by pomyśleć, że to jakiś niezbyt stary budynek uniwersytecki. Czysta i lekko lśniąca szara podłoga z kompozytowego materiału bez większego powodzenia udaje granit. Nieruchome powietrze pachnie środkiem dezynfekcyjnym.

Metalowe drzwi, wszystkie pozamykane, są w tym samym kolorze co ściany. Mają zamki. Nie są to jednak cele. Oba oddziały mieszkalne – ten o najostrzejszym rygorze, z więźniami, których Felix nie widuje, i ten o średnim, gdzie odbywają karę jego aktorzy – znajdują się w skrzydle północnym.

W tej części mniej groźni więźniowie są poddawani resocjalizacji, co w praktyce oznacza udział w punktowanych kursach i terapiach. Są tu psychiatrzy, dwóch kapelanów, czasem przyjeżdża rzecznik praw więźniów i gdzieś tutaj przeprowadza rozmowy z osadzonymi.

Felix stara się unikać tych ludzi. Nie ma ochoty wysłuchiwać ich teorii. Nie chce wdawać się w dyskusje o swojej pracy. W ciągu minionych trzech

lat rozmawiał z nimi kilka razy i nie były to miłe rozmowy. Patrzą na niego krzywo, z nieznośnym wyrazem moralnej dezaprobaty.

Czy ma zły wpływ na więźniów? Według tych ludzi – tak. Musi sobie stale powtarzać, że wszystko, co powie albo raczej wykrzyczy w swojej obronie, zostanie skrzętnie zanotowane i wykorzystane przeciw niemu, o ile w przyszłości ktoś postanowi zasięgnąć opinii tych specjalistów na temat jego kompetencji terapeutycznych i/lub pedagogicznych. I dlatego cierpliwie słucha ich świętoszkowatych bredni.

Czy to na pewno dobry pomysł, panie Duke, żeby narażać tych pokaleczonych ludzi – a musi pan wiedzieć, że są bardzo pokaleczeni, wielu miało ciężkie dzieciństwo, bito ich i zaniedbywano, niektórzy powinni trafić do zakładu dla umysłowo chorych albo do ośrodka leczenia narkomanii, mieliby z tego większą korzyść niż z nauki słów sprzed czterystu lat – czy to na pewno dobry pomysł, żeby narażać ich na traumatyczne przeżycia, które mogą wywołać u nich niepokój, panikę, złe wspomnienia lub, co gorsza, agresję? Spiski i morderstwa, wojny domowe, czarna magia, odrąbywanie głów, mali chłopcy duszeni w lochu przez złego wuja – te rzeczy za bardzo przypominają to, co jeszcze do niedawna było ich życiem. Czy naprawdę chce pan ryzykować, nie boi się pan tej odpowiedzialności?

To przecież teatr, protestuje Felix, ale tylko w swojej głowie. Sztuka prawdziwych złudzeń! Oczywiście, że jej tematem są traumy! Wywołuje demony, żeby móc je przepędzić! Nie czytał pan Greków? Słowo *katharsis* nic panu nie mówi?

Ależ panie Duke, pan podchodzi do tego zbyt abstrakcyjnie. Mówimy o żywych ludziach, nie o zmiennych w pańskim estetycznym równaniu. To nie są pańskie myszy doświadczalne ani zabawki. Oni zasługują na szacunek.

Szanuję ich, odpowiada bezgłośnie Felix. Szanuję talent. Talent, któremu trzeba pomóc rozbłysnąć, a który potrafi wydobyć światło i prawdę z mroku i chaosu. Przed tym talentem otwieram czas i przestrzeń. Jemu imię i miejsce pobytu wyznaczam^[17], jakkolwiek efemeryczne; zresztą teatr w ogóle jest efemeryczny. Oto jedyny rodzaj szacunku, jaki uznaję.

Piękna wizja, mówi sam do siebie. Ale troszkę pompatyczna, nie sądzi pan, panie Duke?

Staje przed zamkniętymi drzwiami, czeka, aż się rozsuną, i wchodzi do środka. Zasuwiają się za nim. Podobne drzwi znajdują się na drugim końcu tego segmentu. Na czas prowadzonych przez niego zajęć jedne i drugie są zamykane na klucz. To dla pańskiego bezpieczeństwa, panie Duke.

Sala nie jest na podglądzie, strażnicy nie widzą ani nie słyszą, co się w niej dzieje. Felix bardzo się przy tym upierał: aktorzy w trakcie prób nie mogą być obserwowani, muszą czuć się swobodnie. Przekonywał, że wystarczy mu przycisk alarmowy przy pasku, i wygląda na to, że miał rację. Przez trzy lata nie musiał go użyć ani razu.

Jest tu łazienka – pierwsze drzwi po lewej; są trzy mniejsze pomieszczenia, które w zależności od potrzeby mogą służyć za sale do prób, garderoby albo

pokoje dla aktorów. Dwie cele pokazowe, jedna urządzona na wzór z lat pięćdziesiątych, druga – dziewięćdziesiątych, dawniej używane przez studentów wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Zachodniego Ontario; obie wyposażone w dwa piętrowe łóżka i okienko w drzwiach. Uczestnicy zajęć teatralnych wykorzystują je w swoich inscenizacjach. Grały już armijne namioty, w których Brutus i Ryszard śnili swoje koszmary. Za sprawą czerwonych koców i papierowych sztandarów zmieniały się w sale tronowe. Były jaskinią szkockich wiedźm, rzymskim senatem, lochem, w którym dwaj mordercy zaczęli się na Klarena, by następnie utopić go w kadzi wina. Zamordowano w nich lady Macduff z dziećmi. Tamta scena była prawie zbyt straszna: niektórzy aktorzy mieli nawroty mrocznych wspomnień z dzieciństwa. Brutalni łotrzy, groźby, krwiaki, wrzaski, noże.

Felix, przechodząc, zagląda przez okienka do środka. Wnętrza cel są ponure, ale schludne, prycze równo zasłane szarymi kocami. Kto by zgadł, ile magicznych, wzniosłych i okrutnych scen się tam rozegrało? Ile jeszcze się wydarzy?

I wreszcie największa sala, której Felix używa w pierwszej, bardziej wykładowej części kursu, przed rozpoczęciem prób. Jest w niej dwadzieścia ławek i ścieralna biała tablica, a także, dzięki staraniom Estelle, komputer – bez połączenia ze światem, przez co nie da się na nim oglądać porno, można tylko pracować. Przynajmniej przed wszystkim jednak na sali jest duży telewizor plazmowy. To właśnie na jego ekranie aktorzy mogą oglądać rezultaty swoich wysiłków.

W tej sali są dwie pary drzwi, jedne z przodu, drugie z tyłu. Nie ma okien. W powietrzu unosi się zapaszek soli i niemytych stóp.

I to już wszystko, myśli sobie Felix. Moje małe królestwo. Wyspa mojego wygnania. Moja pokuta.

Mój teatr.

Felix przemawia do aktorów

Tego samego dnia



Felix stoi obok białej tablicy w głównej sali, naprzeciw uczestników tegorocznego kursu. Choć dostał do wglądu listę nazwisk i zawczasu rozesłał materiały – tekst dramatu ze swoim komentarzem – do ostatniej chwili nie wie, kto się zjawi na pierwszych zajęciach. Część chętnych zawsze się wykrusza, na ich miejsce wskakują osoby z listy rezerwowej. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie było listy rezerwowej. Czasem ktoś nie dociera na zajęcia z innych powodów. Przeniesienie do innej placówki; przedterminowe zwolnienie; obrażenia wymagające pobytu w szpitalu.

Felix rozgląda się po sali. Znajome twarze, weterani poprzednich inscenizacji: ci pozdrawiają go skinieniem głowy, półuśmiechem. Nowe twarze, obojętne lub lekko zmarszczone: ci nie wiedzą, czego się spodziewać. Jedni i drudzy to pogubieni chłopcy, o ile można ich nazwać chłopcami: najmłodszy ma dziewiętnaście lat, najstarszy – czterdzieści pięć. Szeroka paleta kolorów skóry: od białego przez żółty, czerwony i brązowy do czarnego. Siedzą za najróżniejsze przestępstwa. Jedno, co ich łączy, oprócz kary pozbawienia wolności, to pragnienie bycia częścią teatralnej trupy Feliksa. Motywy, jak się domyśla, są różnorakie.

Czytał ich akta – Estelle w tajemniczy sposób zdobyła je dla niego – i choć

udaje, że jest inaczej, wie, za co trafili do więzienia. Niektórzy to członkowie gangów odsiadujący wyroki za zwierzchników, paru wpadło na półamatorskim handlu narkotykami. Jest wielu złodziei o różnych specjalnościach – banki, domy, samochody, sklepy. Młody, bardzo zdolny haker skazany za kradzież danych firmowych na zamówienie. Oszust i spec od kradzieży tożsamości. Występny lekarz. Księgowy z szanowanej firmy przyłapany na defraudacji. Prawnik i założyciel piramidy finansowej.

Niektórzy są już doświadczonymi aktorami, mającymi za sobą występy w kilku jego sztukach. Formalnie rzecz biorąc, nie powinni uczęszczać na kurs więcej niż raz, ale Felix obszedł regulamin, uzupełniając swoją ofertę o kilka dodatkowych zajęć, które oparł na poradnikach i aplikacjach ściągniętych z sieci. Tak więc na „technologię w teatrze” słuchacze uczą się o rekwizytach, oświetleniu, efektach specjalnych i scenografii cyfrowej; na „charakteryzacji” – o kostiumach, makijażu, perukach i maskach. Na „montażu cyfrowym” – jak zrobić coś z niczego. Wszystkie zajęcia są punktowane, więc góra nie ma się do czego przyczepić. Cztery kursy w cenie jednego – to przecież złoty interes.

Felix tymczasem wychował sobie grupę wszechstronnych pomocników. Ma projektantów kostiumów, montażystów, oświetleniowców, wykonawców efektów specjalnych, doskonałych charakteryzatorów. Czasem przelatuje mu przez głowę, że umiejętności, którymi się dzieli, mogą zostać wykorzystane w trakcie, dajmy na to, napadu na bank albo porwania, lecz odpycha od siebie takie niegodne myśli.

Patrzy po twarzach słuchaczy i już teraz obsadza ich w rolach. Oto idealny Ferdynand, książę Neapolu, z prostodusznym spojrzeniem wielkich oczu, jakby tylko czekał, żeby się zakochać: to Słodziak, naciągacz. Oto, jeśli go przecucie nie myli, Ariel, szczupły i zwinny duch powietrzny o skrzącej, młodzieńczej inteligencji: to Ośmioręki, genialny haker. Pękatego Gonzala, nudnego, lecz pocziwego doradcę, zagra Cienkopis, nieuczciwy księgowy. W Antonia, zdradzieckiego brata Prospera, wcieli się Wężowe Oko, ten od piramidy finansowej i kantów na nieruchomościach, człowiek o skośnym lewym oku i krzywych ustach, które nadają jego twarzy wyraz drwiny.

Dalej: Trynkulo, zgrywny błazen. Kto zostanie Stefanem, pijanym podczaszym? W ponurych i muskularnych Kalibanach, grubo ciosanych i skłonnych do przemocy, będzie można przebierać. Zanim jednak Felix podejmie jakiegokolwiek decyzje, posłucha, jak sobie radzą z kwestiami.

Uśmiecha się i jest to uśmiech człowieka, który wie, co robi. Zaczyna, jak co roku, od krótkiego przemówienia.

– Dzień dobry. Witajcie w trupie teatralnej zakładu karnego we Fletcher. Nie obchodzi mnie, dlaczego tu jesteście i co macie na sumieniu: na tym kursie przeszłość jest prologiem, a to znaczy, że winy i zasługi będą liczone od nowa. Od teraz jesteście aktorami. Będziecie grali w sztuce, każdy z was otrzyma jakąś funkcję, starzy wyjadacze już wiedzą, jak to wygląda. Nasza trupa wystawia tylko Szekspira, bo to najprostsza i najpełniejsza droga do zrozumienia teatru. U Szekspira każdy znajdzie coś dla siebie, bo Szekspir pisał dla każdego: i dla biedaków, i dla bogaczy. Ja nazywam się Duke i jestem reżyserem. To znaczy, że nadzoruję całość przygotowań, ostatnie słowo zawsze należy do mnie. Ale będziemy pracować zespołowo. Każdy

z was będzie miał ważną rolę do odegrania i dlatego musimy pomagać sobie nawzajem, bo nasz spektakl będzie tak dobry, jak jego najsłabsze ogniwo. Porażka jednej osoby jest porażką całego zespołu. Jeżeli widzicie, że ktoś ma problemy z przeczytaniem tekstu, pomóżcie mu. Pomagajcie sobie w uczeniu się roli na pamięć, w zrozumieniu swoich kwestii, w ćwiczeniu wymowy. To wasza misja. Wszyscy musimy się wspiąć na wyżyny swoich możliwości. Nasza trupa cieszy się zasłużonym uznaniem i to, co razem stworzymy, powinno odpowiadać naszej reputacji.

Wspomniałem o drużynach. Ci, którzy występowali w moich poprzednich inscenizacjach, wiedzą, jak to działa. Każda z głównych postaci będzie miała swoją drużynę, wszyscy jej członkowie muszą nauczyć się roli. Chodzi o to, żeby każdy główny aktor miał dublerów, na wypadek zachorowania lub innych... nieprzewidzianych okoliczności. Takich jak przedterminowe zwolnienie. Albo nieszczęśliwy upadek pod prysznicem. Spektakl musi się odbyć, choćby nie wiem co – tak jak w prawdziwym teatrze. W naszej trupie polegamy na sobie.

Będzie trochę pisania. Będziecie pisać o różnych aspektach sztuki, ale też przepisywać na nowo wybrane fragmenty dramatu, jeżeli uznacie – uznamy – że powinny być bardziej zrozumiałe dla współczesnego widza. Na koniec sfilmujemy nasze przedstawienie i pokażemy je wszystkim w zakładzie. Będziemy dumni z naszego dzieła, tak jak byliśmy dumni z poprzednich.

Uśmiecha się uspokajająco i zerka do teczki z dokumentami.

– Każdy z was musi sobie wymyślić pseudonim sceniczny. Robiło tak wielu aktorów i nie tylko aktorów, również śpiewacy operowi, magicy. Harry Houdini nazywał się Erik Weisz, Bob Dylan to Robert Zimmerman, a prawdziwe nazwisko Stevie Wondera to Steveland Judkins. – Felix wie to wszystko z internetu; googlował pseudonimy sceniczne. Co roku uzupełnia listę o paru młodszych artystów, nieraz takich, o których nigdy nie słyszał. – Robią tak gwiazdy filmowe, nie wspominając o rockmanach i raperach. Snoop Dogg naprawdę nazywa się Calvin Broadus. Rozumiecie, w czym rzecz. Wy też wybierzcie sobie jakiś pseudonim. Coś w rodzaju ksywy.

Kiwanie głowami, pomruki zadowolenia. Doświadczeni aktorzy, którzy mają już pseudonimy, z uśmiechem witają się ze swoim *alter ego*, gotowym do przywdziania niczym kostium.

Felix robi pauzę. Teraz najtrudniejsza część.

– Dobrze, przejdźmy do samego dramatu.

Sięga po czerwony mazak i pisze na tablicy: BURZA.

– Dostaliście już tekst i moje komentarze, mieliście trochę czasu na lekturę.

Dla niektórych uczestników była to możliwość czysto teoretyczna, zatrzymali się bowiem na poziomie trzeciej klasy podstawówki. Ale poprawią się: reszta drużyny im pomoże. Zostaną kroczyć po kroczeniu wciągnięci po schodach kultury.

– Zaczynamy od kilku istotnych kwestii, które powinniśmy mieć na uwadze, wymyślając kształt przedstawienia.

Pisze niebieskim mazakiem:

TO MUSICAL: dużo muzyki i piosenek. Czemu służy muzyka?

MAGIA: Czemu służy?

WIEZIENIA: Ile?

POTWORY: Kto nim jest?

ZEMSTA: Kto jej pragnie? Dlaczego?

Patrzy po twarzach – kamiennych, zmarszczonych albo zbaraniałych – i myśli: nie rozumieją. Inaczej niż *Juliusza Cezara*, inaczej niż *Makbeta*; wtedy od razu załapali. Nawet z *Ryszardem III* było łatwiej, mimo pewnych problemów, bo zbyt wielu aktorów brało stronę Ryszarda.

Robi głęboki wdech.

– Jakież pytania, tak na szybko?

– Tak – odzywa się Leggs (włamanie, napaść). Leggs jest weteranem tej sceny, grał Marka Antoniusza w *Juliuszu Cezarze*, jedną z wiedźm w *Makbecie* oraz Klarensa w *Ryszardzie III*. – Przeczytaliśmy sztukę. Ale czemu właściwie ją przerabiamy? Raz, że nie ma tam sceny walki, a dwa, że są jakieś duszki.

– Ja nie chcę być żadnym pedalskim duszkiem – zaznacza P-Pod. Grał Lady Makbet w *Makbecie* i Ryszmonda w *Ryszardzie III*. Chłopak ma bajer; podobno – tak twierdzi – na wolności wyczekuje go z utęsknieniem całe stadko pięknych panien.

– Ani dziewczyną – dodaje Tasak, przymknięty parę lat temu po dużej obławie na somalijski gang narkotykowy. Ogląda się na pozostałych, szukając u nich poparcia, tamci dziarsko potakują, rozlega się szmer aprobaty. Nikt nie chce grać Ariela ani Mirandy.

Zapachniało buntem, ale Feliks się tego spodziewał. Problem płci pojawiał się już w innych sztukach, dotychczas jednak wszystkie postacie kobiece były dorosłe i bardzo epizodyczne lub przynajmniej na wskroś złe i przez to łatwiejsze do przełknięcia. Z wiedźmami w *Makbecie* poszło jak po maśle, chłopcy nie mieli nic przeciwko graniu czarownic, bo myśleli o nich jak o potworach, nie jak o kobietach; z kolei rola Kalpurnii była marginalna. Lady Makbet była jeszcze bardziej potworna niż wiedźmy: P-Pod twierdził, że przypomina mu jego matkę, i stworzył niezwykle udaną kreację. Lady Anne z *Ryszarda III* była straszną piekielnicą. Tasak grał ją od kulisy do kulisy.

Jednakże Miranda nie jest ani potworem, ani dorosłą kobietą. To dziewczyna, w dodatku wrażliwa. Dla mężczyzny taka rola oznaczałaby utratę pozycji w grupie. Jej odtwórca stałby się obiektem drwin i niewybrednych zabaw. Skoro grał dziewczynę, traktowano by go jak dziewczynę. Nie mówiąc o tym, że byłoby to ze szkodą dla Ferdynanda, który musiałby kierować swoje tkliwe wyznania miłosne do nadąsanego współwzięnia.

– Jeśli chodzi o dziewczynę, chcę was od razu uspokoić. Przede wszystkim: nikt z obecnych na tej sali nie będzie Mirandą. Miranda to słodka, niewinna piętnastolatka. Obawiam się, że moglibyście wypaść w tej roli mało przekonująco.

Słychać pełne ulgi pochrząkiwania.

– No dobra – mówi Tasak – ale skoro żaden z nas jej nie zagra, to kto?

– Zamierzam dokooptować... – Feliks urywa i buduje zdanie od nowa. – Zatrudnię profesjonalną aktorkę. Prawdziwą kobietę – dodaje na wszelki

wypadek.

– Przyjdzie tutaj? – pyta P-Pod. – Będzie grała z nami?

Patrzę po sobie z niedowierzaniem. Większość chyba właśnie przekonała się do *Burzy*.

– Namówi pan do tego jakąś laskę?

Głos zabiera Słodziak, oszust o smutnym spojrzeniu:

– Nie wiem, czy to w porządku, dziewczyna będzie się tu czuła nieswojo. To znaczy, nie to, że coś. Ja bym jej palcem nie tknął. Tak tylko mówię.

– Ehe, a czym byś tknął? – odzywa się głos z tyłu. Śmiechy.

– Ona z a g r a młodą dziewczynę – uściśla Felix. – Nie powiedziałem, że to b ę d z i e młoda dziewczyna. Co nie znaczy, że będzie stara – dodaje prędko, widząc na ich twarzach pewne rozczarowanie. – Pomyślcie o próbach z nią jak o przywileju. Jeżeli będą incydenty: podszczypywanie, obmacywanie, świntuszenie, ona pożegna się z wami, a wy pożegnacie się z kursem. Oczekuję, że będziecie się zachowywać jak profesjonaliści, za których was uważam.

Nie żeby zawodowi aktorzy nigdy nie ulegali pokusie podszczypywania i obmacywania... Ale jego uczniowie nie muszą o tym wiedzieć.

– Ciekawe, który szczęściarz zagra Ferdiego jak-mu-tam – odzywa się Leggs.

– I zostanie facetem Mirandy.

– Kto zostanie, temu stanie – wtrąca P-Pod.

Chrząkania, śmiechy.

– Wszystko w swoim czasie – ucina Felix.

– No dobrze – włącza się do rozmowy Cienkopis, nieuczciwy księgowy. Jemu pseudonim wymyśliła reszta. Z początku nie był z niego zadowolony, chciał się nazywać bardziej dostojnie, na przykład „Kwantum”. Nie mógł się pogodzić z utratą poczucia wyższości. W końcu jednak przystał na „Cienkopis”, bo jaki miał wybór?

Cienkopis grał Kasjusza w *Juliuszu Cezarze*. Jest drobiazgowy, często aż do znudzenia; Felix ledwie z nim wytrzyma. Zawsze musi pokazać, jak świetnie jest przygotowany. Gonzalo. Tak, będzie świetny w tej roli.

– Wszystko fajnie – ciągnie dalej Cienkopis – ale pozostaje kwestia tego... no... Ariela.

– Pedalskiego duszka – dopowiada Leggs.

– O tym porozmawiamy w piątek – zbywa ich Felix. – A teraz pierwsze zadanie pisemne. Przejrzycie dokładnie cały tekst i wynotujecie wszystkie przekleństwa. To będą jedyne przekleństwa dozwolone podczas tych zajęć. Wszyscy, których przyłapię na używaniu innych przekleństw, będą mieli odjęte punkty. System liczenia punktów jest honorowy, ale mamy siebie nawzajem za świadków. Zrozumiano?

Weterani się uśmiechają: Felix co roku rzuca im to wyzwanie.

– Gramy o papierosy? – pyta P-Pod. – Tak jak zawsze?

– Oczywiście. Z gotowej listy przekleństw wybierzcie dziesięć, zapamiętajcie je i nauczcie się pisowni. To będą wasze przekleństwa, możecie nimi obrzucać wszystko i wszystkich. Gdyby ktoś nie wiedział, co oznaczają, służę pomocą. Gotowi, start!

Uczniowie pochylają głowy, otwierają zeszyty, wtykają nosy w książki;

w ruch idą ołówki.

Wasza brudna mowa, myśli Felix, nieraz była złą macią czystej literatury.
I wasze papierosy też, niech je krwawa dzuma.

Pierwsze zadanie: przekleństwa^[18]

Środa, 9 stycznia 2013 roku



W środę Felix jest już bardziej odprężony. Pokonał pierwszą przeszkodę. Przybiera twarz dobrego wujaszka: pobłażliwego, ale pełnego wiary w swoich podopiecznych.

- Zobaczmy, jak sobie poradziliście z przekleństwami. Kto ma pełną listę?
- Cienkopis – odzywa się Tasak.
- A kto nam ją przeczyta na głos?
- On – mówi Leggs.
- Bo potrafi je wymówić – wyjaśnia P-Pod.

Cienkopis wychodzi na środek i czyta tonem poważnym i dobitnym, jak na zebraniu zarządu:

– Bodaj ci gardło przegniło. Psie warczący. Wściekły kundlu. Syn wyrodny. Ciołku niewydarzony. Szczeniak cętkowany. Czarci pomiot. Żółwiu. Bryłło ziemi. Poczwaro. Na ciebie wszystkie chrząszcze i ropuchy. Niewolniku przez diabła na złej maci poczęty. Trująca rosa na was, co ją matka na kruczym piórze z gnojnych bagien niosła. Niech mnie zaraza. Oby złe wiatry wrzodami was owiały. Niech cię krwawa dzuma. Żaby, nietoperze, wszelkie robactwo niech was obsiadzie. Obrzydły nędzniku. Wiedzmy nasienie. Niech

wszystkie plagi, co je z grząskich bagien słońce wysysa, toczą – tu imię – cal po calu. Wciórności. Psiogłowa potwora. Najpodlejsza potwora. Bezwstydna rybo. Dorszu zwyrodniały. Błaźnie pstrokaty. Łaciate ladaco. Twoje palce niech diabli porwą. A żebyś spuchł. Szpetny półdiabeł. Szatański bękart. Mroczna stwora. Dostojne ścierwa.

– Brawo – mówi Felix. – To chyba wszystko. Nic więcej nie przychodzi mi teraz do głowy. Jakies pytania, komentarze?

– Słyszałem w życiu gorsze rzeczy – oznajmia P-Pod.

– O co chodzi z tą bryłą ziemi? – zastanawia się głośno Leggs.

– No właśnie – wtóruje mu Czerwony Kojot. – Ziemia chyba daje pokarm, nie? I ten żółw. W niektórych krajach to święte zwierzę. Dlaczego żółw jest obraźliwy?

– Kolonializm – wyjaśnia Ośmioręki, który w swoim poprzednim życiu hakera spędzał mnóstwo czasu w internecie. – Prosperowi się wydaje, że jest najmądrzejszy i wszystko wie lepiej.

No proszę, myśli Felix, co za wielokulturowość. Spodziewał się zastrzeżeń wobec „bryły ziemi”, ale nie wobec „żółwia”.

– W tej sztuce „żółw” oznacza po prostu „ślamazarę” – tłumaczy.

– Jak ci się nie chce ruszyć dupy – przychodzi mu z pomocą Wytrych.

– Dobra, cokolwiek, ale jestem za tym, żebyśmy tego nie używali – postuluje Czerwony Kojot.

– Jak wolicie – mówi Felix. – A jeśli chodzi o „ziemię”, to jest przeciwieństwem „nieba”. Oznacza coś niskiego i brudnego.

– Tego też nie używajmy.

– Powtarzam: jak wolicie. Coś jeszcze?

– Chcę, żeby to było jasne – podkreśla Czerwony Kojot. – Niech nikt się nie waży nazywać mnie żółwiem albo bryłą ziemi. Nie życzę sobie.

– Dobra, wyluzuj – mówi Leggs.

– Ja mam pytanie – odzywa się Tasak. – Czy „gówno” jest przekleństwem? Możemy tak mówić czy nie?

Dobre pytanie, myśli Felix. W zasadzie można by uznać, że „gówno” to nie przekleństwo, lecz wyrażenie skatologiczne. Ale nie ma ochoty słuchać tego słowa na okrągło. „Gówno wiesz”, „gówno mnie to obchodzi”, „co za gówno”. Mógłby poddać sprawę pod głosowanie, ale od czegoś przecież tutaj jest, prawda?

– „Gówno” jest zabronione. Musicie sobie radzić bez niego.

– Przecież w zeszłym roku nie było – zauważa Leggs.

– Zmieniłem zdanie. Mam dość gówna. To się robiło monotonne, a monotonia jest sprzeczna z duchem Szekspira. Dobra, jeżeli nie ma więcej pytań, przechodzimy do sprawdzianu z pisowni. Tylko bez ściągania. Wszystko stąd widzę. Gotowi?

O cudzie!^[19]

Czwartek, 10 stycznia 2013 roku



Felix zaangażował już odpowiednią Mirandę. To dziewczyna, którą obsadził w tej roli przed dwunastu laty, w inscenizacji, która nie doszła do skutku. Gimnastyczka Anne-Marie Greenland.

Owszem, minęło sporo czasu, ale dwanaście lat temu była jeszcze bardzo młoda. Dziewczyna o jej figurze – szczupła, zgrabna – z pewnością nadal miała w sobie coś z Mirandy. O ile się nie roztyła.

Odnalezienie jej wymagało pewnej pomysłowości. Nie chciał korzystać z usług agencji castingowej, bo trudno było oczekiwać, że jakaś agencja zechce umieścić swoją klientkę w zakładzie karnym: to by się mogło skończyć pozwem odszkodowawczym. Uznał, że musi sam się z nią skontaktować i namówić ją do udziału. Był nawet gotów wysupłać ze swojego skromnego budżetu pieniądze na jej honorarium.

Z pomocą przyszedł mu internet: bardzo szybko znalazł jej CV w serwisach ActorHub i CastingGame. Po fiasku jego *Burzy* zagrała na festiwalu kilka mniejszych ról: prostytutkę w *Peryklesie*, niewolnicę w *Antoniuszu i Kleopatrze*, tancerkę w *West Side Story*. Nic wielkiego. Tamta rola Mirandy była dla niej cudowną szansą: Felix pozwoliłby jej talentowi zabłysnąć,

wiele by się od niego nauczyła. To byłby przełom w jej karierze. Tony i Sal nabruździli nie tylko w jego życiu.

Po *West Side Story* Anne-Marie przetrzuciła się całkiem na taniec. Przez kilka sezonów uczyła się, a potem występowała gościnnie w grupie Kidd Pivot: znalazł na YouTube niesamowite nagranie żywiołowego układu, w którym towarzyszyło jej dwóch tancerzy. Kontuzja zmusiła ją jednak do opuszczenia grupy na krótko przed ich spektakularną adaptacją *Burzy* i spowodowała ośmiomiesięczną lukę w jej życiorysie. Później odpowiadała jeszcze za choreografię w półamatorskiej realizacji *Crazy for You* w Toronto. To było w zeszłym roku.

Wyglądało więc na to, że Anne-Marie przechodzi w życiu trudny okres. Czy miała męża albo partnera? Nie znalazł o tym żadnej wzmianki.

Miała konto na Facebooku, ale ostatnio niewiele publikowała. Kilka swoich zdjęć: szczupła, muskularna miodowa blondynka. Duże oczy. Tak, wciąż nadawała się na Mirandę. Ale czy będzie zainteresowana?

Felix dodał ją do znajomych jako Felix Phillips. O dziwo, przyjęła zaproszenie.

Teraz musiał jeszcze namówić ją do współpracy. Zapytał, czy go pamięta. Tak, odpisała lakonicznie. Ani jednego radosnego wykrzyknika. Czy byłaby zainteresowana rolą w przedstawieniu? To zależy, odpowiedziała. No tak, pomyślał, już raz się na nim sparzyła; dlaczego sądził, że wystarczy zapukać, a otworzy mu szeroko drzwi do swojego życia, jak gdyby nic się nie stało?

Wyciągnął z niej, że pracuje na pół etatu jako baristka w dużej kawiarni Horatio's w Makeshiweg. Pewnie liczyła na jakiś angaż na festiwalu. Umówił się z nią i o ustalonej porze podjechał po nią do kawiarni. Nie bał się, że ktoś z dawnych czasów go rozpozna: wyglądał teraz inaczej, miał białą brodę i białe brwi, a zresztą większość starej ekipy już tam nie pracowała (sprawdził na stronie internetowej teatru).

Anne-Marie, stwierdził to z ulgą, wciąż wyglądała młodo. Na pewno nie przytyła, a może nawet zeszczuplała. Włosy nosiła związane w kok baletnicy; w uszach błyszcząły po dwa złote kolczyki. Miała na sobie obcisłe dzinsy i białą koszulę – zapewne roboczy strój baristy.

Zabrał ją za róg, do Diabła i Trufla, jednego z głośniejszych pubów; z szyldu uśmiechał się czerwonoooki troll, jakby żywcem wyjęty z jakiegoś krwawego horroru. Rozsiedli się w boksie z ciemnego drewna, Felix zamówił sobie i Anne-Marie po szklance miejscowego rzemieślniczego piwa.

– Coś do jedzenia? – zapytał. Powoli zbliżała się pora lunchu.

– Burgera z frytkami – odparła, przyglądając mu się wielkimi chłopięcymi oczami. – Średnio wysmażonego.

Przypomniał sobie pierwszą zasadę biedującego aktora: nigdy nie odmawiaj poczęstunku. Sam przecież w swoim czasie pożerał w pokoju aktorów całe talerze sera i winogron.

– Nie widzieliśmy się szmat czasu – zaczęła. – Pamiętam, że przepadłeś jak kamień w wodę. Nikt nie wiedział, co się z tobą stało.

– Tony mnie załatwił.

– Tak, mówiło się o tym. Niektórzy z nas myśleli, że naprawdę cię załatwił. Ukatrupił i zakopał.

- Prawie. Trochę tak się czułem.
 - Nie pożegnałeś się z nami – przypomniała z wyrzutem.
 - Wiem. Przepraszam. Nie mogłem. Miałem swoje powody.
- Zmiękła trochę i posłała mu niewyraźny uśmiech.
- Pewnie ciężko to przeżyłeś.
 - Żałowałem, zwłaszcza że nie mogłem poprowadzić ciebie. W *Burzy*.

Byłabyś wspaniała.

- No cóż – odparła. – Ja też żałowałam.

Podwinęła rękawy koszuli – gorąco było wśród tych rzemieślniczych piw – odsłaniając tatuaż z pszczołą.

– Lepiej późno niż wcale – rzekł Felix. – Chcę, żebyś zagrała *Mirandę*. W *Burzy*.

- Bez jaj. To nie żart?

– Ani trochę. Choć sytuacja jest nieco osobliwa.

– To akurat nic nowego – odparła. – Do dziś pamiętam całą rolę. Ciężko pracowałam nad tym tekstem, mogłam go recytować przez sen. A gdzie to będzie?

Nabrał powietrza.

– W zakładzie karnym we Fletcher. Prowadzę tam zajęcia teatralne. Dla, hm, osadzonych. Niektórzy są naprawdę niezłymi aktorami, zdziwiłabyś się.

Anne-Marie pociągnęła tęgi łyk piwa.

– Zaraz, zaraz. Chcesz, żebym zagrała *Mirandę* w więzieniu, z przestępcami, dla przestępców?

– Żaden nie chce być dziewczyną – wyjaśnił. – Trudno im się dziwić.

– O tak. Ja ich rozumiem – oznajmiła z domieszką goryczy. – Nie ma nic gorszego niż bycie dziewczyną, uwierz mi.

– Przyjęliby cię z otwartymi ramionami.

– Nie wątpię!

– Mówię serio. Będą cię szanować.

– Już widzę tych twoich wydelikatniałych Ferdynandów.

– Tam jest bezpiecznie. Strażnicy mają paralizatory i Bóg wie co jeszcze. – Zamilkł na chwilę. – Nie żeby były potrzebne. Naprawdę. – Znów przerwa. – Dostaniesz honorarium. – Kolejna pauza, wreszcie ostateczny argument: – To będzie jedyne w swoim rodzaju doświadczenie aktorskie. Obiecuję.

– Nikt inny się nie zgodził, prawda?

Felix wiedział, że prawie ma ją w garści.

– Nikogo innego nie pytałem – oświadczył zgodnie z prawdą.

– Jestem za stara. Minęło dwanaście lat.

– Jesteś idealna. Masz w sobie świeżość.

– Gównu też bywa świeże.

Felix aż zamrugał. Ten jej niewyparzony język zawsze go zaskakiwał. Nigdy nie był przygotowany na plugastwo w jej dziecinnych ustach.

– Po prostu – dodała – twoim zdaniem wyglądam jak dziecko. Bo nie mam cycków.

Nie było sensu zaprzeczać.

– Cycki są przereklamowane – oznajmił. Był to miód na serce Anne-Marie (i wszystkich kobiet z małymi piersiami). Uśmiechnęła się lekko.

– Prospera zagrasz ty? Nie żaden gangster? Bo uwielbiam jego monologi. Gdyby ktoś je spieprzył, nie mogłabym tego słuchać.

Przytaknęła.

– Magia w pierdłu: to dla mnie nowe wyzwanie. Występ na zwykłej scenie to przy tym małe piwo. Poza tym to może być moja ostatnia szansa.

Uśmiechnęła się spontanicznie.

– Jesteś tym samym wariatem co dawniej. Natchnionym wariatem! Nie znam nikogo, kto porwałby się na takie coś. Dobra, wchodzę w to!

Wyciągnęła dłoń w jego stronę, ale Felix jeszcze nie skończył.

– Dwie sprawy. Po pierwsze, dla nich nazywam się Duke. Nikt tam nie wie o festiwalu – że kiedyś byłem... Długo by opowiadać, później wszystko ci wyjaśnię. W każdym razie nie wolno ci mówić o mnie „Felix Phillips”. Mógłbym mieć przez to kłopoty.

– Od kiedy to boisz się kłopotów?

– To by mogły być poważne kłopoty. Po drugie, nie wolno używać pospolitych przekleństw. Zabroniłem. Dozwolone są tylko przekleństwa, które pojawiają się w sztuce.

Zamyśliła się.

– Spoko, dam radę. Co tam, ciołku? Całuj księgę! Podoba mi się ten układ.

Teraz uściśniła sobie dłonie. Anne-Marie miała chwyt jak otwieracz do słoików. Cnota córki nie będzie jedynym powodem, dla którego Prospero każe Ferdynandowi trzymać się od niej z dala: szkoda by było, gdyby pan młody przedwcześnie oszpetniał.

– Podoba mi się ta pszczoła. Twój tatuaż. Czy ma jakieś ukryte znaczenie?

Spuściła oczy.

– Byłam przez chwilę z Arielem. Tym aktorem z twojego przedstawienia. Było miło, dopóki nie złamał mi serca. Ta pszczoła to był taki nasz żart.

– Jaki żart?

Dopiero gdy wymówił te słowa, dotarło do niego, że wcale nie chce wiedzieć. Na szczęście przyniesiono hamburgera i Anne-Marie, westchnąwszy z rozkoszą, zatopiła w nim swoje bielutkie zęby. Felix patrzył, jak go pożera, i próbował sobie przypomnieć to uczucie, gdy człowiek chodzi głodny.

Niewidzialny dla każdej żrenicy^[20]

Piątek, 11 stycznia 2013 roku



Felix zaczyna piątkowe zajęcia od zarzucenia haczyka.

– Mam wiadomość w sprawie aktorki – oznajmia. – Tej, która zagra Mirandę.

Mówi spokojnym, beznamiętnym głosem. Dobrą czy złą? Trzyma ich przez chwilę w niepewności.

Wszyscy siedzą cicho, czekają z wyteżoną uwagą.

– Wiedziałem, że znalezienie chętnej nie będzie łatwe, że to musi być ktoś wyjątkowy. – Ledwie uchwytnie potakiwania. – Miała wiele wątpliwości. Długo ją namawiałem – ciągnie dalej, odwołując *clou*. – Myślałem, że nic z tego. Ale w końcu...

– Jest! – cieszy się Ośmioręki. – Zaje... to znaczy, niech mnie zaraza!

– Tak, w końcu mi się udało.

– Ale wyczar! – woła P-Pod.

– Dziękuję.

Felix pozwala sobie na uśmiech, robi lekki ukłon. Oczekują od niego pewnej oficjalności, dystygowanych manier, jak przystało na dżentelmena starej daty, którego udaje.

– Nazywa się Anne-Marie Greenland i jest nie tylko aktorką, ale również tancerką. Bardzo atletyczną – dodaje. – Przyniosłem wam nagranie jej występu.

Podłącza do więziennego komputera pendrive, na który zgrał klip z YouTube'a.

– Proszę o zgaszenie światła.

Na ekranie pojawia się Anne-Marie z czasów, kiedy tańczyła, ubrana w zielone satynowe szorty i czarny top z odkrytymi plecami. RzUCA swojego gibkiego partnera na parkiet, oplata go rękoma i nogami jak ośmiornica, zakłada mu chwyt na szyję i odgina głowę do tyłu. Tamten uwalnia się, podrzuca ją do góry, kręci nią w powietrzu, tuż nad ziemią, nagle ona prześlizguje mu się między nogami, podrywa się w mgnieniu oka i odbija od parkietu. Chwyta go w żelazny uścisk i wygina mu łokieć pod bolesnym kątem. Muskuly jej żyłastych ramion prezentują się w całej okazałości.

– Łooo – komentuje ktoś. – Krucze pióro!

– Zła mać, z taką to lepiej nie zadzierać!

– A jaki ma psiogłowy tatuaż!

– O czym to jest, do grząskich bagien?!

– Chyba o romantycznej miłości – stwierdza Felix i natychmiast robi mu się wstyd, że to powiedział. W zaczarowanym świetle, do którego zamierza ich niebawem przenieść, nie ma miejsca na tego rodzaju cynizm.

Anne-Marie kręci piruety wokół partnera, który turla się po ziemi. Robi przewrót do tyłu i ląduje na nogach. Pojawia się trzeci tancerz, podnosi ją i przerzuca przez ramię, Anne-Marie młóci powietrze stopami, po chwili znów jest na ziemi; na moment przybiera bokerską pozę, zaraz jednak ucieka i obaj mężczyźni ruszają w pościg. Ona staje, zniechęta unosi wygiętą stopę i wymierza im kopniaka piętą. Dwaj tancerze zgodnie upadają na parkiet. Anne-Marie wzbija się w powietrze – niewiarygodnie wysoko.

Blekaut.

Słychać zbiorowy wydech.

– Proszę o światło.

Nastaje jasność i Felixowi ukazują się twarze o wybałuszonych oczach.

– To była tylko niewielka próbka wszechstronnych talentów naszej nowej Mirandy. Anne-Marie dołączy do nas za półtora tygodnia, kiedy już uporamy się z obsadą. Będzie uczestniczyła w czytaniu sztuki.

– Czy ona ma jakiś czarny pas czy co? – pyta Leggs.

– Weź, ona jest... Krwawa z niej dzuma! – rzuca P-Pod.

– Taka jak cię kopnie w jaja, to ci ustami wylecą – podsumowuje Wężowe Oko. – Pewnie lesba. Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić!

Nikt się nie śmieje.

– Skóra i kości – odzywa się Piguła. – Anorektyczka.

– Ja tam wolę, jak jest za co złapać – mówi P-Pod.

– Nie ma co wybrzydzać – zauważa Krampus, smętny mennonita.

– Właśnie, brzydalu – wtóruje mu Leggs. – Jak dla mnie supercizia.

– Jest bardzo zdolna – mówi Felix. Z satysfakcją odnotował, że ćwiczą już posługiwanie się wybranymi przez siebie przekleństwami. – Mamy szczęście, że się zgodziła. Ale na waszym miejscu chodziłbym koło niej na paluszkach.

Sami rozumiecie dlaczego.

– Wygląda na taką, co potrafi zabić kciukiem – stwierdza smutno Słodziak.

– Dobrze – mówi Felix – teraz porozmawiajmy o Arielu. Czy ktoś z was byłby zainteresowany tą partią?

– Nie ma mowy – odzywa się głos z tyłu. – Powiedziałem: nie zagram żadnego pedalskiego duszka. – To Wężowe Oko, człowiek o jasno określonych poglądach.

Reszta podziela jego odczucia: nikt nie podnosi ręki, wszyscy patrzą bykiem. Felix wie, co sobie myślą. Ariel jest dla nich jak Miranda. Zbyt słaby. Zbyt gejowski. Wykluczone.

– Skoro ściąga pan aktorkę, żeby zagrała Mirandę – odzywa się Tasak – to może do tej roli niech pan ściągnie jakąś ciotę.

– Właśnie – podchwytną inni, śmiejąc się pod nosem.

Felix mógłby ich zapytać, dlaczego uważają, że Ariel jest ciotą, ale wie dlaczego. Ariel fruwa, śpi w kwiatach, jest zwiewny. Wygląda jak gej, zachowuje się jak gej. No i ta jego piosenka o ssaniu kwiatów... Tylko skończony straceniec odważyłby się to zaśpiewać. Takiej plamy na honorze już by nie zmazał. Stałby się popychadłem.

Nie ma sensu im tłumaczyć, że Ariel nie jest żadnym gejem, tylko sylfem, duchem powietrznym. Ani że „ssanie” w czasach Szekspira nie budziło jeszcze negatywnych skojarzeń, którymi później obrosło, skoro budzi je teraz, w chwili wystawiania sztuki.

– Pomówmy trochę o Arielu – proponuje, co w gruncie rzeczy oznacza, że sam będzie o nim mówił, bo nikt spośród obecnych nie wychylił się w tak śliskiej kwestii. – Może widzimy w nim geja, bo myślimy o nim zbyt wąsko.

– Robi pauzę, żeby mogli to przetrwać. Wąskie myślenie? Co to w ogóle znaczy?

– Zanim przypniemy mu łatkę, wymieńmy jego cechy. Jaka to istota? Po pierwsze, potrafi stawać się niewidzialny. Po drugie, umie latać. Po trzecie, ma niezwykle moce, włada gromem, wiatrem i ogniem. Po czwarte, jest muzykalny. A po piąte i najważniejsze... – Znów zawiesza głos. – Nie jest człowiekiem.

Rozgląda się po sali.

– A jeśli on w ogóle nie istnieje? – zastanawia się na głos Czerwony Kojot. – Może Prospero rozmawia sam ze sobą? Najadł się pejotlu i ma zwidy. Albo po prostu zwariował.

– Może to wszystko tylko mu się śni – dodaje Tasak.

– Może ta łajba, do której go wsadzili, poszła na dno. I to wszystko dzieje się w chwili, kiedy Prospero tonie.

To jeden z nowych: VaMoose.

– Był taki film – przypomina sobie TimEez.

– Albo ma wyimaginowanego przyjaciela – dorzuca P-Pod. – Mój syn takiego miał.

– Nikt inny go przecież nie widzi – mówi Leggs.

– Widzą go pod postacią harpii – zauważa Cienkopis.
– Słyszą go – uściśla Wytrych.
– Okej, okej – ustępuje Czerwony Kojot. – Chociaż na upartego Prospero mógłby być, ja wiem, brzechomówcą.
– Przypuśćmy, że Ariel jednak jest mniej lub bardziej prawdziwy – odzywa się Felix. Jest zadowolony: przynajmniej wywiązała się rozmowa. – Wyobraźcie sobie, że nigdy przedtem nie słyszeliście o tej sztuce i że o Arielu wiecie tylko tyle, ile wam powiedziałem. Co to za istota?

Szmer.

– Coś jak superbohater – odpowiada Leggs. – Z Fantastycznej Czwórki. Albo Superman. Tylko że Prospero ma kryptonit, więc go kontroluje.

– Mnie się kojarzy ze *Star Trekiem* – mówi P-Pod. – On jest jak obcy, który wylądował na Ziemi, bo jego statek kosmiczny miał awarię. Utknął tutaj, ale chciałby odlecieć z powrotem na swoją, nie wiem, planetę albo coś, jak E.T., pamiętacie ten film? To coś w podobie.

– Robi, co Prospero mu każe, bo chce, żeby Prospero mu pomógł – dopowiada Ośmioręki. – Pracuje na swoją wolność.

– Chce wrócić do swoich – kwituje Czerwony Kojot.

Słychać pomruki aprobaty. Tak, to ma sens! Obcy! Brzmi sto razy lepiej niż duszek.

– A jak sobie wyobrażacie jego kostium? – pyta Felix. – Jak on wygląda?

Woli przemilczeć tradycyjne sposoby przedstawiania Ariela na scenie: ptasie pióra, strój wązki, anioł, motyle skrzydła. Nie muszą też wiedzieć, że od dwustu lat Ariela niezmiennie grają kobiety.

– Jest zielony – mówi P-Pod. – Ma owadzie oczy, jak ci kosmici. Duże oczy bez źrenic.

– Zielony to kolor drzew – zauważa Leggs. – Dla niego lepszy byłby niebieski, kolor powietrza.

– Nie może jeść tego, co ludzie. Tylko kwiaty i różne takie – stwierdza Czerwony Kojot. – Jak weganin.

Potakiwania. Ta teoria pozwala bez utraty honoru wytłumaczyć ciągoty do ssania nektaru. To jasne, że kosmita ma swoje dziwne upodobania żywieniowe.

– Dobrze – mówi Felix. – A teraz: jaką funkcję pełni w dramacie?

Ciche i niewyraźne mamrotania.

– Co pan rozumie przez „funkcję”? – pyta Cienkopis. – Tak jak pan pisze w komentarzach: jest dobrym sługą. Wykonuje rozkazy. W odróżnieniu od Kalibana.

– Tak, tak, ale co by zostało z dramatu, gdyby nie usługi, które Ariel wyświadcza Prosperowi? Gdyby nie pioruny i błyskawice? Gdyby nie było burzy? Ariel dokonuje najważniejszej rzeczy z punktu widzenia całej fabuły, bo bez tej burzy w ogóle nie byłoby sztuki. Jest niezbędny. A jednocześnie działa zakulisowo – tylko Prospero wie, że te wszystkie gromy, piosenki i miraż są dziełem Ariela. Gdybyśmy mieli go w zespole, byłby człowiekiem od efektów specjalnych. – Felix znów toczy okiem po sali, szukając kontaktu wzrokowego. – Można powiedzieć, że Ariel przypomina trochę specja od wirtualnej rzeczywistości 3D.

Pierwsze uśmiechy.

– Super – rzuca Ośmioręki. – Zarybiście.

– Dlatego w naszej sztuce – ciągnie dalej Felix – Ariel będzie postacią, ale i twórcą efektów specjalnych. Światło, dźwięk, symulacja komputerowa. Wszystko. Będzie do tego potrzebował drużyny, zresztą Ariel w dramacie też ma swoją drużynę duchów, której przewodzi.

Oczy im rozbłyskują: uwielbiają zabawy z komputerem, a nieczęsto trafia im się okazja.

– Fajnie! – woła Tasak.

– To kto chce być w drużynie Ariela? Są jacyś ochotnicy?

Las rąk. Teraz, gdy zdali sobie sprawę z możliwości, wszyscy chcą być w drużynie Ariela.

Wyspa dźwięczy, szemrze, gada^[21]

Tego samego dnia



Słońce chyli się ku zachodowi; świeci zimnym, bladożółtym blaskiem. Ze szczytu wewnętrznego ogrodzenia spoglądają dwie wrony. Nic z tego, moje drogie, myśli Felixa. Dziś tylko ja stąd wychodzę i jeszcze nie umarłem. Gramoli się do zamarzłego samochodu. Za drugim razem silnik odpala.

Zewnętrzna brama otwiera się jakby popchnięta niewidzialnymi dłońmi. Dziękuję wam, moje skrzaty, mówi bezgłośnie Feliks, wy, duchy kolczastych drutów, paralizatorów i mocnych murów, choć wątła moc wasza^[22]. Gdy odjeżdża w dół zбочa, brama zamyka się za nim z metalicznym łoskotem. Robi się już ciemno i jeden po drugim budzą się potężne więzienne reflektory.

Samochód Feliksa przez jakiś czas podąża główną drogą, potem odbija w bok i sunąc ostrożnie po wąskiej zaśnieżonej szosie, wiezie go ku jego jaskini, tak jakby Feliks kierował nim wyłącznie za pomocą myśli. Pozwala sobie teraz na ciche westchnienie ulgi: pierwsze i najtrudniejsze przeszkody zostały przezwyciężone, pierwsze cele osiągnięte. Skaptował Mirandę i zrehabilitował Ariela. Reszta obsady powoli wyłania się z mgły, twarze są jeszcze niewyraźne, ale już coś widzi. Jak dotąd jego czary działają.

Samochód zatrzymuje się jak na mieliźnie. Na szczęście nie trzeba znów odgarniać zmarzniętej brei. Felix parkuje, zamyka auto i brnąc przez skrzypiący śnieg, dociera do swojej nory. Znad łąki po lewej dobiega szklisty szmer: to wiatr porusza oblodzonymi badyłami chwastów, które sterczą spod zasp. Podzwaniają jak dzwonki.

W środku jest ciemno, nie pali się żadne światło. Felix prawie zapukał – lecz kto miałby mu otworzyć? Przenika go nagły chłód, jakby na wieść o bezpowrotnej stracie. Otwiera drzwi.

Pusto. Martwo. W środku ziąb; rano przed wyjściem nakładł drewna do piecyka, lecz grzejnik jak zwykle wyłączył. Wolał nie ryzykować, mimo że Miranda na pewno miałaby na niego oko, czyż nie?

Głupcze, mówi do siebie. Jej tu nie ma. Nigdy nie było. To wszystko twoja wyobraźnia i nic więcej. Przestań się łudzić.

Ale nie potrafi.

Rozpala ogień, włącza grzejnik. Niedługo znów będzie ciepło. Na kolację zje jajko i parę krakersów. Popije herbatą. Nie jest bardzo głodny. Po intensywnym pierwszym tygodniu opadła adrenalina, tak to sobie tłumaczy. A jednak czuje w sobie jakąś słabość, zniechęcenie, pęknięcie woli, jakieś zachwianie.

Jeszcze niedawno wydawało się, że zemsta jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło poczekać, aż Tony i Sal przyjadą z wizytą do więzienia, i zadbać o to, by nie oglądali nagranego przedstawienia z naczelnikiem w jego biurze, ale w zamkniętym skrzydle, w którym będzie na nich czekał – choć nie ujawni się od razu. Spektakl zostanie pokazany w dwóch wersjach. Pierwsza, oficjalna, będzie wyświetlana na ekranach w całym więzieniu. W drugiej nagle pojawią się prawdziwi ludzie, wykonujący jego polecenia. Tworzenie iluzji za pomocą dublerów – jedna z najstarszych teatralnych sztuczek.

Ale teraz ta wizja mętnieje. Skąd pewność, że mu się uda? Nie sztuka sama w sobie, bo ta będzie skończona i utrwalona, lecz ten drugi spektakl, improwizowany dramat z udziałem jego szacownych wrogów – jak to zrobić? Będą mu potrzebne umiejętności techniczne, których nie posiada. Lecz niechby nawet zdołał rozwiązać ten problem – i tak porywa się na wielce ryzykowną grę. Tyle rzeczy może pójść nie tak! Aktorzy mogą dać się ponieść emocjom, zwłaszcza w obecności srogiego ministra. Co będzie, jeśli ulegną pokusie? Ktoś może ucierpieć.

Nic złego się nie stanie, powtarza sobie w duchu. Ale czy może być tego pewien? Nie ma na swoich usługach posłusznych mu żywiołaków, nie jest prawdziwym czarodziejem. Nie dysponuje żadną bronią.

Lepiej abdykować. Zaniechać odwetu i powrotu. Pożegnać się z dawnym życiem. Po cichu odejść w mrok. Czy w ogóle osiągnął w życiu cokolwiek poza garstką krzykliwych momentów, ulotnych triumfów, które w świecie, w którym żyje większość ludzi, przechodziły bez echa? Dlaczego sobie uroił, że należą mu się jakieś szczególne względy od całego wszechświata?

Miranda nie lubi tych jego napadów przygnębienia. Martwi się wtedy.

Może właśnie dlatego stara się być niewidzialna – choć przecież i tak prawie jej nie widać. Czy to jej mruczenie dobiega teraz zza ściany? Czy to tylko lodówka?

Sypialnia pachnie lekarstwem, jakby ktoś tu długo chorował. Nie, nie ma jej tutaj. Nie licząc zdjęcia w srebrnej ramce: dziewczynka na huśtawce, zastygła w galaretkę czasu. Uśmiechnięta, lecz nieżywa.

Felix włącza lampkę przy łóżku, otwiera drzwi wielkiej szafy. Czarodziejska szata czekała na niego dwanaście lat. Czyżby jednak miała się zmarnować? Jej rozliczne oczy błyskają żywo, bystro.

– Jeszcze nie dziś – oznajmia swoim zaczarowanym zwierzętom. – To jeszcze nie pora.

Ich pora będzie jego porą. Porą jego zemsty. Musi być jakiś sposób, żeby tego dokonać. Na pewno zostało mu w zanadru jeszcze kilka sztuczek.

Wraca do dużego pokoju.

– Droga – mówi na głos; i oto widzi ją, schowała się w kącie. Dobrze, że jest ubrana na biało: świeci w półmroku. Co to za niespokojna energia bije od niej? Wyczuła jego zmartwienie i udzieliło się jej.

– Nic złego się nie stało i nie stanie, obiecuję. Z myślą o tobie wszystko będę czynił^[23].

Lecz ile była warta cała jego troska? Owszem, chronił ją, ale czy aby nie przesadzał? Nie dostała od niego tylu rzeczy, które jej się należały. Powinna mieć wszystko to, bez czego inne dziewczynki nie wyobrażają sobie życia, cokolwiek to jest. Na pewno ubrania. Dużo ładnych ubrań. Chodzi w byle czym, w sukienkach ze starych prześcieradeł. Powinna mieć jedwabie i aksamity, krótkie spódniczki i te wysokie buty, którymi zachwycają się dzisiejsze nastolatki. Powinna mieć iPhone'a w pastelowym odcieniu. Powinna sobie malować paznokcie na niebiesko, srebrno albo zielono, rozmawiać z przyjaciółmi, słuchać muzyki przez różowe słuchawki. Chodzić na imprezy.

Był rodzicem-porażką. Jak może jej to wynagrodzić? Aż dziw, że Miranda nie straciła pogody ducha, mieszkając na odludziu ze swoim, pozał się Boże, ojcem. Choć z drugiej strony: nie wie, co ją ominęło. Poza tym zdołał ją nauczyć wielu rzeczy, o których większość dziewczyn w jej wieku nie ma bladego pojęcia.

– Co dzisiaj robiłaś? – zagaduje do niej. – Może partyjka szachów?

Miranda niechętnie – czy to niechęć? – podchodzi do szachownicy, ustawionej tam gdzie zwykle, na laminowanym czerwonym stoliku.

Białe czy czarne?

To moja wyspa^[24]

Poniedziałek, 14 stycznia 2013 roku



W poniedziałek rano Felix znów jest pewny swego. Musi postępować tak, jakby wszystkie przygotowania do spektaklu szły torem utartym w minionych latach. W tym tygodniu uczestnicy zajęć spróbują lepiej zrozumieć głównych bohaterów – będzie to wstęp do obsady ról. Z Arielem i Mirandą na szczęście już się uporali, reszta postaci nie powinna nastreczyć większych trudności, może z wyjątkiem Kalibana. W dyskusji o Kalibanie na pewno wypłyną drażliwe kwestie.

Jeśli zaś chodzi o jego drugie, sekretne przedsięwzięcie, nie wolno mu wypuścić tej nici z rąk, musi podążać za nią w ciemność. Bez względu na to, jaką formę przybierze jego zamysł, o powodzeniu zadecyduje idealne zgranie w czasie. To jego ostatnia szansa, by oczyścić swoje imię i utrzyć nosa wrogom. Jeżeli z niej nie skorzysta, jego gwiazda zgaśnie na zawsze. Nie żeby ostatnio świeciła z wielką mocą.

Nie może się cofnąć, nie może się wahać. Musi działać siłą rozpędu. Wszystko zależy od jego woli.

– Jak idzie, panie Duke? – pyta go Dylan, kiedy przechodzi przez kontrolę bezpieczeństwa.

– Na razie świetnie – odpowiada wesoło.

– Kto zagra geja? – chce wiedzieć Madison.

– W tej sztuce nie ma gejów.

– Nie ma?

– Możecie mi zaufać. Swoją drogą, w przyszłym tygodniu przyprowadzę aktorkę z zewnątrz – i to nie byle kogo. Nazywa się Anne-Marie Greenland. Zagra jedyną rolę kobiecą. Mirandę.

– Tak, słyszeliśmy – przyznaje Madison. W zakładzie karnym we Fletcher poczta pantoflowa, przynajmniej gdy idzie o niektóre kwestie, działa bardzo sprawnie. A może to system inwigilacji więźniów? Tak czy owak, pogłoski rozprzestrzeniają się niczym epidemia grypy. – Nie możemy się doczekać – dodaje z uśmiechem.

– Dostała przepustkę? – pyta Dylan.

– Oczywiście – mówi Felix pewniej, niż się czuje. Estelle wszystko załatwiła. Nie było łatwo, wyrażano obiekcje, ale ona wie, gdzie pociągnąć za sznurek, czyją dumę połechtąć. – Mam nadzieję, że wszyscy, w tym również pracownicy, przyjmiecie ją serdecznie.

– Będzie musiała nosić alarm – zaznacza Dylan. – Ta cała aktorka. Pokażemy jej, jak go używać. W razie kłopotów.

Widać, że zżera ich ciekawość: chcieliby dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale nie chcą się zdradzać ze swoim nadmiernym entuzjazmem. Rzucić im kąsek? Powiedzieć o dostępnym w internecie nagraniu, na którym Anne-Marie robi lasagne ze swoich partnerów tanecznych? Może lepiej nie.

– Nie będzie kłopotów – odpowiada – ale to bardzo miło z waszej strony.

– Ależ drobiazg, panie Duke.

– Jesteśmy do usług – dodaje Madison.

– Może pan na nas liczyć. Miłego dnia – mówi Dylan. – *Merde!*

– Tak, *merde!* – rzuca Madison i unosi oba kciuki.

– Cała akcja rozgrywa się na wyspie – mówi Felix, stojąc obok białej tablicy. – Ale co to za wyspa? Czy ona sama jest magiczna? Tego się nie dowiadujemy. Różne osoby, które na niej lądują, różnie ją odbierają. Jedni się jej boją, drudzy chcą nad nią zapanować. Jeszcze inni pragną z niej uciec.

Jako pierwsza postawiła na niej stopę wiedźma Sykoraks, matka Kalibana. Sykoraks umiera na długo przed początkiem sztuki, lecz rodzi Kalibana już na wyspie. Kaliban dorasta na niej i tylko jemu to miejsce naprawdę się podoba. Gdy Kaliban jest chłopcem, Prospero traktuje go dobrze, ale potem odzywa się w nim niepohamowana żądza i zostaje uwięziony. Boi się Prospera i jego duchów, które go dręczą, ale wcale nie boi się wyspy, a ta nieraz raczy go przyjemną muzyką.

Felix pisze na tablicy: KALIBAN.

– Mamy jeszcze jedną postać, która pamięta wiedźmę Sykoraks, ale nie jest człowiekiem. To Ariel. Jaki ma stosunek do wyspy? Nie wiemy.

Wyczarowuje na niej różne rzeczy, ale wykonuje tylko cudze rozkazy.

Niżej zapisuje: ARIEL.

– Później na wyspę przybywają Prospero, prawowity książę Mediolanu, i jego córka Miranda, wypchnięci w dziurawej łajbie na pełne morze przez niktzemnego brata Prospera imieniem Antonio. Mają dużo szczęścia, że dobili do brzegu, bo inaczej utopiliby się albo umarli z głodu. Muszą jednak zamieszkać w jaskini, a wyspa jest bezludna, nie licząc Kalibana, więc głównym celem Prospera jest opuszczenie wyspy i powrót do Mediolanu. Tylko wtedy będzie mógł odzyskać utraconą pozycję i dobrze wydać córkę za mąż. Sama Miranda nie ma opinii na ten temat. Nie zna świata poza wyspą, więc chwilowo nie ma nic przeciw niej.

Zapisuje: PROS & MIR.

– Po dwunastu latach wskutek rozpętanej przez Prospera i Ariela burzy na wyspie lądują kolejne osoby. Burza jest tylko iluzją, lecz tamci ulegają jej i są przekonani, że się rozbili. Dla Alonza, króla Neapolu, wyspa jest miejscem tragedii i żałoby, ponieważ sądzi, że jego syn Ferdynand utonął u jej brzegów. Dla brata Alonza, Sebastiana, i dla złego brata Prospera, Antonia, wyspa jest miejscem szczęśliwym: zamierzają skorzystać z okazji, by zamordować Alonza i jego doradcę Gonzala, bo wtedy Sebastian odziedziczy królestwo Neapolu – nie żeby miał pomysł, jak do niego wrócić. Poza tym obaj uważają wyspę za pozbawione uroku pustkowienie. W oczach Gonzala, starego i poczciwego doradcy, wyspa jest żyzna i bogata. Dla rozrywki opisuje on idealne państwo, które by na niej stworzył, państwo równych i cnotliwych obywateli, którzy nie musieliby pracować. Pozostali kpią z jego wizji. Wszystkie wymienione do tej pory osoby myślą głównie o władzy i władcach. Kto i jak powinien rządzić. W jaki sposób można zdobyć władzę i jak należy ją sprawować.

Felix pisze: ALON, GON, ANT, SEB i oddziela imiona poziomą kreską.

– Następna postać jest całkiem inna. To Ferdynand, syn Alonza. Ponieważ fale wyrzuciły go na brzeg w innej części wyspy, myśli, że jego ojciec utonął, i rozpacza. Ariel zwabia go muzyką w głąb wyspy. W pierwszej chwili Ferdynand sądzi, że wyspa jest zaczarowana; później na widok Mirandy dochodzi do wniosku, że ma przed sobą boginię. Kiedy się dowiaduje, że to zwykła dziewczyna, w dodatku niezamężna, natychmiast się zakochuje i oświadcza. A więc dla niego wyspa jest miejscem zachwyty i romantycznej miłości.

Felix pisze na tablicy FERD i rysuje kolejną kreskę.

– Na samym dole mamy Stefana i Trynkula, parę durniów. I pijaków. Podobnie jak Antonio i Sebastian, dostrzegają na wyspie swoją szansę. Zamierzają wykorzystać łatwowierność Kalibana i uczynić go swoim sługą; chodzi im nawet po głowie, żeby po powrocie do cywilizacji sprzedać go komuś albo wystawiać jako dziwadło. Wiele wskazuje na to, że nie brzydzą się kradzieżą, mordem ani gwałtem. Kaliban namawia ich, żeby pozbyli się Prospera i zapanowali nad wyspą, a dodatkowym łupem będzie Miranda. Ich również interesuje, kto i jak będzie rządził; można powiedzieć, że są komicznymi wersjami Antonia i Sebastiana. Albo że Antonio i Sebastian to tacy sami durnie, tylko że lepiej ubrani.

Pisze: STEF & TRYNK.

Robi przerwę, spogląda po twarzach: nie widać na nich wrogości, ale i entuzjazmu jak na lekarstwo. Wpatrują się w niego.

– Może wyspa naprawdę jest zaczarowana – kontynuuje. – Może jest czymś w rodzaju zwierciadła: każdy widzi w niej odbicie swojego ukrytego ja. Może pokazuje ludziom, jacy są naprawdę. Może to jest miejsce, w którym człowiek ma się czegoś dowiedzieć. Ale czego ma się dowiedzieć każda z tych postaci? I czy rzeczywiście się tego dowiadują?

Oddziela listę podwójną kreską.

– Oto główne postacie. Przepiszcie je w tej kolejności, wszystkie z wyjątkiem Prospera i Mirandy. Prospera zagram ja, Mirandę – wiecie kto. Przy każdym imieniu napiszcie liczbę od zera do dziesięciu. Dziesięć oznacza, że bardzo chcielibyście zagrać tę postać, zero – że w ogóle was ona nie interesuje. Weźcie pod uwagę, czy nadajecie się do roli. Na przykład Ferdynand powinien być w miarę młody, w przeciwieństwie do Gonzala. Zanim rozpiszę role, poczytamy na głos niektóre monologi. Potem będziecie mogli jeszcze zmienić zdanie. Wolno wam w każdej chwili przekreślić liczbę i wpisać nową.

Wszyscy zabrali się do dzieła; słysząc pracowite skrzypienie ołówków.

Czy wyspa jest zaczarowana? – zastanawia się Felix. Wyspa jest wieloma rzeczami, ale o jednej z nich nie wspomniał: jest teatrem. Prospero jest reżyserem. Wystawia sztukę, która zawiera w sobie inną sztukę. Jeżeli jego czary zadziałają do końca i przedstawienie się uda, osiągnie to, czego pragnie. Lecz jeśli przegra...

– Nie przegra.

Kilka osób podnosi głowy, spogląda w jego stronę. Czy wypowiedział to na głos? Rozmawia ze sobą?

Uważaj, mówi sobie w duchu. Jeszcze pomyślą, że jesteś na prochach.

Strasznie durny potwór^[25]

Wtorek, 15 stycznia 2013 roku



We wtorek rano Felix zlicza głosy. Spośród dwudziestu członków jego trupy tylko jeden chciałby zagrać pocziwego Gonzala. Szczęśliwie jest nim Cienkopis, nieuczciwy księgowy. Felix wpisuje go do tabelki.

Do ról króla Alonza i jego brata Sebastiana nie ma chętnych; wszyscy ocenili ich nisko, choć nikt nie dał im zera.

Antonio, zły brat Prospera, cieszy się większym wzięciem: dostał pięć dziewiątek.

Stefano i Trynkulo: po dwóch chętnych. A zatem cztery osoby uważają się za żartownisiów.

Ośmiu widziałoby się w roli Ferdynanda, z czego sześciu może o niej tylko pomarzyć: nie byłiby przekonujący jako amanci. Ale dwaj wchodzą w grę.

Ariel: dwunastu. Wygląda na to, że obcy i efekty specjalne to jest to, co lubią najbardziej.

I wreszcie Kaliban: piętnastu!

Środa będzie dniem trudnych wyborów, myśli Felix. Zacznie od Kalibana. Kaliban wbrew pozorom jest poetycki. Gdy omówią ten aspekt jego osobowości, część ochotników na pewno się wykruszy. Muszą zrozumieć,

że Kaliban to nie tylko szpetna twarz.

Dla odprężenia przed wyzwaniem kolejnego dnia Felix bierze cotygodniową kąpiel w blaszanej wannie. To skomplikowana operacja. Najpierw trzeba zagrzzać wodę na elektrycznej kuchence oraz w czajniku. Potem wymieszać ją z zimną wodą z pompy. Rozebrać się. Wejść do wanny. O tej zimnej i śliskiej porze roku wymaga to pewnej odwagi; ze szpary pod drzwiami wieje chłodem, w okno w tej chwili tłuką ziarenka lodu. Złachany ręcznik także nie pomaga. Powinien sobie kupić nowy; co go powstrzymuje? Zmysł harmonii, oto co. Nowy ręcznik nie pasowałby do surowego, mnisiego wystroju.

Miranda, gwoli przyzwoitości, na czas tego rytuału znika. Gdzie się wtedy podziewa? Gdzieś indziej. Mądra dziewczyna. Nic tak nie osłabia szacunku nastoletniej córki dla sędziwego ojca jak widok jego patykowatych nóg i wiotkiego, pomarszczonego ciała.

Jak właściwie Prospero i Miranda kąpali się na wyspie? Felix rozważa ten problem, ostrożnie namydlając sobie pachy. Czy mieli wannę? Wątpliwe. Prędeż wodospad. Ale czy kąpiąc się w nim, Miranda nie narażałaby się na niebezpieczeństwo ze strony lubieżnego Kalibana? Najpewniej Prospero w takich chwilach zamykał go w twardej skale.

No dobrze, a sam Prospero? Aby podtrzymać działanie swoich czarów, musiał chyba mieć na sobie swoją szatę? Zapewne potrzebował też książek i laski. A przecież nie mógł wejść pod wodospad w ubraniu. Może więc odmawiał sobie kąpeli. Po dwunastu latach stary koń musiał ostro cuchnąć.

Ale, ale! Był przecież Ariel, który na pewno stał na straży. Ariel pod postacią skrzydlatej harpii, a do tego pretoriańska gwardia posłusznych gnomów. W tekście wśród obowiązków Ariela nie wymienia się asystowania przy kąpeli, ale to chyba rozumiało się samo przez się.

To przemilczenie jest charakterystyczne dla teatru w ogóle: nikt się nigdy nie kąpie ani nawet o tym nie myśli, nikt nie je, nikt się nie wypróżnia. No chyba że u Becketta, rzecz jasna. Na Becketta zawsze można liczyć. Rzodkiewki, marchewki, sikanie, śmierdzące stopy, dosłownie wszystko, ludzka powłoka w całej swojej ordynarnej przyziemności.

Jego stopy piszczą, gdy wychodzi z wanny i staje na zimnych deskach podłogi. Wyciera się energicznie. Teraz prędko flanelowa koszula nocna. Napełnić termofor. Zęby do szklanki z wodą, plusk, tabletki musujące. Witaminy, kakao. Wyprawa do wychodka w taką zawieję jest ponad jego siły, więc załatwia się do specjalnego słoika, po czym wylewa zawartość do zlewu. Prospero przynajmniej nie musiał się przejmować śniegiem. Obywał się bez słoika.

A teraz hyc do łóżka.

Gasi światło, a gdy już leży zawinięty w kołdrę, z ciemności wyłania się sylwetka Mirandy.

– Dobranoc – mówi do niej.

Czy musnęła dłonią powietrze nad jego czołem?

Tak, zrobiła to znowu.

Środowy poranek wstaje bezchmurny. Po śniadaniu (jajko na twardo) Felix jedzie wśród zaśnieżonych pól i połyskujących drzew, potem wspina się autem pod górę do więzienia we Fletcher, pogwizdując bezgłośnie. Ban, ban, ban, Kaliban. Ta scena aż się prosi o numer muzyczny. Powie im, że przyśpiewka Kalibana to wczesny przykład rapu, bo poniekąd tak jest.

– Mamy pewien problem – zaczyna, zajmąwszy swoje miejsce przy białej tablicy. – Piętnaście osób chciałoby zagrać Kalibana. Musimy o tym porozmawiać. – Sięga po mazak. – Jakiego rodzaju istotą jest Kaliban?

Konsternacja na twarzach.

– Zgodziliśmy się, że Ariel nie jest człowiekiem, bardziej kimś w rodzaju kosmity. A Kaliban? Narodził się z kobiety, tyle wiemy. A więc – jest ludzki czy nie?

– Jest ludzki – odzywa się Wytrych.

– Chciał przelecieć Mirandę – podchwytuje Słodziak, szukając wzrokiem poparcia u współwięźniów. – To bardzo ludzkie.

Wstydlive śmiechy, pomruk zgody.

Jesteśmy na dobrej drodze, myśli Felix.

– Tak bez zastanowienia – mówi – jakie jedno słowo najlepiej opisuje Kalibana?

– Potwór – zabiera głos P-Pod. – Bez przerwy go tak nazywają.

– Zły.

– Głupi.

– Brzydki.

– Ryba. Mówią, że śmierdzi rybą.

– Coś jakby kanibal. Dzikus.

– Bryła ziemi.

– Niewolnik – dorzuca Czerwony Kojot.

– Pomiot – mówi Ośmioreki. – Czarci pomiot. To jest najlepsze.

Felix zapisuje wszystkie epitety jeden po drugim.

– Niezbyt sympatyczny gość. Ciekawi mnie, dlaczego chcecie go zagrać?

Szerokie uśmiechy.

– Bo jest zarybisty.

– Potrafimy się w niego wczuć.

– Wszyscy nim pomiatają, ale on nie daje się złamać i mówi to, co myśli. – To Leggs.

– Jest zły! – wtrąca Tasak. – Naprawdę zły! Chce się odegrać na wszystkich, którzy wycierają sobie nim gębę.

Felix oddziela epitety kreską.

– Z ust innych postaci pada wiele złych słów pod jego adresem. Ale nikt nie jest wyłącznie sumą rzeczy, jakie się o nim słyszy. To tylko jedna z kilku warstw.

Potakiwania: rozumieją, o czym mówi.

– Jakie inne warstwy ma Kaliban? – pyta i, jak to często bywa, sam sobie

odpowiada: – Po pierwsze, uwielbia muzykę. Potrafi śpiewać i tańczyć. – Zapisuje na tablicy: MUZYKALNY. – A więc przypomina trochę Ariela.

– Ale nie jest ciotą – zaznacza Tasak. – Nie wącha pierwiosnków.

Felix puszcza to mimo uszu.

– Zna wyspę, potrafi na niej wszystko znaleźć, na przykład jedzenie.

Pisze: MIEJSCOWY.

– Wygłasza najbardziej poetycką mowę ze wszystkich – o swoich pięknych snach.

Pisze: ROMANTYK.

– I uważa, że jego dziedzictwo, czyli wyspa, zostało mu odebrane przez Prospera, i chce je odzyskać.

Pisze: MŚCICIEL.

– W sumie trudno mu się dziwić – zauważa Wężowe Oko.

– Czyli jest trochę jak Prospero – stwierdza Ósmioręki. – W kółko myśli o zemście.

– Zmierzam do tego – tłumaczy Felix – że Kaliban to trudna partia. Przemyślcie to sobie. To kawał ciężkiej roboty.

Milczy przez chwilę, czekając, aż przetrawią jego słowa. Słysząc niewyraźne mruknięcia. Czy niektórzy spośród piętnastu kandydatów na Kalibana zaczynają mieć wątpliwości? Oby.

– I zgoda, przypomina trochę Prospera. Z tym że Prospero wcale nie chce być królem wyspy, nie pragnie założyć tam kolonii. Przeciwnie, chce ją opuścić. Natomiast Kaliban uważa się za jej prawowitego władcę i chciałby ją zaludnić swoim potomstwem, stąd próba gwałtu na Mirandzie. A kiedy to się nie udaje, wiąże swój los ze Stefanem i Trynkulem, których podżega do mordy na Prosperze.

– Niegłupi plan – kwituje Leggs. Pomruki zgody.

– Okej, nie lubicie Prospera. I macie ku temu powody. Pogadamy o tym później. A tymczasem oto wasze zadanie. Pierwszego dnia zajęć powiedziałem, że jednym z najważniejszych motywów *Burzy* jest więzienie.

Zapisuje u góry tablicy: WIĘZIENIA.

– Chciałbym, żebyście wypisali wszystkie więzienia, również te, które pojawiają się w retrospekcjach – czyli w opowieściach o wcześniejszych wydarzeniach. Co to za więzienia? Kto kogo w nich zamknął?

Pisze: WIĘZIENŃ. WIĘZIENIE. KTO UWIĘZIŁ?

– Ja znalazłem co najmniej siedem więzień. Może wam uda się znaleźć więcej.

Tak naprawdę jest ich dziewięć, ale niech go prześcigną.

– Czy dwa różne miejsca na wyspie liczą się jako dwa więzienia? – pyta Cienkopis. – Czy jako jedno, bo oba są na wyspie?

– Umówmy się, że chodzi o pojedyncze sytuacje więzienne.

– Pojedyncze sytuacje więzienne? – powtarza Leggs. – Dobrze. Jak stąd wyjdę, powiem, że miałem czteroletnią p o j e d y n c z ą s y t u a c j ę w i ę z i e n n ą.

Śmiech na sali.

– Lepsze to niż pojedyncza sytuacja trumienna – zauważa P-Pod.

– No tak – mówi Felix. – Rozumiecie, o co mi chodzi.

Nigdy mu nie przepuszczają, gdy zaczyna mówić jak pracownik socjalny.

– Co jeszcze się liczy jako osobne więzienie? – pyta Ośmioręki. – Na przykład ta sosna, w której siedział Ariel?

– Powiedzmy, że więzienie to każde miejsce lub sytuacja, w której umieszcza się kogoś wbrew jego woli i z której nie można się wydostać. Czyli tak, sosna też się liczy.

– A to bękart! – odzywa się Wytrych. – Kiblował w sośnie!

– Zarybiście – mówi Ośmioręki.

– Dąb byłby gorszy – zauważa Czerwony Kojot. – Drewno dębowe jest twardsze.

– Czy za to będą punkty? – zastanawia się Leggs. – Dostaniemy szlugi?

III

AKTORZY MOI^[26]

20

Zadanie drugie: więźniowie i więzienia



Więzień	Więzienie	Kto uwięził
Sykoraks	Wyspa	Władcy Algieru
Ariel	Sosna	Sykoraks
Prospero, Miranda	Dziurawa łajba	Antonio, Alonzo
Prospero, Miranda	Wyspa	Antonio, Alonzo
Kaliban	Szczelina w skale	Prospero
Ferdynand	Czary, łańcuchy	Prospero
Antonio, Alonzo, Sebastian	Wyspa, czary, obłąd	Prospero
Stefano, Trynkulo	Bajoro	Ariel i psy, z rozkazu Prospera

Gnomy Prospera

Środa, 16 stycznia 2013 roku



Felix czerwonymi drukowanymi literami zapisuje wyniki na tablicy.

– Dobrze się spisaliście – chwali swoich słuchaczy. – Znaleźliście osiem... – waha się chwilę – osiem pojedynczych sytuacji więziennych. – Pozwala im się oswoić z tym określeniem i tym razem nikt już nie drwi. – Ale jest jeszcze jedna.

Zdziwione spojrzenia. Ośmioręki powątpiewa:

– Niemożliwe!

Felix czeka. Patrzy, jak liczą, zachodzą w głowę.

– Powie nam pan? – pyta w końcu P-Pod.

– Tak, ale jeszcze nie teraz. Kiedy nasze zabawy będą skończone^[27]. No, chyba że wcześniej ktoś zgadnie.

Obstawia, że nie zgadną, ale nieraz się już mylił.

– A teraz przyjrzyjmy się więzzącym. Trzy postacie zostają uwięzione przez kogoś innego niż Prospero: wiedźmę Sykoraks wygnali na wyspę władcy Algieru; Ariela zakleszczyła w pniu Sykoraks; i wreszcie sam Prospero został uwięziony przez Antonia, z pomocą Alonza, najpierw na dziurawej łajbie, a potem na wyspie. Cztery postacie, jeżeli policzymy Mirandę, ale ona miała

wtedy trzy lata, dorastała na wyspie i nie myśli o niej jak o więzieniu. Siedem osób zostaje uwięzionych przez Prospera. Można powiedzieć, że Prospero wiezie prym w tej dziedzinie.

– No i wysługuje się niewolnikami – zauważa Czerwony Kojot.

– Nie tylko Kalibanem – dopowiada Ośmioręki. – Ariela też trzyma pod butem. Grozi mu, że wsadzi go do pnia dębu. Dożywotnia izolotka. To nieludzkie.

– A do tego przywłaszcza sobie ziemię – dodaje Czerwony Kojot. – Psiogłowy biały starzec. Powinien się nazywać Prospero Sp. z o.o. Jeszcze chwila i pewnie odkryłby na wyspie ropę i zaczął ją wydobywać, a do pozostałych strzelałby z karabinu.

– Ale z ciebie szpetny komuch – rzuca Wężowe Oko.

– Goń się, szczeniaku cętkowany.

– Ej, bez takich, jesteśmy zespołem, do żółwia pana – strofuje ich Leggs.

– Uważaj z tym żółwiem – jeży się Czerwony Kojot.

Felix apeluje o spokój.

– Wiem, że macie to wszystko Prosperowi za złe – mówi. – Zwłaszcza to, jak obchodzi się z Kalibanem. – Spogląda po twarzach: zmarszczone brwi, zacięte usta. Wyrażna niechęć do postaci czarodzieja. – Ale jakie ma opcje?

– Opcje! – woła Tasak. – Gów... to znaczy, ścierwo nas obchodzą jego cętkowane opcje!

– Dajcie Prosperowi szansę. Posłuchajmy o tych opcjach – sugeruje łagodnie Cienkopis, który lubi być głosem rozsądku.

– Już wyjaśniam, o co mi chodzi – mówi Felix. – Wyobraźmy sobie, że okręt z Alonzem, Antoniem, Ferdynandem i Gonzalem nigdy nie zjawia się na horyzoncie. To był ślepy traf, że wracając z wesela córki Alonza, akurat przepływali koło wyspy. Albo, jakby to powiedział Prospero, zrządzenie pomyślniej gwiazdy, łaskawej Fortuny. Przypuśćmy jednak, że to się nie wydarzyło. Prospero tkwi na wyspie z nastoletnią córką i młodym, silnym samcem, który próbuje się do niej dobierać. Prospero był dobry dla małego dzikusa, lecz mimo to podrosły Kaliban zwraca się przeciw niemu. Na wyspie nie ma mieczy ani muszkietów. W pojedynku na gołe pięści Kaliban mógłby z łatwością zabić Prospera. Zamierza zresztą to zrobić przy pierwszej nadarzającej się okazji. A zatem, czy Prospero ma prawo się bronić?

Mamroty, grymasy.

– Zagłosujmy. Tak?

Większość rąk z ociąganiem wędruje w górę.

– Uważasz – zwraca się do Czerwonego Kojota, który nie podniósł dłoni – że powinien puścić Kalibana samopas, ryzykując, że zostanie przez niego zamordowany?

– Przede wszystkim w ogóle nie powinien tam być. Na nie swojej wyspie.

– Ale czy znalazł się na niej z wyboru? Trudno go przecież nazwać najeźdźcą. Jest rozbitkiem.

– Który trzyma niewolników – upiera się Czerwony Kojot.

– Mógł zamknąć Kalibana na stałe – zauważa Felix. – Albo go zabić.

– Potrzebuje go do pracy, sam to przyznaje. Do zbierania drewna, zmywania naczyń i tak dalej. Poza tym to samo robi Arielowi. Zmusza go

do pracy wbrew jego woli. Nie chce darować mu wolności.

– Zgoda – przyznaje Felix. – Ale to nie zmienia faktu, że ma prawo się bronić, prawda? A może to robić jedynie za pomocą czarów – i właśnie dlatego potrzebuje usług Ariela. Gdyby Ariel był waszą jedyną bronią, wy też wzięlibyście go na czarodziejską smycz. Nie mam racji?

Tym razem wszyscy są zgodni.

– No dobra – odzywa się Słodziak – ale po co znęca się nad resztą? Straszy ich harpią, bzikują przez niego. Nie mógł po prostu zabić wrogów i przejąć ich statku? Zostawić Kalibana na wyspie i odpłynąć do Mediolanu czy gdzieś.

Nie mógł, myśli Felix, bo wtedy nie byłoby sztuki. Albo wyglądałaby całkiem inaczej. Ale nie powie tego na głos, bo nie chce, żeby zwątpili w prawdziwość postaci.

– Pewnie go korciło – stwierdza po chwili zastanowienia. – Przypuszczam, że miał ochotę zatłuc ich na śmierć. Po tym, co mu zrobili, nie powinno to nikogo dziwić.

Ogólne potakiwania.

– Tylko że gdyby zemścił się w ten sposób, to wprawdzie mógłby odzyskać swoje księstwo, ale następca neapolitańskiego tronu miałby do niego uzasadnione pretensje, bo przecież Antonio na mocy umowy z Alonzem oddał Mediolan we władanie króla Neapolu. Tajemnicze zaginięcie króla i jego syna, o którym opowiedzieliby żeglarze, zezłościłoby Neapolitańczyków. Ich nowy władca ponownie obaliłby Prospera i zastąpił go kimś innym. W razie wojny Mediolan przegrałby z większym od siebie Neapolem. Co więc pozostaje Prosperowi?

– Zeswatać Ferdynanda z Mirandą – odzywa się Cienkopis. – Wtedy Miranda stanie się królową Neapolu i połączy oba miasta unią. Honorowy pokój. To się nazywa małżeństwo dynastyczne – wyjaśnia pozostałym.

– Bingo – mówi Felix. – Tylko że Prospero nie jest tyranem: nie zamierza zmuszać nikogo do ślubu z powodów politycznych, tak jak to zrobił Alonzo własnej córce. Miranda nie jest dla niego żywym towarem do prehandlowania. Jemu zależy na tym, żeby młodzi – Ferdynand i Miranda – naprawdę się w sobie zakochali. I sprawia to za pomocą magii. W każdym razie stwarza sprzyjające warunki.

Kiwają głowami z aprobatą.

– Ja też bym tego nie zrobił swojemu dziecku – oświadcza Leggs. – Nie kazałbym jej wyjść za mąż. To chore.

Felix uśmiecha się.

– Prospero musi też doprowadzić do sytuacji, w której Alonzo wyrazi zgodę na to małżeństwo. W normalnych okolicznościach raczej by się nie zgodził, bo Neapol jest królestwem, a Mediolan – księstwem. Alonzo na pewno wolałby wżenić syna w duże zamożne królestwo. Zyskałby wtedy większe wpływy. A Ferdynand musiałby poślubić kandydatkę wskazaną przez ojca.

– Takie w tamtych czasach obowiązywały zasady – wyjaśnia Cienkopis. – Dzieci nie miały nic do gadania.

– Czyli Prospero najpierw sprawia, że Alonzo myśli, że Ferdynand utonął, a potem go zaskakuje – odtwarza bieg zdarzeń Ośmioręki. – „Patrzcie! On

żyje!” Niezły myk.

– A król tak się wyluzował, że Ferdynand, gdyby chciał, mógłby się ożenić nawet z ropuchą – podsumowuje Wężowe Oko.

– Właśnie – potwierdza Felix. – Upozorowana śmierć Ferdynanda to z jednej strony kara i zemsta, bo Alonzo cierpi, a z drugiej – przemyślny fortel.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – odzywa się Krampus.

– Niegłupie – stwierdza z uznaniem Wężowe Oko.

– A więc: czy Prospera można usprawiedliwić, zważywszy, jak niewielkie ma pole manewru? Zagłosujmy jeszcze raz. Kto jest za?

Tym razem wszyscy podnoszą rękę. Felix rozluźnia ramiona. Uff. Prospero otrzymał rozgrzeszenie, przynajmniej chwilowo.

– No to się zgadzamy. Porozmawiamy teraz o strażnikach.

– O strażnikach? – dziwi się Cienkopis.

– Wszelka władza opiera się na groźbie przemocy – tłumaczy Felix. – Wyspa jest więzieniem, a więc muszą być na niej i strażnicy. W przeciwnym razie wszyscy więźniowie natychmiast by puciekali.

Energiczne potakiwania.

– Ale wśród osób dramatu nie są wymienieni żadni strażnicy – zauważa Cienkopis i zagląda do swojego egzemplarza.

– To nie znaczy, że ich nie ma. To oni szczypią i przyprawiają o skurcze Kalibana, to oni pod postacią psów gonią za Stefanem i Trynkulem.

– To nie Ariel? – dziwi się Ośmioręki. – Myślałem, że to on.

– Nie, on je szczuje. O, tutaj. Prospero mówi o swoich „gnomach”. Nie ma ich wśród bohaterów, bo grali je dowolni aktorzy akurat przebywający poza sceną. Wystarczyło włożyć maskę i już było się gnomem. Dlatego w naszej sztuce wszyscy aktorzy będą mieli po dwie role: wcielią się w swoją postać oraz w jednego z gnomów Prospera. Gnomy utrzymują porządek, ale są również narzędziem odwetu i kary. Wykonują najbrudniejszą robotę.

Och, tak. Widzi to już oczyma wyobraźni: Tony i Sal otoczeni, udręczeni przez gnomy. Trzęsący się jak galareta. *Słuchaj, ale wyjdź! Znęcajcie się nad nimi bez litości. Mam teraz w ręku wszystkich moich wrogów.*^[28] Rozgląda się po sali z dobrotliwym uśmiechem.

– Spoko – mówi Ośmioręki. – Kumam. Gnomy to my.

Osoby dramatu

Czwartek, 17 stycznia 2013 roku



Anne-Marie dotychczas nie widziała się jeszcze z uczestnikami zajęć. Sama uczyła się roli, a właściwie odświeżała ją sobie. Pierwszy raz dołączy do nich w piątek, w dniu ogłoszenia obsady, ale Felix umówił się z nią wcześniej na lunch. Chce ją przygotować, żeby z grubsza wiedziała, czego się spodziewać. Na przykład: kim będzie jej Ferdynand? Ma prawo to wiedzieć z wyprzedzeniem.

Jedząc w samotności poranne jajko – w samotności, bo Miranda zaszyła się gdzieś w swojej kryjówce, o której, jak to nastolatka, mówi niechętnie i wymijająco – robi przegląd w zasadzie podjętych już decyzji.

Długo się nad nimi zastanawiał. Znał preferencje aktorów, lecz doświadczenie nauczyło go nie przywiązywać do nich większej wagi. Nawet urodzony Romeo marzy czasem o roli Jagona – i odwrotnie.

Obsadzać według predyspozycji czy na przekór? Brzydali w partiach stworzonych dla pięknych, ciacho w roli Kalibana? Przydzielić im postacie, które zmuszą ich do zajrzenia w głąb siebie, czy może lepiej nie zaglądać zbyt głęboko? Dać widzom do myślenia, ukazując znane postacie w zaskakujących i nie zawsze przyjemnych wcieleniach?

W swojej poprzedniej pracy dla festiwalu zasłynął bezkompromisowym

przełamywaniem granic. Teraz dochodzi do wniosku, że parę razy przesadził. Więcej niż parę razy; gwoli prawdy, przesada była jego znakiem rozpoznawczym. Tym razem jednak lepiej nie szarżować. Uczestnicy dostaną role, którym będą mogli podołać. Jest w końcu nade wszystko reżyserem. Najważniejsza jest sztuka. Aktorzy pomogą mu ją zrealizować, ale sami też potrzebują pomocy.

Przygotował kolejne komentarze, po części na własny użytek, ale także dla Anne-Marie. W rozmowie z nią podkreśli, że są one wyłącznie do jej wiadomości. Po tej szlachetnej mowie pierwszego dnia – „nie obchodzi mnie, co macie na sumieniu” i tak dalej – straciłby wiarygodność w oczach aktorów, gdyby wyszło na jaw, że dokładnie wczytywał się w ich wyroki.

Jeszcze raz przebiega wzrokiem po wstępnej liście:

Osoby dramatu

PROSPERO, PRAWOWITY KSIĄŻĘ MEDIOLANU: F. Duke, reżyser i producent.

MIRANDA, JEGO CÓRKA: Anne-Marie Greenland, aktorka, tancerka, choreografka.

ARIEL: Ośmioreki. Drobnej budowy. Rodzina pochodzi ze wschodnich Indii. Dwadzieścia trzy lata. Bardzo bystry. Szybko pisze na klawiaturze. Zna się na technice. Skazany za hakerstwo, kradzież tożsamości, podawanie się za inną osobę, fałszerstwo. Uważa, że nie zrobił nic złego, czuł się dobrym Robin Hoodem walczącym ze złymi, kapitalistycznymi Królami Janami tego świata. Wsypany przez starszego kolegę po tym, jak odmówił zhakowania strony pomagającej uchodźcom. W *Ryszardzie III* grał hrabiego Riversa.

KALIBAN: Leggs. Około trzydziestki. Pochodzenie mieszane, irlandzko-afroamerykańskie. Rude włosy, piegi, mocno zbudowany, ćwiczy na siłowni. Walczył w Afganistanie. Cierpiał na zespół stresu pourazowego, ale Departament Spraw Weteranów nie chciał mu sfinansować terapii. Skazany za włamanie i napaść. Problemy z alkoholem i narkotykami. Był na kuracji odwykowej, ale program zawieszono. Grał Brutusa, Drugą Wiedźmę i Klarena. Świetny aktor, ale drażliwy.

FERDYNAND, SYN ALONZA: Słodziak. Wygląda na dwadzieścia pięć lat, ale prawdopodobnie jest starszy. Skandynawskie nazwisko. Czarujący, schludny, przystojny, wiarygodny, powinien wypaść przekonująco; bardzo szczerzy uśmiech. Skazany za oszustwa, naciąganie łatwowiernych seniorów na lipne polisy ubezpieczeniowe. Najlepiej szło mu z imigrantami. Grał Macduffa i lorda Hastingsa w *Ryszardzie III*.

ALONZO, KRÓL NEAPOLU: Krampus. Na oko czterdzieści pięć lat. Mennonita. Pociągła, końska twarz. Członek mennonickiego gangu szmuglującego narkotyki z Meksyku do USA w maszynach rolniczych. Skłonność do depresji. Grał Banka w *Makbecie* i Brutusa w *Juliuszu Cezarze*.

SEBASTIAN, BRAT ALONZA: Piguła. Pochodzi z rodziny wietnamskich

uchodźców, krewni odejmowali sobie od ust, żeby skończył studia medyczne. Koło czterdziestki. Uważa, że oskarżono go niesłusznie. Skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci trzech studentów, którzy przedawkowali przepisywane przez niego leki przeciwbólowe. Twierdzi, że błagali go, żeby im pomógł. Podatny na manipulację. Grał Buckingham w *Ryszardzie III*.

ADRIAN I FRANCISCO, DWAJ DWORZANIE: *Wielu reżyserów rezygnuje z tych postaci, a ich kwestie rozdziela między Gonzala i Sebastiana. Postanowiłem uczynić podobnie.*

GONZALO, STARY DORADCA ALONZA: Cienkopis. Łysiejący, z nadwagą. Po pięćdziesiątce. Przedstawiciel białej klasy średniej. Księgowy. Skazany za defraudację. Inteligentny, z zacięciem filozoficznym. Uważa, że nie zasłużył na karę więzienia. Inni go szanują, bo myślą, że po wyjściu na wolność pomoże im rozpracować system. Grał Kasjusza w *Juliuszu Cezarze* i Duncana w *Makbecie*.

ANTONIO, BRAT PROSPERA, UZURPATOR: Wężowe Oko. Włoskie korzenie. Szczupły, wysportowany, zezowaty. Około trzydziestu pięciu lat. Dyplom prawa, jak się okazało, sfałszowany. Siedzi za oszustwa; podrabiał akty notarialne i sprzedawał cudze nieruchomości. Stworzył też niewielką piramidę finansową. W rozmowie przekonujący, ale tylko dla tych, którzy chcą zostać przekonani. Roszczeniowy. Uważa, że ludzie są łatwowierni i dlatego zasługują na to, by ich skubać. Twierdzi, że złapano go na kruczek prawny. Grał Makbeta, Ryszarda III. Sprawdzony czarny charakter.

STEFANO, PIJANY PODCZASY: Czerwony Kojot. Dwudziestoparolatek, z pochodzenia Indianin kanadyjski. Skazany za przemyt i handel narkotykami. Nie uznaje istniejącego systemu prawnego i dlatego nie ma sobie nic do zarzucenia. Grał Marka Antoniusza w *Juliuszu Cezarze* i Pierwszą Wiedźmę w *Makbecie*.

TRYNKULO, BŁAZEN: TimEEz. Pół-Chińczyk. Jasna cera, okrągła twarz. Ksywę wziął od nazwy sieci Timmy's, sprzedającej pączki, bo twierdzi, że ma dziurę w głowie. Robi z siebie głupszego, niż jest. Wprawny kieszonkowiec. Skazany za kierowanie gangiem złodziei sklepowych. Twierdzi, że go do tego zmuszono. Wróżbiarz w *Juliuszu Cezarze*, odźwierny w *Makbecie*. Urodzony błazen.

NARRATOR: We wszystkich przedstawieniach wprowadzamy narratora, który streszcza przebieg każdej sceny, żeby widzowie się nie pogubili. Biorę pod uwagę Tasaka. Pochodzi z Nowego Meksyku. Skazany za napaść; był człowiekiem od mokrej roboty w lokalnym gangu. Towarzyski, dobra emisja głosu. Grał lorda Greya w *Ryszardzie III*.

BOSMAN: P-Pod. Afrokanadyjczyk. Uzdolniony muzycznie (tak, wiem, że to klisza). Tancerz, nie tak dobry, jak mu się zdaje, ale dobry. Skazany za narkotyki, wyłudzenia, napaść, udział w gangu. Byłby niezłym Kalibanem, ale mam dla niego inne zadania.

IRIS, CERES, JUNO: Tu mamy problem. Żaden z więźniów nie będzie chciał wcielić się w żeńskie bóstwo. Ale pomyślałem, że można by użyć lalek z głosami z komputera, dla większej niesamowitości. Na wideo to

powinno zadziałać.

Do rozdzielenia pozostaje szereg innych ról i obowiązków: efekty specjalne, suflerzy, dublerzy. Kostiumy i rekwizyty. Przyda się fotograf do robienia fotosów; nie żeby planowano jakiegokolwiek działania reklamowe, ale chłopcy lubią oglądać się na zdjęciach w przebraniu. Postanowili już, że pozmienią niektóre numery muzyczne i dodadzą kilka nowych, a więc potrzebni będą tancerze i śpiewacy. Albo raczej breakdancerzy i raperzy. Anne-Marie może im pomóc z choreografią.

Nakreślił już trzon zespołu, ale wiele może się jeszcze zmienić, gdy wyjdą na jaw mocne i słabsze strony poszczególnych więźniów.

Wstępny podział zadań

EFEKTY SPECJALNE: Ośmioreki, Słodziak, Tasak, P-Pod, Wytrych.

REKWIZYTY I KOSTIUMY: W gestii odtwórców ról, wspomaganych przez ich drużyny.

FOTOSY: Słodziak. Ma odpowiedni zmysł, wie, co wygląda stylowo.

MUZYKA (DJ-E): Leggs, Czerwony Kojot, Błady Lee, Riceball. Edycją dźwięku zajmie się Ośmioreki.

PARTIE INSTRUMENTALNE: Leggs, Tasak, P-Pod, Czerwony Kojot, Pułkownik Deth.

CHÓR I TANCERZE: P-Pod, Leggs, TimEEz, VaMoose, Riceball, członkowie trupy według potrzeb.

CHOREOGRAFIA: Anne-Marie Greenland, Leggs, P-Pod.

GNOMY: Riceball, Pułkownik Deth, VaMoose. Skazani za: podpalenie w celu wyłudzenia odszkodowania; napad z użyciem broni; przestępstwa narkotykowe. Trzej debiutanci, którzy mogą się wiele nauczyć od reszty. Dwaj pracowali jako bramkarze.

REZERWOWE GNOMY: Członkowie trupy według potrzeb.

Gnomy, myśli Felix. Moja ostateczna broń. Albowiem, gdy idzie o jego sekretny projekt, jego drogocenną zemstę, wszystko zasadza się na goblinach. Co powinny mieć na sobie? Czarne kominiarki – czy to nie za bardzo w stylu terrorystów i przestępców napadających na banki? Zresztą tym lepiej: strach bywa niezwykle motywujący.

Godna admiracji Mirando^[29]

Tego samego dnia



Felix spotyka się z Anne-Marie na lunchu w restauracji Diabeł i Trufel w Makeshiweg. Poprawiła się na twarzy, ale widać u niej napięcie. Ożywienie. Buzującą energię. Jej oczy wydają się większe, spojrzenie bardziej otwarte: wygląda dziesięć lat młodziej. Przyszła w prostej białej koszuli z długimi rękawami. W sztuce Miranda tradycyjnie występuje w bieli. Ewentualnie w beżach.

Doskonale, myśli Felix. Wczuwa się w rolę. Lada dzień zacznie chodzić boso w środku zimy.

– Piwo? – proponuje. – Burger z frytkami?

– Wystarczy sałatka z orzechami i żurawiną. I zielona herbata. Ostatnio prawie nie jem mięsa.

To teraz modne wśród nastolatków, myśli Felix. Jego Miranda też tak ma. Jedzą komosę ryżową, siemię lniane, koktajle na mleku migdałowym. Orzechy. Owoce leśne. Makaron z cukinii.

– Tylko nie przesadz.

– Z czym?

– Z niewinnością i czystością. No wiesz. Sałatki.

Anne-Marie śmieje się.

– Dobra, wezmę piwo. I frytki do sałatki.

Dla siebie Felix zamawia burgera. Dawno już nie jadł burgera. Jak oni na tej wyspie dostarczali sobie białka? Ach, no tak. Ryby. To dlatego Kaliban śmierdzi rybą! Nie tylko ryje pazurami w ziemi, szukając trufli, ale i łapie ryby. *Już nie pójdę na ryb połów.*^[30] Dlaczego Felix nie wpadł na to wcześniej?

– Jak ci idzie? – pyta. – Z twoją rolą.

– Została mi w głowie po ostatnim razie. Wszystko pamiętam. Jakby te słowa czekały – w mrocznej czeluści minionego czasu. Ćwiczę swoje kwestie przed współlokatorką. Prawie się nie mylę.

– Nie mogę się doczekać tej sceny – przyznaje Felix. – Tej z czeluścią minionego czasu. W ogóle całego przedstawienia. Zrobisz furorę!

Anne-Marie uśmiecha się smutno.

– Jasne. To będzie przełom w mojej karierze. Rola Mirandy w więziennym teatrzyku. Mówisz o tym jak o prawdziwej produkcji.

– Bo to będzie prawdziwe – broni się. – Więcej niż prawdziwe. Hiperprawdziwe. Zobaczysz.

Jedzenie, o dziwo, zjawia się szybko i następuje przerwa na przeżuwanie. Felix wyczekuje odpowiedniego momentu, wreszcie oznajmia:

– Obsadziłem role. Wstępnie. Mogą jeszcze być jakieś zmiany. Przyniosłem ci listę, żebyś wiedziała, z kim będziesz grać, zanim poznasz tych ludzi. Opisałem ich pokrótce.

Podsuwa jej plik kartek złączonych spinaczem. Anne-Marie uważnie je czyta.

– Umieściłeś ich przewinienia – stwierdza z wyrzutem. – Doceniam, ale czy to na pewno w porządku? Nie zrobiłbyś tego, gdyby to byli zwyczajni aktorzy. Dawniej mówiłeś, że powinniśmy wchodzić w sztukę nadzy. Bez wzajemnych uprzedzeń.

– Zwyczajni aktorzy są w Wikipedii – odpowiada Felix. – O ich winach można przeczytać w krytycznych recenzjach. To wiedza ogólnodostępna. Poza tym opisałem nie tyle ich przewinienia, ile wyroki. To nie to samo. Nie wiemy przecież, czy naprawdę zrobili to, co im się zarzuca.

– Tere-fere kuku, niech ci będzie. – Przesuwa palcem po liście. – Napaść, defraudacja, oszustwo. No ładnie. Przynajmniej nie ma żadnego seryjnego mordercy ani gwałciciela niemowląt.

– Tacy przebywają w innym skrzydle – tłumaczy. – Są pod specjalnym nadzorem. Dla własnego dobra. Moi chłopcy nie aprobują takich zachowań.

– Dobrze wiedzieć – mówi Anne-Marie. – Czyli Kaliban nie będzie próbował naprawdę mnie zgwałcić?

– Nie liczyłbym na to. Poza tym reszta by go powstrzymała. Jest wśród nich księgowy. – Wskazuje Gonzalę. – A oto twój Ferdynand.

– Niezły – ocenia Anne-Marie. – Słodziak. Sam sobie wybrał ten pseudonim?

– Nie jestem pewien. Ale ma dobrą twarz do tej roli. Jak z reklamy wody po goleniu z lat pięćdziesiątych. Szczera.

Felix postarzył się tą wzmianką o reklamach z lat pięćdziesiątych, lecz Anne-Marie łaskawie to przemilcza.

– Aha, oszust. Naciągał staruszki. Niefajnie.

– Nie zrobił nikomu krzywdy – broni go Felix. – W sensie fizycznym. Sprzedawał seniorom nieprawdziwe polisy na życie, nieźle mu szło. Dopóki żyli, niczego nie podejrzewali.

– Możesz powtórzyć? – prosi Anne-Marie z ironicznym uśmiechem.

– Okej, niedoszli beneficjenci nie byliby zadowoleni, ale ponieważ żaden z jego klientów jeszcze nie umarł, nie było poszkodowanych. Z tego, co wiem, sypnęła go panna, z którą zerwał.

– A dużo ich było? Tych panien, z którymi zerwał?

Anne-Marie już sprawia wrażenie zazdrosnej: o nieznanego jej aktora grającego Ferdynanda, w zastępstwie ukochanego, którego nie ma.

– Niejedno dziewczę chętnym ścigał okiem^[31] – odpowiada cytatem Felix – ale gdzie im do ciebie! Jesteś idealna i niezrównana, nie zapominaj.

– No tak, racja. – Znowu się śmieje.

Na próbach będzie musiał ją poprosić, żeby poćwiczyła ten śmiech, bo za mało w nim radości, a za dużo autoironii.

– Oczywiście jest mistrzem czarującej gadki. Niektórzy z tych seniorów przyszli na rozprawę. Domagali się łagodnego wyroku, chcieli, by dano mu drugą szansę. Uwielbiali go, traktowali jak syna. Jeżeli ktoś poradzi sobie z tymi kwiecistymi wyznaniem miłości, to właśnie Słodziak.

– Próbujesz mi coś powiedzieć?

– Ostrzeżony, uzbrojony. Ten chłopak zbałamuciłby nawet posąg królowej Wiktorii. Na pewno chciałby mieć dziewczynę na wolności; ani się obejrzy, a będziesz mu przemycała różne rzeczy do więzienia. Lepiej się nie angażuj. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał żonę. Albo trzy – dodaje Felix dla lepszego efektu.

– Myślisz, że się w nim zakocham, tak? Że jestem taka łatwa? – Anne-Marie zaciska zęby.

– Nie, nie. Broń Boże. Po prostu, kiedy już wejdiesz w rolę, powinnaś mieć się na baczności. Nawet taka twarda sztuka jak ty musi uważać.

– Ty już wszedłeś w rolę – zauważa z uśmiechem. – Grasz mojego nadopiekuńczego ojca. Ale wiesz, jakie są nastolatki, wystarczy, że na horyzoncie pojawi się przystojny ogier, i zaraz opuszczają ukochanego tatusia. Nie miej pretensji do mnie, tylko do moich pojebanych hormonów.

– Okej, rozejm. Dobrze ci idzie, tylko pamiętaj, że nie wolno przeklinać; zwłaszcza Mirandzie nie wypada.

– Dobrze. Postaram się. – Czyta dalej. – Widzę, że będzie trochę numerów z tańcem.

– *Burza* przez cały osiemnasty wiek była wystawiana w operze. Sprzedałem ją chłopakom jako musical. Z ich punktu widzenia to wiele wyjaśnia. Mieli problem z elfami, piosenką o ssaniu kwiatów i tak dalej.

– No tak, rozumiem. – Anne-Marie się uśmiecha.

– Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś im pomóc z choreografią. Udzielić paru wskazówek.

- Czemu nie. Żadnego baletu, jak rozumiem. Przekonamy się, jacy są giętcy. Felix uśmiecha się: podoba mu się to „my”
- A co z tym ssaniem nektaru? - pyta go. - To może być dla nich nie do przełknięcia.
- Zobaczmy - mówi Felix. - Może trochę przerobią oryginał. W poprzednich sztukach zmieniali tekst tam, gdzie ich zdaniem wymagał unowocześnienia. Używają wtedy, hm, współczesnej mowy potocznej.
- Współczesna mowa potoczna - powtarza Anne-Marie. - Czyli tak zwany rynsztok. I co ty na to, wielki panie?^[32]
- Nauka pisania to jeden z celów tych zajęć - wyjaśnia lekko zakłopotany.
- Poza tym źródła, którymi dysponujemy, pozwalają przypuszczać, że aktorzy szekspirowscy trochę improwizowali.
- Zawsze przekraczałeś granice. A co z Iris, Ceres i Junoną? Całe to przedstawienie zaręczynowe - to dziwna scena. Trochę przegadana, może się dłużyć. Widzę, że myślisz o lalkach?
- Nie mogę oczekiwać od więźniów, że przebiorą się za boginie. Możemy coś wmontować...
- Jakiego rodzaju lalki?
- Liczyłem, że mi coś doradzisz. Nie czuję się zbyt pewnie w tej dziedzinie. Dorosłe lalki.
- Z cyckami.
- Na pewno nie dzieci ani zwierzęta. Masz jakiś pomysł?
- Temat lalek jest dla niego bolesny: jego Miranda nie dożyła wieku, w którym wyrasta się z pluszowych misiów.
- Disneyowskie księżniczki - oznajmia stanowczo Anne-Marie. - Byłyby w sam raz.
- Disneyowskie księżniczki? To znaczy...
- No wiesz. Śnieżka, Kopciuszek, Śpiąca Królewna, Dżasmina z *Aladyna* w tych kempowych fragmentach, Ariel z *Małej syrenki*, Pocahontas w skórzanych frędzlach... Miałam kiedyś wszystkie. Oprócz Meridy Walecznej, ale wtedy byłam już na to za stara.
- Felix słucha tego jak obcego języka. Co za Merida Waleczna?
- Ariel odpada - mówi. - Mamy już Ariela.
- Dobra, coś wymyślę. Sądzę, że to będzie strzał w dziesiątkę. Kto by nie chciał, żeby na jego zaręczynach zjawiły się trzy disneyowskie księżniczki i obsypały go życzeniami? I może brokatowym konfetti - dodaje chytrze, pamiętając, że Felix słynął z upodobania do brokatu.
- Będę się kierował twoją radą, niedościgła^[33] - oświadcza Felix z wyszukaną uprzejmością.
- Takie teksty zachowaj dla fanek - odpowiada ze śmiechem. Ale osiągnął swój cel: są teraz sprzymierzeńcami.
- Choć czy na pewno? Może te jej wielkie oczy wcale nie oznaczają niewinności, lecz strach. Przez mgnienie Felix widzi Prospera oczyma Mirandy - wystraszonej Mirandy, do której nagle dotarło, że jej ukochany ojciec jest maniakiem i paranoikiem. Zdaje mu się, że Miranda śpi, kiedy on rozmawia na głos z niewidzialnym pomocnikiem, lecz ona wszystko słyszy

i przeraża ją to. Prospero twierdzi, że rozkazuje duchom, wywołuje burze, powala drzewa, otwiera groby i wskrzesza zmarłych, ale jak to się ma do rzeczywistości? Przecież to czyste szaleństwo. Biedna dziewczyna! Uwięziona na wyspie pośrodku oceanu, z naładowanym testosteronem zbójcem, który chce ją zgwałcić, i sędziwym ojcem, który ma nie po kolei w głowie. Nic dziwnego, że rzuca się w objęcia pierwszego normalnego młodzieńca, który się napatoczył. „Zabierz mnie stąd!” – czyż nie to w gruncie rzeczy próbuje powiedzieć Ferdynandowi?

Nie, odpowiada sobie stanowczo Felix. Prospero nie jest wariatem. Ariel istnieje. Słyszą go i widzą inni ludzie, nie tylko Prospero. Jego magia jest prawdziwa. Tego się trzymaj. Zaufaj sztuce.

Tylko czy sztuce można ufać?

Co nastąpi teraz^[34]

Piątek, 18 stycznia 2013 roku



W punkcie drukarskim w Wilmot Felix kseruje odchudzoną listę – same postacie i odtwórcy, bez opisów – żeby rozdać ją aktorom. Potem jedzie do Makeshiweg po Anne-Marie; umówił się z nią pod domem, który wynajmuje z trzema współlokatorkami. Anne-Marie odbiera od niego przepustkę, o którą postarała się Estelle, i jedzie za nim własnym samochodem, wgniecionym srebrnoszarym fordem, aż do więzienia. Parkują na dziedzińcu.

Anne-Marie gramoli się z auta i stawia nieśmiało nogę na lodzie. Czy powinien podać jej rękę? Nie, lepiej nie, odmówiłaby i jeszcze mu docięła.

– Ale tu ponuro – stwierdza, omiatając wzrokiem ogrodzenie, drut kolczasty i reflektory-szperacze.

– No cóż, to zakład karny – odpowiada Felix. – Co prawda „Mury kamienne nie czynią więzienia / Ni klatki żelazne pręty”^[35]. Ale jednak robią nastrój.

– Z jakiej to sztuki?

– To nie ze sztuki. Z wiersza. Poeta, który to napisał, naprawdę siedział w więzieniu – za niewłaściwe wybory polityczne. Wprawdzie w *Burzy* pada

stwierdzenie, że „myśl jest wolna”^[36], szkoda tylko, że pojawia się ono w piosence śpiewanej przez trzech idiotów.

- Ale smucisz. Masz chandrę? Zima daje ci się we znaki?
- Tędy – mówi Felix. – Do wejścia. Uważaj, ślisko.

– To jest Anne-Marie Greenland – przedstawia ją Madisonowi i Dylanowi.
– Bardzo znana aktorka – kłamie – która uprzejmie zgodziła się dołączyć do naszego zespołu. Będzie nam pomagać z tegorocznym dramatem. Ma przepustkę.

– Bardzo mi miło – odzywa się Dylan. – W razie kłopotów proszę nas wezwać.

– Dziękuję – odpowiada krótko Anne-Marie tonem kogoś, kto nie potrzebuje opieki.

– To działa jak pager – wyjaśnia Madison. – Trzeba wcisnąć przycisk. Przypnę pani...

– Dziękuję, poradzę sobie – uprzedza go Anne-Marie.

– Dobrze, proszę jeszcze położyć torbę na taśmę i przejść przez bramkę. Co jest w torbie? Coś ostrego.

– Druty do robótek.

Felix spogląda zaskoczony – robienie na drutach jakoś niespecjalnie mu do niej pasuje – ale Dylan i Madison uśmiechają się pobłażliwie: no tak, kobiece zajęcie.

– Przykro mi – mówi ten pierwszy – ale będzie pani musiała je u nas zostawić.

– No błagam, chyba nie sądzicie panowie, że kogoś tym zadżgam?

– Te druty mogłyby zostać użyte przeciwko pani – wyjaśnia cierpliwie Madison. – Tak jak każdy inny ostry przedmiot. Zdziwiłaby się pani. Tam są groźni ludzie. Odbierze pani torbę, wychodząc.

– No dobrze. Tylko nie bawcie się moją włóczką.

Uśmiechają się na ten żart, a może po prostu do niej, bo nie ulega wątpliwości, że są nią zachwyceni. I trudno się dziwić, myśli Felix. Mimo swojego ciętego języka Anne-Marie to jasny promyk wśród więziennej szarości. Rozbija monotonię.

Felix prowadzi ją korytarzem w głąb przydzielonego mu skrzydła, wskazuje puste pomieszczenia.

– Oprócz tych mamy do dyspozycji jeszcze dwie cele pokazowe. Jest gdzie zorganizować pokój aktorów i zaplecze. No i przestrzeń do prób.

– Świetnie – mówi Anne-Marie. – Przyda się do numerów tanecznych.

Uczestnicy kursu są już w sali. Felix przedstawia im nową aktorkę. Wcześniej zdjęta płaszcz, ubrana jest skromnie: biała koszula, czarny rozpinany sweter, czarne spodnie. Włosy upięte w staranny miodowy kok, w uszach zostawiła po jednym kolczyku. Uśmiecha się niezobowiązująco w kierunku tylnej ściany, po czym siada z przodu, na miejscu wskazanym przez Feliksa. Jej głowa spoczywa równo na szczycie wyprostowanych pleców. Postura tancerki – bez cienia wyzywającej nonszalancji.

– Pani Greenland na razie będzie się tylko przysłuchiwać. Chce was lepiej poznać. Zaangażuje się bardziej, kiedy zaczniemy próby.

Martwa cisza. Mężczyźni siedzący po jej bokach starają się na nią nie gapić: uciekają wzrokiem w drugą stronę. Ci z tyłu wpatrują się jak zaczarowani, mimo że widzą tylko jej plecy. Bądź czujny, mówi sobie Felix. Musisz na nią uważać. Niech ci się nie wydaje, że ich znasz. Przypomnij sobie, jaki byłeś w ich wieku. Kiedyś miałeś w sobie więcej żaru.

– A teraz obsada – kontynuuje, jakby wszystko było po staremu. – Jestem reżyserem, więc to ja podejmuję decyzje. Może nie każdy z was dostał rolę, którą chciał, ale takie jest życie. Nie obrażamy się, nie targujemy, nie wymieniamy rolami. Teatr to nie republika, teatr to monarchia.

– Myślałem, że jesteśmy zespołem – wypomina kwaśno VaMoose.

– Bo jesteście. Ale ja rządzę. Moje decyzje są ostateczne. Część z was już to wie, prawda?

Weterani jego przedstawień kiwają głowami.

Felix rozdaje kartki z obsadą. Słychać tłumione pomruki niezadowolenia.

– Mam grać pijanego Indianina – odzywa się Czerwony Kojot, któremu przypadła rola Stefana.

– Nie, masz grać pijanego białego.

– Jee, będę białym – cieszy się TimEEz. – Wchodzę w to.

– Ferdynand – mówi Słodziak. – Spoko.

Uśmiecha się w stronę pleców Anne-Marie, ukazując nieskazitelne zęby.

– A mnie się nie podoba – oznajmia mennonita Krampus. – Moja rola. Król nic nie robi tylko jęczy. Chciałem być Kalibanem.

– Wiem, że wielu z was chciało tę rolę – mówi Felix – ale Kaliban jest tylko jeden.

– Kalibanem powinien być aborygen – stwierdza Czerwony Kojot. – To chyba oczywiste. Ukradli mu ziemię.

– Nie no – wtrąca się P-Pod – przecież to Afrykanin. Gdzie właściwie jest Algier? W północnej Afryce, nie? Stamtąd pochodziła jego matka. Spójrz na mapę, psia głowo.

– Ale że niby co, jest muzułmaninem? Nie sądzę. – To VaMoose, kolejny kandydat na Kalibana.

– Na pewno nie białasem – stwierdza Tasak, łypiąc wrogo na Leggsa. – Ani trochę.

– Wygrałem – ucina Leggs. – Ssij, ciołku. Słyszałeś, co powiedział szef.

– Tracisz punkty za przeklinanie – mówi P-Pod.

– „Ssij” to nie przekleństwo. Każdy to wie. Spadaj na gnojne bagna.

Anne-Marie się śmieje.

Kolejne zadanie: uczestnicy mają omówić swoje sceny. Co się w nich dzieje, jak należy je zagrać, jakie nasuwają się problemy? Felix rozmyślnie umieścił w każdej drużynie minimum jednego doświadczonego aktora. Powinni służyć radą pozostałym. Przynajmniej w teorii.

Wszyscy rozchodzą się do przydzielonych im pomieszczeń. Anne-Marie

wstaje, rozprostowuje się, zgina nogę w kolanie i odciąga ją do tyłu.

- Nie są tacy straszni.
- A mówiłem, że są? – pyta Felix.
- Nie, nie. Ale...

Widocznie wciąż ma w pamięci ich wyroki.

– Nie zmieniałaś zdania? Wchodzisz w to?
– Jasne – odpowiada niezbyt stanowczo. – To co mam teraz robić? Gdzie mój przystojny Ferdynand? Mam iść poćwiczyć z nim te cklive sceny?

– Pewnie oblizuje się na samą myśl – przypuszcza Felix. – Ale jeszcze nie dzisiaj. Najpierw muszą trochę pomyśleć o swoich rolach. Potem będę z nimi omawiał każdą scenę po kolei. Ponieważ robimy coś w rodzaju teatru telewizji, możemy nagrywać poszczególne sceny, kiedy wszystko – aktorzy, kostiumy i tak dalej – będzie gotowe, a potem je skleić jak mozaikę. Ale jeśli chcesz, możemy teraz we dwoje popracować nad drugą sceną pierwszego aktu.

Tak więc Miranda płacze i prosi, a Prospero uspokaja ją i pociesza, wreszcie zaczyna snuć swoją opowieść. Kiedy dochodzi do historii braterskiej zdrady, przez którą znaleźli się na wyspie, w drzwiach staje Ośmioręki.

– To z kim ja mam próbować? – pyta. – Ferdynand ćwicz siedzenie na kamieniu z ponurą miną. Potem ja wchodzę i wabię go muzyką, ale nie mamy jeszcze muzyki. A zresztą najpierw mam scenę z panem.

– Ach, mój Arielu. Chciałbym z tobą przedyskutować kilka zagadnień technicznych. Zrobmy sobie przerwę. – Felix zwraca się do Anne-Marie: – Zajrzyj do chłopców, zobacz, jak im idzie.

– Coś knujesz, prawda? – odpowiada ona i rzuca uśmiech w stronę Ośmiorękiego. – Będą jakieś iluzje? Trzeba uważać na tego starego czarodzieja i jego sztuczki.

– No wiem. – Śmieje się Ośmioręki. – Nas już zaczarował.

Gdy Anne-Marie wychodzi, Felix zniża głos.

– Co dokładnie wiesz o systemach monitoringu?

Ośmioręki uśmiecha się.

– Ogólnie ogarniam. Jeżeli mam co trzeba; w sensie, narzędzia. A jaki jest plan?

– Chcę widzieć, nie będąc widzianym. Wszystkie pomieszczenia i korytarz.

– Pan i wszystkie tajne służby tego świata. Zrobię panu listę zakupów. Jak dostanę sprzęt, nie ma problemu.

– Jeżeli pomożesz mi zrealizować mój plan, załatwię ci przedterminowe zwolnienie. Myślę, że to jest w mojej mocy.

– Serio? Złożyłem już wniosek, ale sprawa strasznie się wlecze. Jak pan chce to zrobić?

– Koneksje – odpowiada tajemniczo Felix.

Mam wpływowych wrogów, myśli w duchu.

Zły brat Antonio

Środa, 6 lutego 2013 roku



Czas leci szybko, jest go coraz mniej. Już tylko pięć tygodni zostało do godziny zero, kiedy zniechęceni dygnitarze wkroczą do jego królestwa i plan, będący teraz w załączku, pięknie rozkwitnie. Na samą myśl Feliksowi wyostają się zmysły, jaśnieją oczy, napinają mięśnie. Być w pogotowiu – tylko to ma sens^[37].

Tony i Sal są coraz bliżej, chadzają na bankiety, uświetniają gale, szczerze udzielają wywiadów prasie, pozostawiają za sobą długi ślad zdjęć z fleszem. Feliks poluje na nich w sieci i niczym pająk reaguje na każde drgnienie pajęczyny, przeczesując eter w poszukiwaniu ich fotografii. Oni, kiedyś mistrzowie podstępu, teraz beztrąsko zmierzają ku niemu, niczego nie podejrzewając, na pewno nie ze strony Feliksa Phillipsa, który przez nich cierpi wygnanie, a który czeka przyczajony, szykując zasadzkę. Trochę to trwało, ale zemsta, jak wiadomo, najlepiej smakuje na zimno.

Skreśla dni, odlicza godziny. Jego ofiary przyjadą do Fletcher w połowie marca.

Ale spektakl nie jest gotowy. Przed całym zespołem jeszcze długa droga. To niecierpliwe oczekiwanie jest dla Feliksa męczarnią: co tu zrobić, żeby wszystko przyspieszyć, nagrać i zmontować film, nadać mu ostateczny szlif? Jeszcze przed spodziewaną wizytą.

Gnomy sprzysięgły się przeciw niemu. Dwóch pomniejszych zdezerterowało, choć jednego z nich w końcu namówił do powrotu. Inny gnom trafił do szpitala z niesprecyzowanymi obrażeniami: według Leggsa na skutek porachunków z użyciem pilnika do paznokci („żaden z nas nie miał z tym nic wspólnego”). Na próbach dochodzi do incydentów, członkowie zespołu obrzucają się wyzwiskami, raz pod jego nieobecność wywiązała się przepychanka. Cały ten domek z kart może się lada chwila rozsypać; inna sprawa, że to samo można by powiedzieć o każdej innej sztuce w jego karierze.

Na razie nagrał na próbę raptem parę scen, wszystko bardzo surowe. Zamówiony w wypożyczalni keyboard jeszcze nie dojechał. Jak mamy robić bez niego muzykę? – pytają. Domagają się dostępu do internetu, żeby móc ściągać empetrójki, ale to byłby o jeden most za daleko: nawet Estelle nic tu nie wskóra, dykcja wysuwa te same obiekcje co zawsze. Więźniowie używaliby łącza do niewłaściwych celów, oglądaliby porno i planowali ucieczkę. Felix mógłby przekonywać, że są zbyt pochłonięci sztuką, żeby myśleć o ucieczce, ale wątpliwe, by ktokolwiek w to uwierzył. Zresztą niewykluczone, że się myli. Stara się, jak może, przynosi klipy i puszcza im na komputerze, ale nie, nie, to nie ta wersja, o którą im chodziło. Narzekają, przewracają oczami. Czy nie wie, że The Monkees są do dupy?

Frustracja czai się wszędzie. Słodziak i Anne-Marie mają problem. Ich pierwsza wspólna próba była bardzo udana, ale na drugiej wszystko siadło. Słodziak jakby się nie przykładał. Felix zagadnął o to Anne-Marie przy kawie.

– Co się stało?
– Oświadczył mi się.
– I bardzo dobrze. Tak jest w tekście.
– Nie rozumiesz. Naprawdę mi się oświadczył. Powiedział, że zakochał się od pierwszego wejrzenia. Ja mu na to, żeby nie mylił sztuki z prawdziwym życiem.

– I co dalej? – zapytał Felix. Anne-Marie bawiła się nerwowo łyżeczką, co było znakiem, że na tym się nie skończyło.

– Złapał mnie i zaatakował ustami.
– I co?
– Nie chciałam mu zrobić krzywdy.
– Ale zrobiłaś?
– Wylize się. Najbardziej ucierpiało jego serce. Chwilę tylko wił się z bólu na podłodze. Przeprosiłam.

To by tłumaczyło jego chłód, pomyślał Felix.

– Pogadam z nim.
– Nie, nie. Jeszcze go zablokujesz.

Nawet jego Ariel, czyli Ośmioreki, nawala. Na drugiej próbie drugiej sceny pierwszego aktu zaczął swoją mowę słowami „Wała ci, mistrzu!”, po czym zaczął mimo woli chichotać, zawstydzony, że wymysknęło mu się coś, co chodziło mu po głowie.

Stroją sobie żarty za jego plecami, wymyślają dla niego i dla Prospera różne kpiące przezwiska, naśmiewają się ze sztuki – to wszystko normalne, ale Ośmioreki nie może zapominać, kim jest. Zgoda, Ariel jako tajemny współnik Prospera ma dużo rzeczy na głowie, ale mimo wszystko. Ośmioreki musi spoważnieć.

Czy zawsze na tym etapie wszystko idzie jak po grudzie? – zastanawia się Feliks. I tak, i nie. Ten projekt jest wyjątkowo trudny, bo tyle od niego zależy.

Jeszcze czternaście prób, zanim nastanie wielki dzień. Na razie wciąż nie mogą się zdecydować na kostiumy, mylą kwestie, mamroczą. Trzy pstre przepióreczki, każe im powtarzać Feliks. Wyraźniej! Wy-MO-wa! Nieważne, co mówicie, skoro nikt was nie słyszy! W czasie suszy szosa sucha!

Za dawnych czasów, w normalnym teatrze, już dawno krzyczałby na nich, wyzywał od kretynów, kazał szukać postaci głęboko w sobie, naprężałby emocje do granic wytrzymałości i powtarzał, żeby coś zrobili z tym bólem, krwią i łzami. Tu jednak ma do czynienia z ludźmi o kruchym ego. Niektórzy chodzili na zajęcia z panowania nad sobą, więc krzyżąc, dawałby im zły przykład. Nad innymi wisi cień depresji. Jeśli będzie dla nich zbyt surowy, mogą się rozsypać psychicznie. Machną ręką, wyjdą i nie wrócą. Dotyczy to również odtwórców najważniejszych ról. Już to kiedyś przerabiał.

Wiem, że każdy z was ma talent! – powtarza. Wzruszają ramionami, bierny opór. Stać was na więcej! Co jeszcze ma powiedzieć – zagrozić im więzieniem? Niestety, już siedzą. Możliwości nacisku są więc ograniczone.

Jak tchnąć w nich energię? Skąd wykrzesać iskrę, która zapali tę kupę wilgotnych badyli? Co robię źle? – zastanawia się Feliks.

Upał się, że będzie pił kawę, prawdziwą kawę, nie żadne świństwo w proszku. Kupił ziarna za własne pieniądze, kazał je zemleć, osobiście wniósł do środka, odstąpiwszy trochę Dylanowi i Madisonowi. Podczas porannej przerwy na kawę podchodzi do niego Wężowe Oko. Za jego plecami stoi Anne-Marie, najwyraźniej gotowa przyjść mu w sukurs, ubrana w jeden ze swoich strojów do tańca: ciepłe getry zrobione na drutach, zielononiebieskie spodnie dresowe, czarną koszulkę z długimi rękawami i jeszcze buty do stepowania.

– Przygotowaliśmy coś – oznajmia Wężowe Oko. – Moja drużyna. Team Antonio.

– Słucham.

– Pamięta pan to miejsce, gdzie pan, to znaczy Prospero, opowiada Mirandzie całą historię z bratem...

– Akt pierwszy, scena druga. Tak?

– No właśnie.

– I?

– To jest za długie – stwierdza Wężowe Oko. – I nudne. Nawet Miranda tak uważa. Przysypia na tym.

To prawda, myśli Felix. Dla aktorów grających Prospera to zawsze było wyzwanie: jak przebrnąć przez drugą scenę pierwszego aktu, przez smętną opowieść Prospera, utrzymując uwagę widzów? Nic się tam nie dzieje.

– Ale publiczność musi poznać tę historię – zauważa. – Inaczej nic nie rozumieją. Muszą wiedzieć o krzywdzie, jaka go spotkała, o powodach, dla których pragnie zemsty.

– Nie no, wiadomo – mówi Wężowe Oko. – Więc pomyśleliśmy, że może zamiast tego zapodamy retrospekcję.

– Przecież to jest retrospekcja – zauważa Felix.

– No tak, ale wie pan, sam pan zawsze powtarza, że lepiej pokazywać, niż opowiadać, że na scenie musi być ruch, energia.

– Zgadza się. I co w związku z tym?

– Moglibyśmy zrobić z tego numer muzyczny, opowiedzieć to wszystko z punktu widzenia Antonia. Jesteśmy już po pierwszych próbach.

Ha, myśli Felix. On się rozpycha. Odsuwa mnie na bok. Robi więcej miejsca dla siebie. Istny Antonio, wypisz, wymaluj. Ale czy nie o to właśnie chodziło? Kazał im podejść do zadania kreatywnie.

– Doskonale, chcę to zobaczyć.

– Chłopaki robią chórki – wyjaśnia Wężowe Oko. – Nazwaliśmy ten numer „Zły brat Antonio”

– Dobra – mówi Felix. – Jedzicie.

– Pamiętajcie o liczeniu – przypomina im Anne-Marie, kiedy się ustawiają, Wężowe Oko z przodu, za nim w szeregu jego zespół: Piguła, VaMoose i, niespodzianka, Krampus. Jeżeli Anne-Marie zdołała nauczyć go czegoś, co choć trochę przypomina taniec, to będzie można mówić o cudzie.

– Zamieniam się w słuch i wzrok – oznajmia Felix.

– Zaczynamy na trzy! – woła Anne-Marie. Odlicza: raz, dwa, trzy, kłaśnięcie i ruszają.

Wężowe Oko stara się uchwycić esencję charakteru Antonia: jego pychę i bezwzględność. Nadyma się, zaciera ręce, mruży skośne lewe oko, na jego krzywych ustach igra chytry uśmieszek. Gdyby miał wąsy, z pewnością by je podkręcał. Idzie w miejscu tanecznym krokiem. Drużyna podaje rytm: tupią, klaszczą, pstrykają palcami, pracują oddechem.

Wygląda to dobrze, znacznie lepiej, niż Felix się spodziewał. Czy to zasługa Anne-Marie, czy nauczyli się tego z teledysków? Może jedno i drugie. *Bam bam klask, bam bam klask, klask klask bam bam pstryk* – tak idzie podkład. Wężowe Oko zaczyna rapować:

Jestem księżę Mediolanu i pan panów,
Chciałbyś hajsu? Nad mym słowem się zastanów.
Lecz nie zawsze tak było, o nie, o nie,
Kiedyś byłem dość zwyczajnym Antoniem.
Władzy i prestiżu brak bardzo był mi nie w smak,

Nic nie miałem do gadania, nie szanował mnie świat.
Zawsze drugi, zawsze w cieniu, który rzucał mój brat.
Mój brat Prospero, on jest księżę Mediolanu i pan panów.

Ooo-a-ha! Oo-a-ha! Bam klask, klask bam, pstryk pstryk bam.

Ale oto prawda szczerą *à propos* Prospera:
Mój brat to był niestety lub stety kawał frajera.
Chociaż głowę miał tęgą, stale trzymał ją w księgach.
Mówi: brachu, masz to wszystko obcykane,
Bądź tak dobry, porządź trochę Mediolanem.
Wszyscy będą ciebie słuchać, zrobią, co im każesz,
Ściągną haracz, przyślą garniak, co tylko zamarzysz.
Nad księgami wciąż ślęczał, ćwiczył czary, zaklęcia,
Różdżką machał, takie były jego główne zajęcia.
A ja brałem, co chciałem, z życia korzystałem,
Miałem wszystko i bardzo mi się to podobało.
Brat się o nic nie boczył, gdzie ten głupiec miał oczy?
Nie przypuszczał, jak się nasze sprawy dalej potoczą.
Trząsałem Mediolanem, moje słowo było prawem,
Nikom z niczego się tłumaczyć nie musiałem,
Pokusa nieodparta pchała mnie w stronę czarta,
Ale czułem, że warto.

Ooo-a-ha! Oo-a-ha! Bam klask, klask bam, pstryk pstryk bam.

Myślę: brat mój gapol, więc odwiedzę Neapol.
Król ma chrapkę na Mediolan, dogadamy się jakoś.
Dobiliśmy umowy,
On pomoże mi zdobyć pełnię władzy, a ja mu odpłacę.
I capnęliśmy brata, tego starego wariata
W środku nocy,
Przekupiliśmy strażę, darmo wzywał pomocy,
Wsadziliśmy go na łajbę starą, mocno zmurszałą,
Musiałby się zdarzyć cud, żeby wyszedł z tego cało.
Wpakowaliśmy na pokład także jego małą,
Wypchnęliśmy ich na morze, na pożarcie falom.
Oficjalna wersja brzmiała: księżę gorzej się poczuł,
Udał się na tropikalną wyspę, żeby odpocząć.
Oj, coś długo nie wraca, czyżby na dnie spoczął?

Ooo-a-ha! Oo-a-ha! Bam klask, klask bam, pstryk pstryk bam.

O nie! Żal Prospera! Kończy się pewna era.
Co za strata, wszystkich (również brata) smutek zżera.
Teraz jam jest ksiązę Mediolanu i pan panów.

*Och tak!
Teraz on jest ksiązę Mediolanu i pan panów.
Tup tupu tup, tup tupu tup, tupu tupu tup!
Klask klask. Ha!*

Po tym ostatnim „ha!” wszyscy spoglądają w stronę Feliksa. Zna to spojrzenie. *Nie odtrącaj mnie, powiedz, że ci się podobało!*

– I co pan myśli? – pyta Wężowe Oko. Zmęczył się tym podskakiwaniem, dyszy głośno.

– Ma swój urok – odpowiada Felix, choć najchętniej by go udusił. Kradnie mu scenę! Zaraz jednak tłumi w sobie złość: w końcu to ich spektakl.

– Oj tam urok. Przyznaj, że to jest fantastyczne! – odzywa się z tyłu Anne-Marie. – Świetnie podsumowuje tamtą historię. Jak dla mnie to pewniak.

– Efektowne stepowanie – zauważa Felix.

– Po to tu jestem. – Anne-Marie się uśmiecha. – Pomagam, jak mogę. Numery taneczne, noszenie drewna, co tylko rozkażesz.

– Dziękuję.

– Czyżby pan Duke był zazdrosny? – szepce szelmowsko Anne-Marie. Czyta w nim jak w otwartej książce, zbyt łatwo. – Pewnie chciałbyś robić chórki, co?

– Nie bądź smarkulą – rzuca półgębkiem.

– Potem cięcie – tłumaczy Wężowe Oko – i pokazujemy łódź, dziurawą łajbę, którą przyplłynęli, możemy to nałożyć na jego słowa, to znaczy, pana słowa, kiedy Miranda mówi Prosperowi, że pewnie była dla niego ciężarem, a on jej odpowiada, że wcale nie, bo aniołem, który go uratował. Cherubinem. Wie pan, o jaki fragment mi chodzi.

– Tak, wiem bardzo dobrze.

Felix czuje ściskanie w sercu.

– I wie pan – ciągnie dalej Wężowe Oko – niektórzy chłopacy mają dzieci, mają w celach ich zdjęcia, bo można mieć zdjęcia rodziny. Możemy nakręcić łódkę, na przykład taką zabawkową, trochę ją sponiewierać, żeby się rozlatywała; i będzie ciemno, wieje wiatr, jest noc, i pokazujemy na niebie zdjęcia dzieciaków. Bo chłopaki, co tu siedzą, też tak myślą o swoich dzieciach: że to anioły, które pomagają im przetrwać.

Jak mógłby odmówić?

– Dobra, spróbujmy.

– Ośmioręki mówi, że wmontuje te zdjęcia do filmu, to dla niego żaden

problem. Może na przykład zrobić tak, że będą się pojawiać jedno po drugim, tylko na chwilę. Jak gwiazdy na niebie.

– Brzmi nieźle – stwierdza Felix przez ściśnięte gardło. Dlaczego nawet tak kiczowaty pomysł doprowadza go niemal do łez? Sentymentalny szajs. Czy zaraz się rozpłaczę?

Uważaj, mówi sobie. Weź się w garść. Prospero musi mieć wszystko pod kontrolą. Mniej lub bardziej.

Wężowe Oko nie powiedział jeszcze wszystkiego, przestępuje z nogi na nogę. No dawaj, woła w duchu Felix. Dobij mnie.

– Pomyśleliśmy, że może pan też chciałby dodać jakieś zdjęcie – zaczyna nieśmiało Wężowe Oko. – Jeżeli ma pan takie, z którym się nie rozstaje. Ono też mogłoby się pojawić na niebie. Chłopaki nie mają nic przeciwko.

Jego trzyletnia Miranda na huśtawce, wysoko na niebie, w srebrnej ramce. Wesoło roześmiana. Tak, to dzięki niej przetrwał.

– Nie! – odpowiada, prawie krzyżąc. – Nie mam niczego takiego! Ale dziękuję za miłą propozycję. A teraz muszę was przeprosić.

Nie robią tego, żeby mu dokuczyć. Nic przecież o nim nie wiedzą – o jego żalu, wyrzutach sumienia, o nieutulonym smutku.

Ledwie widząc na oczy, ze ściśniętą krtanią dociera do pokazowej celi z lat pięćdziesiątych i rzuca się na dolną prycz. Drapiące szare koce. Obejmuje kolana ramionami, zwiesza głowę. Zagubiony na pełnym morzu, dryfujący na przegniłej łajbie, skąd i chytre szczury uciekły^[38].

Czarodziejskim sposobem^[39]

Sobota, 9 lutego 2013 roku



Zły nastrój mija. Wszystko wraca do normy. Rzucenie się w wir pracy zawsze pomaga.

W weekend Felix wyrusza do Toronto na poszukiwanie kostiumów i rekwizytów. Jedzie na dworzec w Makeshiweg i przesiada się do pociągu, by uniknąć stania w korkach i szukania miejsca parkingowego. Mógłby tego nie wytrzymać; odzwyczaił się od miejskiego ścisku.

Chłopcy sporządzili mu listę rzeczy, których potrzebują. Niczego im nie obiecał, ale przyrzekł, że zrobi, co w jego mocy. Anne-Marie dopisała trzy disnejowskie lalki. Zaznaczyła, że zamówiłaby je sama przez internet, gdyby nie to, że wyczerpała limity na kartach kredytowych.

Felix wysiada na Union Station i rozpoczyna poszukiwania. Anne-Marie poszperała w sieci i zrobiła mapę miejsc, do których warto zajrzeć.

Najpierw odwiedza oddalony o kilka przystanków metra sklep z zabawkami. Przez lata unikał takich sklepów jak ognia, lecz Miranda już wyrosła z zabawek. Raz i drugi mija witrynę: za szybą tylko plastik i tektura, czego tu się bać?

Bierze głęboki wdech i przestępuje próg, wkracza w świat strzaskanych

marzeń i złudnych nadziei. Wszystko jest takie czyste, takie lśniące i jakże dla niego odległe. Mimo drżenia w piersi wchodzi pewnym krokiem.

W środku kieruje się do tej części, gdzie wystawione są zabawki plażowe: to tu należy szukać wszystkiego, co pływa. Gdy przygląda się niezliczonym produktom w kolorach podstawowych, podchodzi do niego dziewczyna z obsługi.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Tak, potrzebuję dwóch łodzi. Jednej mniejszej, wiosłowej, a drugiej większej, powiedzmy jak żaglówka.

Nie, nie chodzi mu o model, ale o coś, co naprawdę utrzyma się na wodzie, na przykład zabawka do kąpielii albo...

– Ach! – Dziewczyna kiwa głową. – Dla wnuków?

– Niezupełnie. Jestem bardziej wujkiem.

Razem wybierają łodzie. Małą będzie można połatać, większa powinna dobrze wyglądać wśród burzy.

– Coś jeszcze? – pyta dziewczyna. – Może zainteresują pana dmuchane akcesoria do nauki pływania? Rękawki-motyłki, idealne dla dziewczynek. Mamy też makaron, świetnie się sprzedaje. Piankowy, do pływania – dodaje, widząc jego zbaraniałą minę.

– A czy mają państwo, hm, jakieś księżniczki z filmów Disneya?

– Ależ oczywiście. – Śmieje się. – Mamy całą hurmę.

Musiła studiować historię albo coś w tym rodzaju, bo kto dziś używa takich słów?

– O, tutaj.

Ma go za dziwaka. Nie szkodzi, myśli Felix, to nawet lepiej.

– Pomoże mi pani wybrać trzy? – prosi, a jego twarz przybiera wyraz bezradności.

– Dobrze mieć takiego wujka! – stwierdza dziewczyna, poruszając ironicznie brwią. – Czy chodzi o jakieś konkretne księżniczki?

Felix zerka do ściagi.

– Śnieżka, Dżasmina, Pocahontas.

– No, no. Ale pan jest dobrze zorientowany! Pewnie ma pan też córki.

Felix krzywi się. Tu jest piekło, myśli, ja z niego nie wyszedłem^[40]. Przekłeta Anne-Marie, mogłem ją zabrać ze sobą, żeby sama to kupiła. Zapłaciwszy przy kasie, prosi o wyjęcie przyszłych bogiń z pudełek, owinięcie ich w papier i spakowanie do jednej torby. Trochę to upokarzające, lecz muszą jeszcze poczekać na swoją apoteozę.

Objuczony dwiema torbami Felix odnajduje wskazany przez Anne-Marie sklep z kostiumami i artykułami śmiesznymi przy Yonge Street. W jego witrynie stoi prawie nagi manekin w szpilkach, cekinowej masce i skórzanych akcesoriach sado-maso, z pejcem w dłoni. W środku Felix zerka przelotnie na wampirze kły, peleryny Batmana i maski zombie, starając się nie sprawiać wrażenia fetyszysty. Za ladą siedzi potężnie umięśniony młodzieniec z mnóstwem chromowanych ozdób w uszach i wytatuowaną czaszką na przedramieniu.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – pyta z chytrym półuśmiechem. – Mamy

trochę nowości ze skóry. Robimy też na miarę. Kagańce, kajdany.

Najwyraźniej wziął Feliksa za masochistę; co w gruncie rzeczy nie jest wcale dalekie od prawdy.

– Czy dostanę jakieś czarne skrzydła? Właściwie to w dowolnym kolorze, byle nie białe.

– Upadły anioł, hę? – mówi ekspedient. – Jasne. Mamy niebieskie. Mogą być?

– A to jeszcze lepiej.

Felix kupuje skrzydła, dwa słoiki farby do twarzy: niebieską i zgniłozieloną, zestaw do makijażu dla klauna, zieloną łuskowatą czapkę-Godzilla (z jaszczurczymi oczami u góry i szeregiem zębów nad czołem), dwa trykoty w deseń węzowej skóry (te trzy ostatnie rzeczy z myślą o Kalibanie) oraz kilka masek wilkołaków (którym najbliższe do psów myśliwskich).

W sklepie nie ma kryz, są za to krótkie aksamitne peleryny – Felix bierze cztery dla arystokratów. Do tego garść tombakowych medalionów na łańcuszkach, ozdobionych podobiznami lwów i smoków. Dwie tanie narzutki ze złotymi cekinami, jedną ze srebrnymi: połyskliwe szaty do mamienia głupców. Parę opakowań błękitnego konfetti, kilka arkuszy zmywalnych tatuaży: pajaków, skorpionów, węży i tym podobnych.

Skrzydła są niezbyt wygodne w transporcie. Felix zahacza o sklep z walizkami, kupuje jedną wielką, na kółkach, i chowa do niej skrzydła, łódzie, księżniczki, maski i błyszczący badziew. Wszystko się mieści, zostaje nawet sporo miejsca – i dobrze, bo to nie koniec zakupów.

Następny w kolejności jest sklep sportowy. Młodemu sprzedawcy o zdrowym wyglądzie tłumaczy, że potrzebuje gogli narciarskich, opalizujących.

– Tych sprzedajemy najwięcej. Plutonit. – Chłopak pokazuje mu fioletowo połyskujące okulary: są ogromne, opływowe, jak oczy owada. – Szuka pan dla siebie? – pyta z lekkim niedowierzaniem; najwyraźniej nie potrafi sobie wyobrazić Feliksa na stoku.

– Nie, nie. Dla młodego krewniaka.

– Dobrze jeździ?

– Miejmy nadzieję. I poproszę od razu piętnaście kominiarek.

– Piętnaście?

– Jeżeli mają państwo tyle. To na imprezę.

Mają tylko osiem, ale po resztę – i po piętnaście par rozciągliwych czarnych rękawiczek – podjedzie do sklepu z odzieżą roboczą w centrum handlowym w Wilmot. Nie wie jeszcze, ilu gnomów będzie potrzebował, ale lepiej być przygotowanym.

Nieopodal, w sklepiku oferującym torebki, parasole i różne bibeloty, Felix nabywa półprzezroczysty niebieskozielony damski płaszcz przeciwdeszczowy z wesołym wzorem w biedronki, pszczoły i motyle. Prosi sprzedawcę o największy rozmiar. To elka, według damskiej rozmiarówki, lecz mimo to Ośmioręki może mieć kłopot, żeby się w nią wcisnąć. Najwyżej rozetną płaszcz na plecach i przytwierdzą go jakoś do jego koszuli: i tak widać będzie tylko przód.

W sklepie Canadian Tire kupuje niebieskie zastony prysznicowe, zszywacz,

sznur do bielizny i garść klamerek (do sceny, w której Stefano i Trynkulo kradną szaty), a także plastikową zieloną miskę (do znikającej uczty).

W pobliskim sklepie z artykułami biurowymi zdobywa duże opakowanie papieru kartonowego w różnych kolorach, rulon brązowego papieru pakowego i zestaw flamastrów do przygotowania kaktusów, palm i tym podobnych elementów wyspowej scenografii. Wystarczy, że będzie ich kilka: resztę mózg domaluje sobie sam.

Ostatnim przystankiem jest butik ze strojami kąpielowymi dla kobiet.

– Chciałbym kupić czepek – zwraca się do pełniącej honory eleganckiej kobiety w średnim wieku. – Najlepiej niebieski.

– Dla żony? – pyta go z uśmiechem. – Czyżby na rejs wycieczkowy?

Nie, dla skazanego prawomocnym wyrokiem przestępcy, który odbywa karę więzienia i szykuje się do roli fruującego niebieskiego kosmity. Tak mógłby odpowiedzieć, ale odpiesa pokusę.

– Owszem. Płyniemy w marcu na Karaiby.

– Cudownie – mówi kobieta nieco tęsknym głosem. Taki jej los: pomaga innym przygotować się do rejsu, na który sama nigdy się nie wybierze.

Felix ogląda i odrzuca kilka czepków: jeden w stokrotki, drugi w różowe róże na morskim tle, trzeci z kokardką.

– Żona ceni sobie prostotę – wyjaśnia.

Najlepsze, co udaje mu się znaleźć, to nieco figlarny czepek obrzeżony nachodzącymi na siebie gumowymi łuskami.

– Czy mają państwo inne rozmiary? Chciałbym jak największy. Żona ma dużą głowę i mnóstwo włosów – dodaje odruchowo.

– Pewnie jest wysoka.

– O tak. Posągowa.

Może uda się jakoś rozciągnąć ten czepek. Nie chciałby, żeby Ośmioręki wyglądał idiotycznie, z ciasnym czepkiem na czubku głowy, przycupniętym niczym grzyb.

Która nie wiesz, kim jesteś^[41]

Tego samego dnia



Felix wraca pociągiem do Makeshiweg i wsiada do zaparkowanego przed stacją samochodu. Znowu pada śnieg; zajechawszy pod swoją chatkę, ma problemy z przedarciem się z wielką walizką przez świeże zaspę.

Mimo lokalnych zadymek na południowym zachodzie wśród morelowych chmur widać jeszcze słońce. Drzewa na skraju zasypanej łąki rzucają niebieskawe cienie. Kiedyś, nie tak znowu dawno, Miranda o tej porze bawiłaby się na zewnątrz, korzystała z ostatnich promyków dnia, rozrzucając śnieg albo robiąc w nim aniołki. Rozgląda się za odciskami stóp: nie, najwyraźniej nie wychodziła. Choć zaraz sobie przypomina, że przecież ona nie zostawia śladów, tak lekko stąpa.

W środku, jak zwykle po wygaśnięciu ognia, unosi się lekko gryzący zapach popiołu. Felix włącza grzejnik. Rozlega się szum i brzęk nagrzewanego metalu.

– Miranda?

W pierwszej chwili myśli, że jej nie ma, i przeszywa go smutek. Potem jednak wyczuwa jej obecność: siedzi przy stoliku w gęstniejącym mroku. Czeką nad szachownicą, gotowa wrócić do przerwanej lekcji. Uczył ją

ostatnio kilku schematów gry środkowej. Lecz kiedy otwiera walizkę, ona wstaje od stolika i podchodzi zaciekawiona.

Te skarby – złote tkaniny, niebieski gumowy czepek, łódki! Trzy disnejowskie księżniczki w całym swoim tandetnym przepychu: jest nimi oczarowana.

Co to za rzeczy? – dopytuje się. Skąd one są, do czego służą? Czepek kąpielowy? Gogle narciarskie? Co to jest kąpiel, co to są narty? Oczywiście, że te przedmioty nic jej nie mówią; tak mało wie o świecie.

– To do sztuki – wyjaśnia Felix. Następnie musi jej wytłumaczyć, co to jest sztuka, co to aktorstwo, dlaczego ludzie udają kogoś, kim nie są. Nigdy nie rozmawiał z nią o teatrze; właściwie to niezbyt się interesowała, dokąd udaje się jej ojciec, gdy nie ma go w ich nędznej chatce, teraz jednak słucha go uważnie.

W poniedziałek, wróciwszy z Fletcher, gdzie przez sześć wyczerpujących godzin usiłował przebrnąć, scena po scenie, przez akt drugi, dowiaduje się, że Miranda pod jego nieobecność przeczytała *Burzę*. Nie powinien był zostawiać książki na wierzchu. Teraz nie będzie mogła przestać o niej myśleć. Mógł to przewidzieć.

Wolałby, żeby nie wiązała swojej przyszłości z teatrem. To ciężki kawałek chleba. Porażki, rozczarowania. Trzeba mieć żelazne nerwy, skórę twardą jak stal, odwagę tygrysa – zwłaszcza gdy jest się kobietą. Szczególnie dla takiej dziewczyny jak ona byłby to trudny zawód: jest przecież wrażliwa, delikatna. Chronił ją przed tym, co w ludzkiej naturze najgorsze: jak by sobie poradziła bez tej ochrony? Powinna obrać w życiu łatwiejszą drogę, zostać lekarką, może dentystką. I, oczywiście, prędzej lub później wyjść za mąż za kogoś troskliwego i zrównoważonego. Szkoda by było, gdyby poświęciła się dla świata iluzji – dla znikających tęcz, nietrwałych mydlanych baniek, wieży z głowami w chmurach^[42] – tak jak on się poświęcił.

Widocznie jednak ma teatr we krwi, bo upiera się, żeby włączyć ją do zespołu. Co gorsza, chce zagrać *Mirandę*. Uważa, że to idealna rola dla niej. Bardzo się cieszy na samą myśl! Nie może się doczekać, kiedy pozna aktora, który zagra *Ferdynanda*. Jest przekonana, że razem zachwyca publiczność.

– Nie możesz zagrać *Mirandy* – odpowiada najbardziej stanowczym tonem, na jaki potrafi się zdobyć. Pierwszy raz otwarcie się jej sprzeciwia. Jak ma jej wytłumaczyć, że dla innych będzie niewidzialna? Nie uwierzyłaby mu. A gdyby uwierzyła – gdyby była zmuszona uwierzyć – to co by się z nią stało?

Ona nie ustępuje. Dlaczego nie może zagrać *Mirandy*? To niesprawiedliwe! On jej nie rozumie! Traktuje ją tak, jak gdyby...

– Jak gdyby co, duszko?

Czy mu się zdaje, czy się nadeła? Skrzyżowała ramiona? Dlaczego? – pyta znowu. Dlaczego nie mogę?

– Bo mam już inną aktorkę do tej roli. Przykro mi.

Zrobiło się jej smutno, więc i jemu jest smutno. Serce mu pęka na myśl,

że ją zranił.

Miranda znika. Czy wyszła na zewnątrz i spaceruje po ciemku w śniegu? Czy może, zwyczajem nastolatek, siedzi nadąsana na łóżku w swoim pokoju?

Tyle że ona nie ma własnego pokoju, przypomina sobie Felix. Ani łóżka. W ogóle nie śpi.

Czarci pomiot

Poniedziałek, 25 lutego 2013 roku



Wraz z pojawieniem się kostiumów w aktorów wstąpiła nowa energia. Sztuka nabiera dla nich coraz realniejszych kształtów. Spędzają mnóstwo czasu przed lustrami w pokoju numer dwa, przemianowanym na pokój aktorów, oglądają się z każdej strony, robią miny, powtarzają kwestie. Wykonują ćwiczenia rozgrzewające, które im pokazał.

Trzy pstre przepióreczki, dobiega stamtąd. Er, er, er, rozbitek! El, el, el, litość! Es, es, es, skrzaty! Pe, pe, pe, petardy! Ci, którzy mają śpiewać, rozgrzewają głosy, tak jak ich uczyła Anne-Marie: „Om om om! Brum! Gnom! Bim bam bom!”

Przywieziono keyboard; po krótkich targach pozwolono go wnieść za bramki. W pokoju numer cztery Felix urządza salę muzyczną. Anne-Marie pracuje z tancerzami. Przed każdą sesją na rozgrzewkę robią pompki i brzuszki. Patrolując korytarz swojego małego królestwa, Felix często słyszy jej głos:

– Ruchy, ruchy! Raz, dwa, akcent na dwa! Lewa, prawa! Dasz radę! Napnij brzuch! Raz, dwa! Miętko! Dawaj!

Jednego dnia Ośmioręki tkwi po łydki w kablach, drugiego ślęczy nad minikamerami. Wreszcie zaczyna instalować maleńkie bezprzewodowe

mikrofony i głośniki (wiercenie dziur w ścianach byłoby niewskazane).

W narożniku głównej sali Felix umieścił składany parawan, na którym będzie wyświetlany gotowy spektakl. Za ekranem znajduje się biurko z monitorem i klawiaturą oraz dwa krzesła, jedno dla Ośmiorękiego, drugie dla niego. Felix ma teraz wgląd w każdy zakamarek swojego królestwa.

– Pokój aktorów – mówi Ośmioręki i przywołuje na monitorze odpowiedni obraz. – Sala muzyczna. Cella pokazowa, ta stara. I druga. Wszystkie są opisane, o tutaj. Jest wizja i fonia, wszystko się nagrywa.

– Właśnie tego potrzebowałem – przyznaje Felix. – Dzielnny duchu!^[43]

– Na pewno ma pan zgodę na to wszystko? – pyta Ośmioręki nieco zatroskany. Nie chce sobie nagrabić: zależy mu na przedterminowym zwolnieniu.

– Spokojna głowa – odpowiada Felix. – Wszystko jest częścią sztuki. Biorę pełną odpowiedzialność. Wyjaśniłem to kierownictwu, są na bieżąco. – To nie do końca prawda, ale i nie do końca kłamstwo. – Gdyby ktoś miał wątpliwości, odeślij go do mnie.

– Spoko – mówi Ośmioręki.

Anne-Marie i Słodziak ćwiczą swoje sceny. Obojgu należą się pochwały. Ona jest niewinna i spontaniczna, on – czuły, o maślanym oczach. Również po próbach, ale Anne-Marie udaje, że tego nie widzi. W ogóle stara się być matczyną, budzić w członkach obsady raczej synowską tkliwość niż pożądanie. W tym celu zaczęła robić wypieki: przywozi czekoladowe ciasta z karmelem, kruche ciasteczka, bułeczki cytrynowe, i częstuje wszystkich w przerwach na kawę. Nie zapomina o Dylanie i Madisonie, którzy żartują, że w tych pysznościach na pewno są narkotyki, bo przecież wiadomo, co ludzie teatru lubią najbardziej: dzikie, szalone orgie. Anne-Marie patrzy na nich z pobłażaniem, jak na przemądrzałych dziewięciolatków.

Zdumiewające, myśli sobie Felix, że ktoś tak drobny i dziewczęcy z powodzeniem odgrywa rolę matrony. Nie pomylił się co do niej przed laty: to znakomita aktorka.

Anne-Marie wzięła też na siebie przygotowanie bóstw. Zarządziła, że Śnieżka będzie boginią Iris, czyli posłanką, Pocahontas zagra Ceres, boginię urodzaju, a Dżasmina – Junonę, opiekunkę małżeństw.

– Z tym że na pewno nie będą miały na sobie tych gównianych ubrań – zaznaczyła od razu, odbierając od niego lalki, po czym zaczęła je rozbierać ze strojnych toalet.

– Rozumiem – odparł – ale skąd weźmiemy...

– Poproszę o pomoc moje kółko robótek ręcznych.

– Nadal nie mieści mi się w głowie, że należysz do kółka robótek ręcznych.

– Feliksowi kojarzą się one raczej ze starszymi paniami z kościołów misyjnych, ewentualnie z matronami szyjącymi skarpetki dla młodych żołnierzy w okopach pierwszej wojny światowej, ale na pewno nie z młodymi aktorkami.

– To dobrze robi na nerwy. Robienie na drutach. Powinieneś spróbować.

Faceci też robią.

– Chyba nie skorzystam. Myślisz, że twoje kółko się tego podejmie? Zrobienia ubranek dla lalek?

– To cudowne dziewczyny – odpowiedziała. – Spodoba im się ten pomysł. Tęczowe kolory dla Iris, dla Ceres owoce, pomidory, snopy pszenicy i co tam jeszcze, dla Junony coś z motywem pawich piór.

– Ale... boginie w wełnach? Czy nie będą wyglądały grubo? – Pachniało mu to wszystko złym gustem i nie był to zły gust w rodzaju, jaki Felix preferował.

– Zdziwisz się. Ale nie będą wyglądały grubo, obiecuję.

– Bo wiesz – nie ustępował Felix – mój najlepszy monolog jest zaraz po scenie z boginiami. Nasze zabawy skończone – zaczyna deklamować... i nie może już przestać.

Aktorzy,

Jak ci mówiłem, to duchy jedynie,

Które w powietrzu już się rozpląnęły.

To tylko miraż, muślin bez osnowy

Jak świetne zamki, wyniosłe świątynie,

Wieże z głowami w chmurach, ten glob cały,

Wczoraj i dziś, które też wiatr rozwieje,

Jak bezcielesne nasze widowisko.

Z tej samej przędzy, co sny, nas utkano,

A nasze krótkie życie ze stron obu

Snem spięte.^[44]

– O rety. Nadal to potrafisz – powiedziała Anne-Marie, kiedy skończył. – Właśnie dlatego zawsze chciałam z tobą pracować. Jesteś mistrzem. Prawie się popłakałam.

– Dziękuję – odparł Felix z ukłonem głowy. – Dość mocne, prawda?

– „Dość”? Jezu!

Anne-Marie otarła łzę.

– No dobrze, mocne i już. Ale czy nie wydaje ci się, że te spowite wełną disnejowskie księżniczki mogą, bo ja wiem... – Jakiego słowa szukał? – Że mogą zaszkodzić? Osłabić ten monolog? Nie są zbyt absurdalne?

– Trochę szperałam w internecie, a do tego widziałam trzy różne inscenizacje, i powiem ci, że ta scena zawsze wygląda trochę absurdalnie, nawet gdy boginie są grane przez ludzi. Rzucano ją na ekran, używano nadmuchiwanych zabawek, parę lat temu widziałam nawet aktorów na szczudłach. Ale w naszym spektaklu one wcale nie będą wyglądały jak księżniczki. Pomaluję im twarze. Wpadłam na pomysł, żeby użyć farby fosforyzującej, no i trochę brokatu. Niech wyglądają jak w maskach. A ponieważ one są jakby marionetkami Ariela, można by wykorzystać japońską technikę *bunraku* albo światło czarne – niech porusza nimi paru

aktorów w kominiarkach i czarnych rękawiczkach. Nakupiłeś ich przecież. A głosy można przetworzyć cyfrowo, żeby brzmiały dziwnie, jak głosy duchów.

– Można spróbować – zgodził się Felix.

Środa, 27 lutego 2013

Jeszcze dwa tygodnie, zanim planety się spotkają i rozpęta się burza. Sfilmowano już pierwszą scenę z tonącą łodzią i Ośmiorękim w czepku i goglach. Wyszła nadspodziewanie dobrze. Felix swoją pierwszą scenę z Arielem nagra w przyszłym tygodniu. Ośmioręki miał tyle roboty technicznej, że potrzebuje dodatkowego czasu na przygotowanie się do roli.

Dziś kręcą Kalibana. Najpierw zbliżenia monologów, szersze ujęcia dodadzą później. Leggs pierwszy raz ma na sobie cały kostium: łuskowatą czapkę-Godzilla, z której usunięto zęby i oczy, a brzegi poszarpano, aby wisiały strzępami wokół twarzy; gruby makijaż; jaszczurcze wzory na nogach, tymczasowe tatuaże z pajakami i skorpionami na ramionach. Kostium wcale nie gorszy od wielu kostiumów Kalibana, jakie Felix widział, a od niektórych lepszy.

– Gotowi? – pyta Leggsa.

– Tak. Tylko że... dodaliśmy coś jeszcze. Anne-Marie nam pomogła.

Felix zwraca się do niej.

– Coś dobrego? Nie mamy czasu na głupoty, musimy się spieszyć.

Co prawda sam ich zachęcał do pisania własnych tekstów, więc nie ma prawa narzekać.

– Trzy i pół minuty – mówi Anne-Marie. – Ze stoperem w ręku. I tak, jest super. Chybabym cię nie okłamała?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Kamera! Akcja! – woła TimEEz. – Czarci pomiot. Występują: Kaliban i Mroczne Stwory. Najpierw będzie parę słów od narratora, możemy to dograć później. „Oto Kaliban, wychodzi z cienia, dość ma już tego w kamieniu więzienia. Cierpi niewolę, lecz dziś wam powie o tym, co leży mu na wątrobie!” Coś w ten deseń.

Felix kiwa głową.

– Okej.

– Nie zapomnij oddychać – mówi Anne-Marie do Leggsa. – Przeponą. Pamiętaj, co ci mówiłam o złości. Jest jak paliwo – znajdź je w sobie i wykorzystaj! To twoja szansa: pokaż im! Daj czadu! Trzy, dwa, jeden, start!

Leggs unosi głowę, kuca, potrząsa pięścią. TimEEz, P-Pod, VaMoose i Czerwony Kojot stoją z boku i wyklaskują tempo, wtórując mu cichym, synkopowym „a-ha, a-ha”. Leggs zaczyna gniewnie melodeklamować:

Nazywam się Kaliban, mam długie pazury,

Śliskie łuski zamiast skóry, mówią, że śmierdzą jak ryba.
Zwą mnie także Czarci Pomiot, a właściwie jeden kolo,
Który różnie na mnie gada, ciągle z gębą na mnie wsiada,
Od najgorszych mi wymyśla, od bękartów, niewolników,
Bo raz chciałem z jego córką zrobić szybkie fiku-miku
Czarci Pomiot – to ja!

Ta, z której wylazłem łona, miała na imię Sykoraks,
Mówią o niej wiedźma, jędza, mówią też wściekła maciora.
A mój ojciec, powtarzają, to był najprawdziwszy diabeł,
Więc zły jestem do kwadratu, taką mam wątpliwą sławę.
Czarci Pomiot!

Porzucili ją na wyspie, bo miała w brzuchu dzieciaka,
Rzekli: tutaj sobie zdychaj taka, siaka, owaka.
Urodziłem się, a matka wnet skonała, nieboraczka.
I objąłem całą wyspę, moją wyspę, we władanie.
I mówiłem sobie „królu”, i mówiłem sobie „panie”
Czarci Pomiot!

Potem zjawił się Prospero ze swoją małą szczeniara.
Myślał, że jest fafarafa, bo miał kiedyś kupę szmalu.
Na początku był spoko,
Nawet miał na mnie oko.
Byłem jego pupilkiem, teraz patrzy na mnie wilkiem,
Bo mu chciałem zerznąć małą; co by złego się stało?
Powinna się cieszyć, że ją ktoś przeleci
I że robi jej dzieci.
Czarci Pomiot!

Cały jestem poszczypany, ciało mi zsiniało,
Ja haruję, mam tu zapieprz, a on sobie chrapie
Albo ćwiczy zaklęcia, w kółko dziobem kłapie.
Kiedy mu odpyskuję, nowy skurcz mnie łapie.
Tak mnie boli, że pot ze mnie kapie.
Czarci Pomiot!

Niech no tylko się zagapi, zaraz porwę mu księgi,
Złamię laskę, będzie ubaw, spuszczę staremu cięgi.
Odwet wezmę na nim srogi, ręce mu połamie, nogi,

A dziewczynę zrobię swoją królową,
Może sobie krzyczeć, może wzywać pomoc.
Im głośniej krzyczy, tym bardziej się prosi,
Rzucę ją na kolana, w trawie wytarłoszę,
Będę rznął ją na całego, będę rznął do upadłego.
Czarci Pomiot!

Uważajcie na niego.
Czarci Pomiot!

Skończył. Głośno dyszy.

– Wow! Wymiotłeś! – woła Anne-Marie. Bije mu brawo, podobnie jak członkowie jego zespołu, a po chwili przyłącza się do nich Feliks.

– No, niczego nie zapomniałem – mówi skromnie Leggs.

– Nie w tym rzecz! To była najlepsza próba do tej pory! – chwali go Anne-Marie. – Puścimy ci na ekranie, żebyś zobaczył, a jutro nagramy ostateczną wersję. Będziemy potrzebowali kostiumów dla Mrocznych Stworów, powinni mieć takie same jaszczurcze głowy. – Po czym zwraca się do Feliksa:

– Przyznaj, że nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałeś!

– Przyznaję. – Feliksa trochę zatkało. Leggs naprawdę się dla niego postarał. Nie, nie dla niego: dla Anne-Marie. I dla sztuki, rzecz jasna. – Nowy, wspaniały świat, gdzie są tacy ludzie!^[45]

– Nowy dla ciebie. – Anne-Marie się śmieje. – Biedny, stary Feliksie! Nie rozpieprzamy ci twojego przedstawienia?

– Ono nie jest moje, tylko nasze.

Czy naprawdę tak uważa? Tak. Nie. Raczej nie.

Tak.

Przybywaj

Sobota, 2 marca 2013 roku



W sobotnie popołudnie Felix budzi się z potwornym kacem. Dziwne, bo przecież nie pił. Mimo to czuje się, jakby mózg mu wysechł. Za dużo myślenia, instruowania, oglądania. Za dużo tworzenia, mówienia, bycia wśród ludzi. Spał czternaście godzin, ale to i tak za mało, żeby się zregenerować.

W żalostnej, do cna wytartej koszuli nocnej człapie do dużego pokoju. Przez okno w podwójnej ilości, bo odbite od śniegu, wlewa się jasne światło. Felix mruga, wzdyga się jak wampir. Dlaczego nigdy nie powiesił zasłon? Nie przyszło mu to do głowy, bo kto by chciał tu zaglądać.

Chyba tylko Miranda, kiedy przebywa na zewnątrz i od czasu do czasu zerka przez szybę, żeby sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Gdzie ona teraz jest? Poranki nie są jej ulubioną porą, a już na pewno nie dwunasta w południe, kiedy słońce stoi w zenicie. Jasność dnia ją przygasza; dopiero zmierzch pozwala jej na nowo rozbłysnąć.

Idioto, mówi do siebie. Jak długo jeszcze zamierzasz wisieć na tej kropłowce? Dawkować sobie iluzję, która trzyma cię przy życiu? Może byś wreszcie z tym skończył? Porzucił swoje brokatowe naklejki, wycinanki i kredki. Stawił czoło życiu takiemu, jakie ono jest, nieupiększonemu, z całym

jego brudem.

Ale przecież prawdziwe życie mieni się kolorami – słyszy w innej części mózgu. Składa się z wszelkich możliwych barw, także z tych, których nie widzimy. Cała natura jest ogniem, wszystko powstaje, rozkwita, gaśnie. Jesteśmy jak wolno sunące obłoki...

Otrząsa się, drapie po głowie. Pobudzić krew, musi pobudzić krew do szybszego krążenia, by odżył wyschnięty orzech w jego czaszce. Trzeba mu kawy. Zagotowuje wodę w elektrycznym czajniku, zalewa zmielone ziarna, odcedza napój i wypija go duszkiem jak alkoholik wychylający szklanekę rumu. W neuronach zaczynają przepływać iskry.

Wciąga na siebie dzinsy i bluzę. Wytrząsa resztki śniadaniowych płatków z trzech różnych opakowań i gotuje na papkę. Najwyższy czas zrobić zakupy, uzupełnić zapasy w szafce. Inaczej skończy jak ci pustelnicy, których wyschnięte na wiór ciała odkrywa się kilka miesięcy po tym, jak umarli z głodu, bo zapomnieli o jedzeniu, zaprzętnięci swoimi obsesyjnymi wizjami.

Teraz czuje się już lepiej. Jest gotowy.

Włącza komputer i googluje Tony'ego i Sala. Oto są, trzysta mil stąd, znów udzielali wywiadów. Towarzyszy im jeszcze jeden człowiek ich pokroju: Sebert Stanley, minister do spraw kombatantów, potakiewicz o giętkim karku; wyborcy ufają mu, bo wcześniej głosowali na jego wujka o tym samym nazwisku.

Wszyscy trzej niedługo zjawią się we Fletcher – ależ to będzie gratka! Czy go rozpoznają? Na pewno nie od razu; nie zamierza im się pokazywać, dopóki gnomy nie zrobią, co do nich należy. Jak zareagują tamci, gdy zrozumieją, że ich życie wisi na włosku? Czy będą cierpieć męki? O tak. Okrutne męki. Już on się o to postara.

Zerka do kalendarza, by odświeżyć sobie plan przyszłego tygodnia, sceny ze swoim udziałem. Czasu wystarczy tylko na jedno, góra dwa ujęcia: będzie musiał zagrać na miarę swoich możliwości za pierwszym razem. Dotychczas był zupełnie spokojny – przecież ma tę rolę wyrytą w kościach – ale czy słusznie? Co z pozami, gestami, mimiką? Liczy się moc i precyzja. Powinien poćwiczyć. Trzy pstre przepióreczki. W czasie suszy szosa sucha.

Otwiera przepastną szafę. Oto i jego czarodziejska szata, odbija światło mnóstwem oczu. Wyjmuje ją, otrzepuje z kurzu i paru cienkich pajęczyn. Pierwszy raz od dwunastu lat ją wkłada.

To jak naciągnąć na siebie dawno zrzuconą skórę; jakby szata nosiła jego, a nie odwrotnie. Mizdrzy się przed małym lustrem. Ramiona do tyłu, przepona do góry, wypięty brzuch robi miejsce dla płuc. Mi-mi-mi, mo-mo-mo, mu-mu-mu. Pszeniczny. Sztubacki. Wszeteczny.

Szelmowski duszek.

Nie pluj.

Jeszcze laska. Magiczna laska ze srebrną lisią głową sama wpada mu do ręki. Unosi ją do góry, czuje prąd w nadgarstku.

– Zbliź się tu, mój Arielu. Przybywaj^[46].

Jego głos brzmi fałszywie. Jak znaleźć ten prawdziwy ton, któremu publiczność da wiarę? Dlaczego sobie uroił, że podoła tej arcytrudnej roli? Tyle sprzeczności w jednej postaci! Dumny arystokrata, skromny pustelnik? Sędziwy mędrzec, mściwy ramię? Drażliwy i kapryśny, serdeczny i opiekuńczy? Sadysta, łaskawca? Zbyt podejrzliwy, zbyt ufny? Jak oddać wszystkie subtelne niuanse jego słów i uczynków? Nie sposób.

Od wieków ludzie wystawiający *Burzę* oszukują. Skracają monologi, piszą zdania od nowa, żeby Prospero nie wychodził poza nakreślone przez nich ramy. Próbują uczynić go mniej dwuznacznym. Przyciąć do miary.

Nie rezygnuj, mówi sobie. Zbyt wiele masz do stracenia.

Ten sam wers, jeszcze raz. Czy powinien zabrzmieć bardziej jak rozkaz, czy jak zaproszenie? Z jak daleka go przyzywa? Szeptem czy wołaniem? Tak często wyobrażał sobie tę scenę, że już nie wie, jak należy ją zagrać. Nie potrafi dorównać swojemu idealnemu wyobrażeniu o niej.

– Zbliź się tu, mój Arielu. – Pochyliła się, jakby nasłuchując. – Przybywaj! Tuż przy uchu słyszy głos swojej Mirandy. Ledwie szept, ale wyraźny.

Chwała ci, mistrzu, witaj, wielki panie!
Śpieszę spełnić twą wolę! Czy mam frunąć?
Czy w ogień skoczyć? Płynąć? Kędzierzawe
Chmury osiodłać? Ariel ze swym hufcem
Spełni twój każdy rozkaz.^[47]

Felix upuszcza laskę jak oparzony. Czy to się stało naprawdę? Tak, nie przestyszał się!

Miranda postanowiła dublować Ariela. Trudno, żeby miał cokolwiek przeciwko.

Sprytnie to sobie wymyśliła! Wybrała rolę, która pozwoli jej dyskretnie uczestniczyć w próbach. Tylko on będzie ją widział, od czasu do czasu. Tylko on będzie ją słyszał. Dla wszystkich innych oczu pozostanie niewidzialna.

– Mój dzielny duchu! – woła. Chciałby ją teraz uściskać, ale to niemożliwe. Prospero i Ariel nigdy się nie dotykają: bo i jak dotknąć ducha? W tej chwili nawet jej nie widzi. Musi mu wystarczyć jej głos.

IV

TOPORNA MAGIA^[48]

30

Próbka mojej sztuki^[49]

Poniedziałek, 4 marca 2013 roku



Felix budzi się wcześnie rano z resztkami snu w głowie. Co to był za sen? Pamięta muzykę i jakąś oddalającą się, znikającą między drzewami postać. Próbował za nią wołać, żeby poczekała, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu ani ruszyć z miejsca.

SNY – powinien był napisać to słowo na tablicy. To bez wątpienia jeden z ważnych motywów. *Pełza jak we śnie mój duch ociężały*^[50]. Ilu bohaterów sztuki zapada w nagły sen albo mówi o snach? *Z tej samej przędzy, co sny, nas utkano*. Czyli z jakiej? *A nasze krótkie życie ze stron obu snem spięte*. Czy Szekspir zawsze wiedział, co robi, czy może czasem lunatykował? Pisał w transie? Spełniał czary, pod których był wpływem? Czy Ariel jest muzą? Felix potrafi sobie wyobrazić zupełnie inną *Burzę*, w której...

Przestań, mówi sobie. Niczego więcej nie dodawaj. Chłopcy i tak mają co robić.

* * *

Spogląda przez okno znad pierwszej filiżanki kawy. Dzień jest pochmurny i mroźny, ozdobił szybę lodowatym tchnieniem. Chyba przechodzi jakiś front. W nocy padał deszcz z ziarenkami lodu, znów mogą być przerwy w dostawach prądu. No i zdradliwa, bo niewidoczna, gołoledź. Choć pewnie piaskarki już posypały drogę, więc raczej nic mu nie grozi, trzeba tylko jechać powoli.

Dzisiaj będą nagrywać jego pierwszą scenę z Arielem z pierwszego aktu, w pełnych kostiumach. Wpycha swoją szatę, a potem laskę do zielonego worka na śmieci. Naciąga na siebie odzież wierzchnią: puchową kurtkę, ocieplane buty, grube rękawiczki, czerwono-białą czapkę ze sztucznej wełny z pomponem, dwa dolary w lumpeksie w Makeshiweg, powiedziała Anne-Marie, która mu ją podarowała, bo nie chciała, żeby odmroził sobie mózg.

– Potrzebujemy tego pierdolnika, który masz w głowie – tłumaczyła we właściwym sobie stylu. Twierdzi, że gardzi czułościowością.

– Wyjaśniliście sobie wszystko ze Słodziakiem? – zapytał ją, siląc się na obojętny ton. – Naprzykrza ci się jeszcze?

– Chcę, żebyśmy pisali do siebie listy – odparła. – Jak skończymy spektakl.

– To bardzo zły pomysł! – zaprotestował trochę zbyt żywiołowo. – Nie powinien znać twojego adresu. Po wyjściu z więzienia może próbować... Mam nadzieję, że odmówiłaś.

– Niech cię o to głowa nie boli.

– Dajesz mu nadzieję – zauważył Felix. – Czy to jest w porządku?

– Nie nakręciliśmy jeszcze sceny z miłosnymi wyznaniem – przypomniała.

– Czy jako reżyser wolałbyś, żeby widzowie wzdychali czy ziewali? Bo jeśli go spławię, będą ziewali.

– Jesteś bezwzględna! To nieetyczne.

– Nie praw morałów, uczyłam się od najlepszych. Wszystko dla sztuki, czyż

nie? Wydaje mi się, że tak mówiłeś dwanaście lat temu.

To było kiedyś, pomyślał Felix. Czy powiedziałby to dziś?

– Pogadam z nim – oznajmił.

– Nie zachowuj się jak mój prawdziwy ojciec. Poradzę sobie. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Przed nagraniem rozpuściła luźno włosy i wetknęła w nie kilka papierowych kwiatów. Sukienkę zrobiła sobie sama: białą, postrzępioną na brzegach, z paskiem z plecionki. Jeden rękaw odstaniał nagie ramię. Była, ma się rozumieć, boso. Trochę bardziej brązowa, trochę bardziej rumiana, ale bez przesady. Czysta jak rosa.

Scena nie mogłaby pójść bardziej po myśli Feliksa. Ona miała w oczach wypisaną niewinność i głęboki zachwyty. Słodziak wypadł znakomicie: gorliwy, lecz pełen szacunku, był ucieleśnieniem niezaspokojonego pragnienia. Gdy mówił: „O cudzie!” i wyciągał ku niej rękę, która zawisała w powietrzu, jakby stanęła jej na drodze szyba, jego spojrzenie mogłoby roztopić stal. Był więcej niż przekonujący.

Mam nadzieję, że ona nie złamie mu serca, pomyślał Felix. Ale to oszust, nie zapominaj. Oszust grający aktora. Złuda do kwadratu.

Ostatni raz ogląda się w lustrze. W minionych tygodniach stracił na wadze, trochę zmizerniał. Jego oczy mają nateżony wyraz, jak u jastrzębia w klatce, ale tym lepiej: wykorzysta to spojrzenie do swojej roli. Drapieżne, a zarazem niespokojne, trochę nieobecne. Czy przyprawić je krztyną demoniczności, odrobiną Drakuli? Może jednak nie.

Omotawszy szalik wokół szyi, wychodzi na dwór i rusza w stronę samochodu, podążając za białym obłoczkiem własnego oddechu. Samochód jakimś cudem zapala. To dobry znak. Felix potrzebuje ich teraz jak najwięcej.

Miranda nie zapomniała o swoim postanowieniu: zamierza zagrać w spektaklu. Towarzyszy mu w drodze do auta – Felix wyczuwa jej obecność za lewym ramieniem – ale w pierwszej chwili nie chce do niego wsiąść. Boi się? Czyżby pamiętała swoją poprzednią podróż samochodem, kiedy miała trzy latka i jechała do szpitala z wysoką gorączką, owinięta kocami? Oby nie.

Wtedy nie zdążył. Dlaczego w porę nie zauważył wypieków na jej policzkach, przyspieszonego oddechu, senności? Otóż dlatego, że nie było go przy niej – a nawet jeśli był, zaprzętały go bez reszty jakieś potajemne plany. *Cymbelin* – czy to nad tym przedstawieniem wtedy pracował? Czy to ono okazało się ważniejsze od jego ukochanej córki? Jego wina, jego bardzo wielka wina.

Powoli i starannie wyjaśnia jej, czym jest samochód. To taka magiczna maszyna latająca, trochę jak statek, tylko że porusza się po ziemi, za pomocą kół. Wskazuje palcem koła. Ten dym, który się wydobywa, pochodzi z silnika

i nie oznacza, że samochód się pali. Silnik jest potrzebny, bo napędza samochód. On, Feliks, będzie kierował, więc nie ma się czego obawiać. Ona może usiąść z tyłu, za jego plecami. Jeżeli chce wziąć udział w spektaklu, nie ma innej możliwości, muszą się tam jakoś dostać. To będzie trochę jak latanie.

Na szczęście w pobliżu nie ma żywej duszy, nikt nie widzi, jak Feliks rozmawia z niewidzialnym pasażerem i otwiera mu tylne drzwi.

Wreszcie jadą. Mirandzie chyba się podoba. Za oknem przemykają drzewa, domy, stodoły; bardzo ją ciekawią. Czy mieszkają w nich ludzie? Tak, mieszkają. Tyle ludzi! Tyle drzew!

– I jak, ptaszku, fajnie jest? – pyta ją. O tak, bardzo. Ale gdzie będzie to przedstawienie? – Już coraz bliżej – odpowiada.

Mijają stację benzynową, a potem centrum handlowe nieopodal zakładu karnego: kolorowe, wciąż przybrane świątecznymi dekoracjami. Jak dużo tu latających maszyn! Wjeżdżają pod górę i przez więzienną bramę. Wyjaśnia jej, że ogrodzenia są po to, żeby ci w środku nie wydostali się na zewnątrz, a ci na zewnątrz nie dostali się do środka. Są też strażnicy, dodaje. Miranda nie pyta, po co są, pyta tylko, czy ją przepuszczą.

– Nie zobaczą cię, bo jesteś moim niewidzialnym duszkiem – odpowiada Feliks, a ona śmieje się, jakby to był żart.

Przez kontrolę bezpieczeństwa przechodzi razem z nim; bramka z wykrywaczem nawet nie pisnęła. Brawo, ptaszku!^[51] Feliks posyła jej promienny uśmiech. Miranda śmieje się cichutko. Jaką mu to sprawia przyjemność, że jest taka szczęśliwa!

– Jak leci, panie Duke? – pyta Dylan.

– Wyglądamy kanty. Przy okazji: jutro też będę, mimo że nie ma zajęć. Przywiozę trochę akcesoriów. Będę mógł was prosić o przechowanie tego w jakiejś zamkniętej szafce albo gdzieś?

– Pewnie – mówi Madison. Feliks za każdym razem, kiedy coś wnosi, musi wyjaśnić, do czego mu te rzeczy posłużą, ale oficjalne zastosowanie często nie ma nic wspólnego z prawdziwym, które zachowuje dla siebie. Pytali go na przykład o te wszystkie czarne elementy ubioru: bluzy, spodnie, kominiarki, rękawiczki. Teatr lalek, odparł. W stylu japońskim. Czarne światło. Objął im, na czym polega *bunraku*.

– O kurde – rzekł z podziwem Madison. Feliks jest dla nich niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie teatru.

Teraz Dylan pyta:

– A co jest w torbie? Poluje pan na zwierzęta?

– To tylko mój kostium. Czarodziejska szata. I laska.

– Jak w *Harrym Potterze*. Ale fajnie.

Feliks bał się, że przyczepią się do laski, ale się nie przyczepili. Szczęście wciąż mu sprzyja.

Wszyscy są już w głównej sali, czekają na instrukcje. Anne-Marie w ogromnej fioletowej torbie na robótki przywiozła trzy boginie w nowych wełnianych strojach.

- Mogą być? – zwraca się do Feliksa, ten pyta członków obsady:
- Jaki jest wasz werdykt?

Unosi Iris, którą ubrano w tęczową suknię z długich warkoczy z wełny z mnóstwem paciorków. Twarz pomalowano jej na pomarańczowo, a głowę przybrano kłębami waty.

– Wow, to się nazywa pstrokate ladaco! – stwierdza Leggs ku ogólnemu rozbawieniu.

– Rozumiem, że to znaczy „tak” – mówi Feliks. Następna jest Ceres w sukience z liści winogron i pękatym stroiku z – jak się domyśla – wełnianych jabłek i gruszek. Zielona twarz, na czole naklejka z pszczołą.

– Widziałem kiedyś taką striptizerkę – znowu wyrывa się Leggs i znów słyszeć śmiechy, ktoś ryczy: „zdejmij to!”

– A oto Junona, patronka małżeństw – przedstawia Feliks. Junona jest ubrana w zrobiony na drutach strój pielęgniarzki, w rękę trzyma włóczkową fiolkę z krwią. Na twarzy domalowano jej lwią zmarszczkę, z ust wystają małe kły. Ma też naszyjnik z czaszek.

Tym razem reakcja aktorów jest już mniej przychylna.

– Niech mnie żaby, wygląda jak moja żona – odzywa się Tasak. Pomruki zgody.

– Poczwarą! – wyrokuje Leggs.

– Do poprawki – dodaje Wężowe Oko.

– Chyba ty, głąbie – rzuca Anne-Marie. – Jak ci się nie podoba, to sam se zrób boginię. I gówno dostaniesz, nie ciastka.

Rechotanie.

– Ona przeklina! – woła Leggs. – Tracisz punkty!

– Ja nie zbieram punktów, możesz je sobie wsadzić.

Wszyscy się śmieją.

– Wystarczy, spokój! – zarządza Feliks. – Lalkarze idą ćwiczyć w swojej sali. Kaliban i Mroczne Stwory, nagramy wasz numer jeszcze raz, może uda się zrobić lepsze ujęcia. Ale najpierw akt pierwszy, scena druga, moja rozmowa z Arielem. Nagramy ją teraz.

Ośmioręki jest już w przebraniu i ma niebieską twarz. Obciąga przeciwdeszczowy płaszcz, poprawia czepek z gumowymi łuskami, nasuwa gogle na oczy, wkłada niebieskie rękawiczki. Odgrywają scenę w jednym kawałku, zaczynając od „Chwała ci, wielki mistrzu”. Ośmioręki nie myli się ani razu, ale widać, że się denerwuje.

– Możemy to powtórzyć? – prosi. – Ciągłe słyszałem jakieś dziwne zakłócenia. Jakby ktoś mówił moje kwestie razem ze mną. Rozpraszało mnie to. Może jest problem z mikrofonem.

Feliksowi aż serce podskoczyło: to jego Miranda sufleruje!

– Jaki to był głos? Męski czy kobiecy?

– Po prostu głos. Pewnie mój. Sprawdzę mikrofon.

– Tak, sprawdź. Chociaż aktorzy słyszą nieraz swój głos, kiedy się stresują. Odpręż się, oddychaj głęboko. Nakręcimy jeszcze raz.

Do Mirandy mówi półszepem:

– Nie za głośno. I tylko jeśli się zatnie.

– Co? – pyta Ośmioręki. – Mam mówić ciszej?

– Nie, nie, przepraszam. Mówiłem do siebie.

Łaskawa Fortuna, dziś mi przychylna^[52]

Czwartek, 7 marca 2013 roku



Zegar tyka nieubłaganie. Planety zbliżają się do siebie.

Z papieru, za pomocą bezpiecznych nożyczek dla dzieci, wycięto palmy i kaktusy. Plastikowa łódź i jacht, uprzednio zmaltretowane i podtopione, wypłynęły na morze z prysznicowej zasłony. Aktorzy śpiewają piosenki, przerabiają je, znów śpiewają, po drodze wymieniając złośliwości na temat swoich głosów.

Korytarze rozbrzmiewają rapem i tupotem. U tancerzy zdarzają się drobne kontuzje dawno nieużywanych mięśni. Kryzysy wiary w siebie zostają przewyciężone, animozje wybuchają i gasną. Felix raz przeklina chwilę, w której porwał się na to szalone przedsięwzięcie, innym razem gratuluje sobie trafnej intuicji. Jego duch to upada, to wzbija się, to znów pikuje.

Ot, życie.

Sfilmowali już prawie całą sztukę. Zostało kilka scen, potem jeszcze montaż, dodatkowe efekty i być może jakieś powtórne ujęcia lub podkładanie głosów, tam gdzie to konieczne. Trzy boginie na ekranie

prezentują się fenomenalnie, a ubrani na czarno lalkarze tworzą dodatkowy wymiar: jest oczywiste, że boginie są tylko zjawami, odgrywającymi role, jakie ktoś im wyznaczył. P-Pod skomponował dla nich tło muzyczne: upiorne gwizdy połączone z dźwiękami dzwonów i fletów. Przy ich zniknięciu Ośmioręki zastosował efekt zwielokrotnienia: obraz dwoi się i troi oraz spowalnia, przez co ma się wrażenie, że boginie rozplývają się w powietrzu. Całkiem udany zabieg: Felix gratuluje Ośmiorękiemu.

Do godziny zero został niespełna tydzień. Gdyby chodziło o zwykłą premierę, byłby zrelaksowany – mają sporo czasu na ostatnie szlify – ale ponieważ to nie jest zwykła premiera, Felix musi jeszcze zadbać o kilka spraw.

Ponownie wybrał się pociągiem do Toronto. Potrzebował kostiumów dla pijanego podczaszego Stefana i błazna Trynkula: dla tego pierwszego sfatygowany smoking, dla drugiego czerwone kalesony i melonik, dla obu biała farba do twarzy. Czerwone kalesony zdobył w outlecie odzieżowym, smoking – w sklepie charytatywnym. Nakupił też czapek-Godzilli dla Mrocznych Stworów.

Po załatwieniu tych sprawunków spotkał się w cichym narożniku dworca Union Station z czterdziestolatkiem w okularach, najpewniej Koreańczykiem. Trochę ryzykował – mężczyzna mógł być przecież śledzony – ale wśród tłumy podróżnych nie rzucali się w oczy. Spotkanie zaaranżował Ośmioręki: wręczył Felixowi pendrive z nagraniem, w którym zapewniał tamtego, że obie strony transakcji mogą sobie ufać jak brat bratu.

W zamian za odliczoną sumę pieniędzy Felix otrzymał opakowanie żelatynowych kapsułek, paczuszkę z proszkiem, igłę lekarską i garść precyzyjnych wskazówek.

– Uważaj, żeby nie przesadzić – powiedział z naciskiem mężczyzna – bo można kogoś niechcący zabić albo zryć mu beret. Te kapsułki usypiają. Otwierasz, wyciskasz zawartość do szklanki, polecam oranżadę imbirową, łatwo się rozpuszcza. Delikwent od razu odpływa, wystarczy kilka łyków. Działanie jest krótkotrwałe, trzeba liczyć koło dziesięciu minut. Wystarczy?

– Przekonamy się.

– A to drugie, to gwiazdny pył. Ćwierć łyżeczki proszku w łyżeczce wody. Byle nie przesadzić z dawką.

– Będę uważał – rzekł Felix. – Jak dokładnie to działa?

– Się okaże – odparł tamten z uśmiechem. – Ale jazda będzie konkretna.

– Czy to może trwale zaszkodzić? – Felix trochę się niepokoił: a jeśli zostanie zatrzymany i znajdą przy nim to świństwo? Co to w ogóle jest? Czy igra z ogniem? Tak, ale to samo można było powiedzieć o całym jego przedsięwzięciu.

– Jeżeli coś się stanie, tego spotkania w ogóle nie było – oznajmił mężczyzna cicho, lecz przekonująco.

Dzisiaj Felix pracuje w domu. Po śniadaniu (jajko na twardo) włącza komputer, by jak co dzień sprawdzić, gdzie tym razem bawią Tony i Sal ze swoim dworem, w jakiej małej miejscowości rozdają łaski, zgarniają darowizny, skrzętnie notują nazwiska podżegaczy i myślących inaczej. Na ścianie wisi mapa z mnóstwem czerwonych pinezek znaczących ich trasę. Przyjemnie jest patrzeć, jak wrogowie podchodzą coraz bliżej, niczym wciągani przez wir. Jego wir.

Przedtem jednak zagląda do skrzynki mailowej. Nadal korzysta z dwóch kont: jedno, na nazwisko Felix Phillips, służy mu do celów podatkowych i tym podobnych, drugie należy do F. Duke'a. To drugie podał administracji więzienia jako adres do kontaktu w nagłych sytuacjach – nie żeby takie się zdarzały. Podał je również Estelle, choć ta zna jego prawdziwe nazwisko.

A Estelle pisze do niego regularnie. Nazywa ją swoją łaskawą Fortuną. Ona uwielbia takie komplementy: lubi czuć się naprawdę potrzebna jemu i całemu programowi. Ta zakulisowa rola sprawia jej ogromną frajdę.

Dzisiaj napisała: „Musimy się pilnie spotkać. Coś ważnego. Lunch?”
„Z przyjemnością”, odpisuje Felix.

Spotykają się tam gdzie zawsze, w restauracji Zenit w Wilmot. Estelle jeszcze bardziej niż zwykle zrobiła się dla niego na bóstwo; chociaż dlaczego właściwie uznał, że to dla niego? Może robi się na bóstwo codziennie. Jej włosy i paznokcie lśnią złotem; w uszach ma kolczyki w kształcie kuli ziemskiej, wściekle różowe, wysadzone strasami, podobne do małych kul dyskotekowych. Ubrana jest w równie różowy kostium, z apaszką Hermès drukowaną w konie wyścigowe i karty do gry, spiętą złotą szpilką w kształcie rogu obfitości. Chyba troszkę przesadziła z tuszem do rzęs. Felix podsuwa jej krzesło.

– To co? – pyta. – Martini?

Zaczynanie od martini stało się ich zwyczajem. Estelle lubi posmak luksusu.

– Och, nie kuś mnie, hultaju! – odpowiada szelmowsko.

– Uwielbiam cię kusić – ochoczo podchwytuje Felix. – A ty uwielbiasz być kuszona. Jakie masz wieści?

Estelle pochyla się konspiracyjnie. Jej perfumy roztaczają w powietrzu zapach kwiatów i owoców. Kładzie mu prawą rękę na przegubie dłoni.

– Nie chcę ci psuć humoru – mówi.

– Ojej. To coś złego?

– Moje źródła w rządzie donoszą, że minister dziedzictwa Price i minister sprawiedliwości O’Nally wstrzymają finansowanie naszego programu we Fletcher. Odbili w tej sprawie rozmowę i podjęli wspólną decyzję. W oficjalnym komunikacie nazwą ten program luksusem, marnotrawieniem pieniędzy podatników, fanaberią lewicowych elit i nagradzaniem przestępców.

– Rozumiem. Ostro. Ale mimo to przyjadą do Fletcher? Na tegoroczny spektakl? Tak jak obiecali?

– Oczywiście. Zamierzają oświadczyć, że przyjrzeni się temu z bliska, wolni od jakichkolwiek uprzedzeń, lecz ostatecznie doszli do wniosku, że można te pieniądze wydać znacznie lepiej. Poza tym sama wizyta zostanie dobrze odebrana. Pokażą, że troszczą się o pracowników służby więziennej i... no i chcą sobie zrobić zdjęcie.

– Doskonale – cieszy się Felix. – Grunt, że przyjadą.

– Nie jesteś rozczarowany? Likwidacją programu?

W rzeczy samej Felix jest zachwycony. To będzie świetny argument zagrzewający do czynu. Niech no tylko gnomy się zwiedzą, że ich trupa ma zostać rozwiązana! Od razu wzrosnie im motywacja.

– Bo ja jestem wściekła – dodaje Estelle. – Włożyliśmy tyle pracy!

– Może jeszcze nie wszystko stracone – mówi ostrożnie Felix. – Ale będę potrzebował twojej pomocy.

– Wiesz, że spełnię każdą twoją prośbę. A przynajmniej się postaram.

– Kto dokładnie przyjedzie? Poza nimi dwoma? Wiesz już?

– Miałam nadzieję, że zapytasz. – Estelle sięga do sztywnej torebki ze srebrnej lamy. – Tak się składa, że mam przy sobie listę gości. Nie powinnam jej mieć, ale na szczęście pewna osoba była mi winna przysługę. Tylko cicho sza! – Puszczą do niego oko, tak chytrze, jak pozwalają na to gęste rzęsy.

Felix nie pyta, za co ta przysługa: dopóki on sam pławi się w blasku jej życzliwości, wszystko jest okej. Przebiega chciwym wzrokiem po liście. Jest Sal O’Nally. Jest Tony Price. A nawet, proszę, proszę, stary Lonnie Gordon, który nadal prezesuje festiwalowi w Makeshiweg, a ponadto prowadzi firmę konsultingową i zawiaduje akcją zbierania funduszy dla partii w regionie.

– Widzę, że Sebert Stanley też się wkrcił. Nie szkoda mu fatygi?

– Plotka głosi – właściwie to więcej niż plotka – że chce się ubiegać o szefostwo partii. Na konwencji w czerwcu. Ma pewny rodowód i mnóstwo kasy.

– Sal też wystartuje – mówi Felix. – Zawsze był ambitny. Znam go ze szkoły, już wtedy był dupkiem. A więc rywalizują ze sobą?

– Podobno – potwierdza Estelle. – Choć o Sebercie w pewnych kręgach mówi się „ciepła klucha”. Panuje przekonanie, że nie ma, za przeproszeniem, jaj. – Śmieje się łobuzersko. – Z drugiej strony Sal O’Nally narobił sobie wrogów. Ma opinię człowieka, który traktuje ludzi instrumentalnie.

– Zauważyłem.

– A wielu z tych, na których się wypiął, ma przyjaciół w partii. Takie postępowanie nie przysparza mu sympatii. Tak że obaj mają pod górkę. Powiedziałabym, że idą łeb w łeb.

– A Spaczony Tony? Kogo poprze ten kombinator? – Bo przecież na pewno będzie próbował ugrać coś dla siebie. Ustawi się w roli jęczyczka u wagi, a potem wystawi rachunek zwycięzcy.

– Jeszcze nie wiadomo. Na razie ochoczo liże buty jednemu i drugiemu. Według moich źródeł.

– Jemu język nigdy nie wysycha – stwierdza Felix. Przesuwa palcem w dół strony. – Kim jest Frederick O’Nally? Jakiś krewny ministra?

– Jego syn. Wyrodny. Kończy studia w National Theatre School. Robi staż

w Makeshiweg. Sal mu to załatwił, nie potrafił mu odmówić. Chłopak marzy o pracy w teatrze, co według moich informatorów w ministerstwie jest dość zabawne, zważywszy, że jego ojciec gardzi sztuką. O’Nally nie może się z tym pogodzić.

– Chłopak myśli, że nadaje się na aktora? – pyta Felix z niedowierzaniem. Żałosne! Rozpieszczonemu szczeniakowi z gilami pod nosem wydaje się, że robi karierę na plecach tatusia. Pomyśli tylko życzenie i zaraz Błękitna Wróżka robi z niego prawdziwego aktora. Co z tego, że nie ma za grosz talentu.

– Chce zostać reżyserem – uściśla Estelle. – Bardzo mu zależało, żeby wzięli go ze sobą. Aha, widział wasze poprzednie przedstawienia... Wiem, że nie są przeznaczone do szerszego rozpowszechniania, ale pokazałam mu je w tajemnicy. Uważa, że są, cytuję, absolutnie genialne. Powiedział, że nasz program jest odważny, radykalnie nowatorski, że to świetny przykład teatru dla ludu.

Felix zaczyna o nim myśleć z pewną sympatią.

– Ale czy on wie, że ja to ja? To znaczy, nie powiedziałaś mu, że jestem, no, Feliksem Phillipsem? – Miał na końcu języka „tym słynnym Feliksem Phillipsem”, ale chyba już nie zasługuje na takie określenie.

Estelle uśmiecha się.

– Nikomu się nie wygadałam. Ani razu przez te wszystkie lata. Dochowałam tajemnicy, a nawet starałam się jeszcze bardziej cię kamuflować. Dla naszych znakomitych gości jesteś tylko starym nauczycielem-nieudacznikiem o nazwisku Duke. Tak cię opisałam i wszyscy gładko to łyknęli, no bo kto miałby prowadzić zajęcia teatralne w zakładzie karnym, jeżeli nie stary nieudacznik? Wypijesz ze mną jeszcze jedno martini?

– O tak! I weźmy smażone kalmary. Raz się żyje! – Ile to już drinków? Felix jest w szampańskim humorze: obecność syna Sala idealnie wpisze się w jego zamiary, a przynajmniej taką ma głęboką nadzieję. – Jesteś najlepsza, Estelle. – Dopiero teraz dociera do niego, że trzymają się za ręce. Czyżby był pijany? – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Możesz w dalszym ciągu na mnie liczyć – odpowiada. – Od ciebie wszystko się zaczęło, że się tak wyrażę. Do dziś pamiętam to świetne przedstawienie *Facetów i laleczek* w Makeshiweg sprzed ilu – piętnastu lat?

– Ono nie było za moich czasów. Ale grałem w tym raz, kiedy byłem młody.

– Wciąż jesteś młody – mówi półszepem. – Młody duchem.

– Ale ty jesteś młodsza. Młodsza niż wiosna. – Tak, jest pijany. – Pani Fortuna potrafi być miłą damą – dodaje i stukają się szklankami.

– Nawet bardzo miłą – odpowiada mu – dopóki nie zajdzie mi się za skórę. – Upija łyczek martini. Więcej niż łyczek. – Nie wiem, co knujesz, ale widzę to szelmowskie spojrzenie. Jeżeli chodzi o ratowanie projektu, masz moje pełne wsparcie.

Felix przemawia do goblinów

Środa, 13 marca 2013 roku



To już dziś. Felix stoi na skarpie. Wkrótce rozbłyszczą pioruny. Ale najpierw – odprawa przed bitwą.

W garderobie układa na sobie czarodziejską szatę z pluszaków. Nie do końca wygląda ona tak, jak to sobie kiedyś zamyślił, ale odrobina złotej farby w sprayu dobrze jej zrobiła. Chwyta laskę z lisią głową w lewą dłoń, po czym przekłada ją do prawej. Przegląda się w lustrze: nie jest źle. Przychylnie nastawionemu widzowi może przyjść na myśl słowo „dostojny”. Wygładza brodę, czochra włosy, poprawia szatę, na koniec sprawdza zęby: tkwią mocno na swoim miejscu.

– Trzy pstre przepióreczki – mówi do swojego odbicia.

Potem rusza w głąb korytarza, po drodze zaglądną do pokoju aktorów, by upewnić się, że winogrona są na swoim miejscu. Rano przed wyjściem z domu pieczołowicie nakławał jedno po drugim igłą i wstrzykiwał roztwór. Nie wzbudziły żadnych podejrzeń w trakcie kontroli, w końcu nie zawierają metalu. Podobnie jak tajemnicze kapsułki, schowane w plastikowym słoiczku z tabletkami przeciwbólowymi. Felix na wszelki wypadek wsuwa dłoń do ważniejszej z dwóch kieszeni. Wszystko w porządku.

W głównej sali zebrała się cała obsada. Anne-Marie w kostiumie Mirandy: odsłaniająca ramiona prosta, biała sukienka, białe stopy, papierowe róże i stokrotki we włosach. P-Pod, Tasak, TimEEz, Leggs i Czerwony Kojot przebrani za marynarzy, z podwiniętymi kominiarkami udającymi zwykłe czapki. Poza tym są na czarno, jak wszyscy.

Ośmioręki siedzi za parawanem skrywającym monitor, konsolę, centralny mikrofon i dwie pary słuchawek – jedną dla niego, drugą dla Feliksa.

Czuć napięcie znane Feliksowi z dziesiątek premier. Tancerze za kulisami z jedną nogą lekko wysuniętą do przodu. Skoczkowie na trampolinach, ugięte kolana, uniesione ramiona. Piłkarze przed gwizdkiem. Konie przed wystrzałem. Felix uśmiecha się pokrzepiająco.

– Już czas – zaczyna. – Bardziej gotowi nie będziemy. – Rozlegają się delikatne oklaski. – Przypominam – mówi dalej – że ci politycy chcą zniszczyć nasz program. – Ciche buczenie.

– Skandal – odzywa się Cienkopis.

– Tak – zgadza się Felix. – Ich zdaniem to strata czasu. Szkoda im czasu na a w a s. Nie zależy im na waszej edukacji, woła, żebyście wiedzieli jak najmniej. Nie interesuje ich świat wyobraźni, nie dostrzegają zbawczej mocy sztuki. I wreszcie rzecz najgorsza: uważają, że S z e k s p i r jest stratą czasu. Że niczego nie uczą.

– Podwójny skandal – wyrokuje Piguła, którego niepokoiły tajne instrukcje, jakich Felix udzielał im przez cały miniony tydzień. Zgłaszał do nich obiekcje – czy to, co zamierzają, nie jest aby niezgodne z prawem? – ale był w mniejszości, więc ustąpił. Mimo to Felix nie umieścił go wśród głównych gnomów: bał się, że Piguła straci zimną krew i czar pryśnie.

– Ale razem możemy to jeszcze odkręcić! Możemy pokrzyżować im plany. Damy im dzisiaj szereg doskonałych powodów do powtórnego namysłu. Udowodnimy, że teatr jest potężnym narzędziem edukacyjnym. Zgoda?

Szmer aprobaty, potakiwania.

– Tak jest! – woła Leggs! Niech ich wrzody i wszelkie robactwo!

– Błazny pstrokate zastanowią się dwa razy, zanim zrobią coś głupiego! – wtóruje mu P-Pod.

– Wchodzimy w to – deklaruje Czerwony Kojot. – Ciołki ciężko się zdziwią.

– Dziękuję – mówi Felix. – Dobra, wszystko gotowe. Najpierw przychodzą tu w eskorcie marynarzy, siadają, podajecie im napoje. Niebieskie i zielone kubki. Nie pomylcie kolorów! Zielone dla starego O’Nally’ego i dla Lonniego Gordona. Niebieskie dla Tony’ego Price’a i Seberta Stanleya. Dla wszystkich popcorn. Zapamiętajcie!

– W pucharze z pejzażem jest wino ze strychniną – odzywa się Cienkopis. Nikt nie rozumie, o co mu chodzi.

– Przezroczyte kubki są dla nas i dla Freddiego. Macie czarne rękawiczki? Świetnie. Słuchawki? Dobrze je schowajcie. Gdy tylko zgaśnie światło, wkładacie je do uszu, naciągacie kominiarki, wkładacie rękawiczki. Staniecie się praktycznie niewidzialni. Szukajcie znaków na podłodze, ukążą wam się,

jak tylko Ośmioręki włączy czarne światło. TimEEz, musisz im zdjąć przyciski alarmowe, to bardzo ważne.

– Nie bój się, wyspa pełna jest^[53] długich palców – odpowiada TimEEz.

– Wszystko musi się odbyć dokładnie tak, jak ćwicyliśmy. Ja i Ośmioręki będziemy za parawanem. Nasłuchujcie sygnałów od nas. Będziemy was słyszeli, w razie kłopotów przyślemy wam wsparcie. Hasło alarmowe: „Gnojne bagno”. Jasne?

Wszyscy kiwają głowami.

– Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stanie – mówi Cienkopis, który nie od razu dał się na to namówić: sam preferuje subtelniejsze metody.

– Nie spadnie im włos z głowy – zapewnia Felix. – Chyba że stawią opór. Ale nie stawiają. W razie czego P-Pod, Leggs i Czerwony Kojot ich spacyfikują. Mam na myśli mocny uścisk, a nie fangę w nos. Nie nadużywamy siły, choćby nie wiem jak bardzo was korciło. Dobrze?

– Tak jest – mówi P-Pod.

– Są sposoby – potwierdza Czerwony Kojot.

– Teraz miejsca – ciągnie Felix. – Za pół godziny garderoba nie będzie już garderobą: stanie się jaskinią Prospera. Cella z lat pięćdziesiątych – ta ze starszą ubikacją – zmieni się w miejsce niewolniczej pracy Ferdynanda, czyli trafi do niej młody O’Nally. Jego opiekunką będzie Anne-Marie: jest do tego dobrze przygotowana.

– Czy to na pewno etyczne? – zastanawia się na głos Anne-Marie. – Wiem, że masz rachunki do wyrównania, rozumiem to, ale młody O’Nally nic ci nie zrobił.

– Już o tym rozmawialiśmy – ucina Felix. – Nie stanie mu się żadna krzywda. Pamiętaj, że to między innymi jego ojciec nabruździł ci dwanaście lat temu. Palmy są już na miejscu, zgadza się?

– Tak jest – potwierdza Słodziak. – Syrena też. – Jest naburmuszony, nie podoba mu się, że Anne-Marie będzie w jednej celi z innym mężczyzną.

– W drugiej celi pokazowej, tej z lat dziewięćdziesiątych, prześpią się Alonzo i Gonzalo... przepraszam, O’Nally i Lonnie Gordon. To ta z kaktusami. Pamiętajcie, żeby umieścić właściwych ludzi we właściwych miejscach. Kiedy już wszyscy będą w głównej sali, tuż przed rozpoczęciem seansu Tasak ponakleja znaki na drzwiach w korytarzu: palmę, drzewo, kaktus.

P-Pod kiwa potakująco głową.

– Wszystko musi być idealnie zgrane w czasie – mówi dalej Felix. – Gnomy, liczymy na was: bez gnomów nic w tym spektaklu nie może się udać.

– Nie bekniemy za to? – pyta TimEEz. – Co ze strażnikami?

– Spokojnie, o niczym się nie dowiedzą. Grunt, że dostaliśmy zgodę na przyjęcie dygnitarzy w naszym skrzydle bez eskorty. Załatwiła nam to moja wpływowa znajoma. Kiedy my będziemy robić nasz interaktywny teatr z politykami, reszta więzienia będzie oglądać spektakl, niczego nie podejrzewając. Jeżeli usłyszą krzyki – a nie usłyszą – pomyślą, że to część przedstawienia.

– Kurwa, genialne – cieszy się Leggs. Nikt mu nie wypomina, że zaklął.

– Duża w tym zasługa Ariela – zaznacza Felix. – Ośmiorękiego. Świetnie się spisał. Podobnie jak wy wszyscy. – Zerka na zegarek. – A teraz do dzieła. Kurtyna idzie w górę. *Merde!*

– *Merde, merde, merde* – powtarzają jeden drugiemu. – *Merde, stary. Merde, ziom.* – Przybijają sobie żółwika.

– *Burza*, akt pierwszy, scena pierwsza – oznajmia Felix. – Od początku.

Dziś chwila nadeszła^[54]

Tego samego dnia



Gromadka gości pozuje do zdjęcia przed głównym wejściem, z nazwą więzienia w tle. Dwaj kandydaci do przywództwa partii szczerzą zęby, wypinają piersi, walczą o najlepsze miejsce w kadrze. Reszta tłoczy się wokół nich.

Minister sprawiedliwości, pan Sal O’Nally; minister dziedzictwa, pan Anthony Price; minister spraw weteranów, pan Sebert Stanley; oraz pan Lonnie Gordon z firmy Gordon Strategy, prezes zarządu Festiwalu Teatralnego w Makeshiweg. Towarzyszy im syn ministra O’Nally’ego, Frederick O’Nally.

Sal z roku na rok ma coraz bardziej wystający brzuch; Tony pręży się w idealnie dopasowanym garniturze, włosy przez lata nie zrzędyły mu ani trochę. Sebert Stanley zawsze wyglądał jak foka – mała głowa, znikome uszy, drobne oczka, gruszkowata sylwetka – i nic się nie zmieniło. Chłopak, Freddie O’Nally, jest całkiem przystojny, ciemne włosy, biały uśmiech, ale spogląda gdzieś w bok, jak gdyby nie odpowiadało mu towarzystwo, mimo że znajduje się tu jego ojciec.

Najdalej od środka stoi gromadka sługusów oraz kilku przedstawicieli

kierownictwa więzienia, którzy pewnie mają mokro w spodniach, bo nieczęsto trafia im się wizyta ministrów. W rzeczy samej zdarzyło się to po raz pierwszy.

Estelle stoi z tyłu, częściowo zasłonięta: powiedziała Feliksowi, że nie lubi przy takich okazjach rzucać się w oczy, obiecała jednak, że w razie potrzeby zajmie uwagę naczelnika i jego zastępców albo rozwieje ich obawy. Zsynchronizuje swój zegarek i zadba o to, by oba nagrania zostały odtworzone równocześnie.

- Będę smarem w twojej maszynie. Dopilnuję, żeby nic się nie zacięło.
- Jak ci się odwdzięczę? – zapytał.
- Pogadamy później – odparła z uśmiechem.

Otwierają się główne drzwi. Goście wchodzą. Drzwi się zamykają.

W sali projekcyjnej Felix zajmuje swoje miejsce za ekranem.

- Przełącz na mikrofon P-Poda – mówi, zakładając słuchawki.

Szmer rozmów. Ministrowie ze świtą przechodzą pojedynczo przez bramki, tak jak wszyscy, nie ma żadnych wyjątków, tłumaczą grzecznie Dylan i Madison. Słusznie, słusznie, odpowiada im głos Sala O’Nally’ego, cieszą się, chłopcy, że robicie, co do was należy, cha, cha.

Jest wesoło. Felix wie od Estelle, że szacowni goście przyjechali prosto z jakiegoś lokalnego rautu; z pewnością dobrze ich tam przyjęto i wypili kilka drinków. Jeszcze tylko krótka wizyta za kratami, u trutniów i społecznych wyrzutków, i pojedą dalej, im szybciej, tym lepiej, bo znów ma spaść śnieg. Istnieje nawet ryzyko zamieci. Pomniejsi urzędnicy, którzy mają na głowie takie sprawy, pewnie już teraz nerwowo zerkają na zegarki.

Sal jest odprężony. Obejrzą to żalosne przedstawienie czy cokolwiek to będzie przede wszystkim dlatego, że Freddie się uparł, a on, Sal, nie widzi świata poza synalkiem, choć wolałby, żeby został prawnikiem, a nie jakimś zbabiałym aktorem. Ale niech mu będzie, spełni jego zachciankę, a po powrocie do Ottawy ogłosi koniec tej drogiej imprezy, tego całego kółka teatralnego czy jak to się nazywa. Więzienia są po to, żeby odbywano w nich kary, a nie od kształcenia ludzi, których wykształcić się nie da, bo to wbrew ich naturze. Jak to się mówi – „natura czy kultura”? Jakoś tak. Czy to było w którejś sztuce? Musi o to zapytać Tony’ego, on będzie wiedział, robił kiedyś w teatrze.

Albo lepiej zapyta Freddiego. Młody będzie miał nietęgą minę, jak usłyszy, że ma do wyboru pójść na prawo albo na swój chleb. Może się to wydać okrutne, ale Sal chce dla niego jak najlepiej, a przecież chłopak zmarnuje się, studiując aktorstwo – to zawód bez perspektyw, a Sal skądinąd wie, że pod rządami Tony’ego aktorzy będą mieli jeszcze gorzej.

- Telefony komórkowe trzeba zostawić – informuje go Dylan. – Przykro mi. Przechowamy je, na pewno nie zginą.

- Och, doprawdy – zaczyna Sal. – Jestem ministrem s... – Napotyka jednak

spojrzenie Freddiego, który nie lubi, jak ojciec się wywyższa (to na co właściwie człowiekowi wysokie posady?), i oddaje telefon.

Tony ma głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Oto jest w towarzystwie Sala i Seberta, dwóch potencjalnych kandydatów do przywództwa, którzy liczą na jego poparcie. Sal uważa, że Tony ma wobec niego dług wdzięczności za pomoc w zrobieniu kariery. Objęcie schedy po Feliksie Phillipsie to był dopiero pierwszy krok: od tamtej pory Tony piął się w górę jak balon z helem. Od życia teatru do teatru życia, chciałoby się powiedzieć. Sal był jego drabiną. Tylko po co komu drabina, gdy już się jest na szczycie? O ile nie trzeba zejść, można ją odepchnąć. Naturalnie, że bardziej mu się opłaca poprzeć kandydata, któremu nie jest nic winien, a który będzie miał dług u Tony'ego. Jak zatem pozbyć się Sala i przechylić szalę na korzyść Seberta? I co potem?

Pozbawiony telefonu Sal wyraca kieszenie i oddaje jeszcze pilnik do paznokci oraz szwajcarski scyzoryk.

– Bezbronny jak niemowlę – mówi do strażników i wymieniają się szerokimi uśmiechami. Dylan przypina mu do paska przycisk alarmowy: nie żeby mógł się przydać, ale takie są przepisy, panie ministrze, wszyscy bez wyjątku dostają takie urządzenie.

Tony przechodzi przez skaner z żartobliwie uniesionymi rękami. Sebert poddaje się kontroli z kamienną twarzą, po drugiej stronie przygładza włosy na małej głowie. Lonnie wlecze się ze smutną miną, jakby nie mógł przeboleć, że na świecie istnieją więzienia, a w nich strażnicy ze skanerami. Freddie ma oczy jak spodki, czuje się nieswojo, dla niego to zupełnie inny świat, o którym do tej pory niewiele myślał.

Wszyscy są już po drugiej stronie i, jakby na znak, zza rogu wychodzi grupka ludzi przebranych za – hę?

Za piratów?

– Witajcie, panowie – zwraca się do nich idący na czele. – Witam was na pokładzie naszej pocziwej łajby *Burzy*. Ja jestem Bosman, a to moi żeglarze. Zabierzemy was na bezludną wyspę pośrodku morza. Jeśli usłyszycie dziwne odgłosy, nie bójcie się, wszystko jest częścią spektaklu. Będzie to teatr interaktywny i eksperymentalny, uprzedzamy was o tym zawczasu. – Uśmiecha się przymilnie. – Tędy proszę.

– Prowadź – mówi Sal. Kto wie, może to się okaże przyjemną rozrywką. Nie zapomina, że ci ludzie to osadzeni, ale naczelnik i strażnicy stoją nieopodal i się uśmiechają.

– Udanego seansu i do zobaczenia po – woła naczelnik. – My też będziemy oglądać, u siebie na górze.

– Miłych wrażeń – mówi Estelle jak-jej-tam, jej dziadek był senatorem, bywa na przyjęciach, chyba zasiada w jakichś komitetach czy gdzieś. Uśmiecha się i macha im, jakby naprawdę wypływali w morze. A zatem nie ma powodów do obaw. W ślad za Bosmanem Sal rusza korytarzem w lewo.

Tony i Seberty są tuż za nim, a krok za nimi – Lonnie i Freddie. Za Lonniem i Freddie idą trzej marynarze i rozrzucają – co to jest? – błyszczące niebieskie konfetti.

– Krople wody – wyjaśnia Bosman. – W końcu mamy sztorm, prawda?

– No tak – kiwa głową Sal. Co to ma być? Takie cyrki w więzieniu? Ci ludzie zbyt dobrze się tu bawią.

Z tyłu zamykają się drzwi, słysząc szcęk zamka. Całkiem zrozumiałe, myśli Sal. Względy bezpieczeństwa. Od razu czuje się pewniej.

Gdzieś w oddali rozlega się pomruk burzy.

– Tutaj, panowie – odzywa się Bosman i zaprasza ich do głównej sali.

– Dobra robota, P-Pod – szepcze Felix do mikrofonu. Ponownie sprawdza godzinę.

Z przodu pomieszczenia wisi duży ekran plazmowy. Ubrani na czarno żeglarze prowadzą gości do krzesel; teatralnymi gestami, chyląc się w ukłonach, wskazują im, gdzie mają usiąść. Czterej marynarze rozdają napoje w niebieskich i zielonych plastikowych kubkach oraz torebki z popcornem. Trzej ministrowie i Lonnie są w pierwszym rzędzie; za plecami mają cały rząd żeglarzy.

Felix patrzy na ekran i pośrodku drugiego rzędu dostrzega TimEEza, siedzi z przyklejonym do pyzatej twarzy nieobecny uśmiechem, z przyczajonymi w rękawach zwinnymi palcami, gotowy buchnąć przyciski alarmowe, gdy tylko zgaśnie światło.

Gdzie jest reszta delegacji? – zastanawia się Sal. Ach, tak, na górze, u naczelnika. Ta niczego sobie kobitka, Estelle, trochę krzykliwie się ubiera, ale na pewno jest dobrze ustosunkowana. Powinien ją kiedyś zaprosić na lunch. Opiera się plecami o oparcie krzesła. Czuje w głowie alkohol wypity podczas rautu.

– Niech już zaczną – mówi do Tony’ego i sprawdza godzinę. – Przynajmniej zostawili mi zegarek – dodaje z uśmiechem. Zanurza dłoń w torebce z popcornem: dużo soli, tak jak lubi. Pociąga kolejny tęgi łyk oranżady imbirowej z zielonego kubka. Suszy go w gardle. Dobry pomysł z tą oranżadą imbirową. Chociaż szkoda, że nie ma w niej alkoholu.

Freddie siedzi w trzecim rzędzie, obok Anne-Marie.

– Cześć – zagaduje. – Jestem Fred O’Nally. A ty pewnie Miranda? W przedstawieniu.

– Tak. Anne-Marie Greenland.

– Naprawdę? T a Anne-Marie? Tańczyłaś w Kidd Pivot?

– Owszem.

– Ale super! Oglądałem twoje nagranie chyba ze sto razy! Jako reżyser chcę robić teatr, w którym będzie więcej ruchu, krzyżować style...

– Jesteś reżyserem? Fajnie!

– Niezupełnie. To znaczy, jeszcze nic sam nie wystawiam. Dopiero się uczę. Ale jestem na dobrej drodze.

– W takim razie: za dobre drogi! – Anne-Marie unosi przezroczysty kubek. Freddie unosi swój. Zagląda głęboko w jej wielkie błękitne oczy.

– Fantastyczna sukienka. Ma idealny... – Patrzy się na jej nagie ramię.

– Dzięki. – Anne-Marie podciąga rękaw do góry, lecz nie zakrywa barku. – Sama ją zrobiłam.

Za parawanu z przodu sali dobiegają trzy głośne stuknięcia: to Felix uderza o podłogę laską z lisią głową. Palec wskazujący Ośmiorękiego zawisa nad przyciskiem PLAY. W blasku monitora jego chuda twarz nabiera szatańskiego wyglądu.

Felix rozgląda się niepewnie: gdzie jest jego Miranda? O, jest, migocze za lewym ramieniem Ośmiorękiego.

Chwila nadeszła, szepcze do niego.

34

Burza



Światła gasną. Widownia cichnie.

NA DUŻYM EKRANIE PLAZMOWYM: *Poszarpane litery na czarnym tle:*

BURZA
według Williama Shakespeare'a
z udziałem
Trupy Teatralnej Zakładu Karnego we Fletcher

NA EKRANIE: *Narrator w krótkiej fioletowej pelerynie, w jednej ręce trzyma gęsie pióro, w drugiej – sztywną kartkę z odręcznym napisem, którą unosi w stronę kamery.*

NAPIS NA KARTCE: NAGŁA BURZA

NARRATOR: Za chwilę na morzu rozpęta się sztorm:

Słychać wichru wściekłe wycie, marynarze klną obficie,
Drą się w głos pasażerowie, cali drżą o swoje zdrowie:
Będzie dużo mocnych wrażeń, wrzaski jak w sennym koszmarze,
Lecz co jest prawdą, a co ściemą?
Z tym was zostawiam.

Uśmiecha się.

Już mnie tu nie ma.

*Robi gest piórem. Cięcie. Błyskawica rozświetla ciężką burzową chmurę.
Urywki z kanału meteorologicznego. Zdjęcie morskich fal. Zdjęcie
deszczu. Odgłosy wichury.
Najazd kamery na jacht-zabawkę na tle rozfalowanej zasłony
prysznicowej w ryby, poruszanej od spodu przez niewidoczne dłonie.
Zbliżenie na bosmana w czarnej czapce. Spoza kadru chlusta w niego
woda. Jest do cna przemoknięty.*

BOSMAN: Żwawo, bo się roztrzaskamy!
Dalej, odwagi!
Postawić żagle!
Ruszać się, zuchy!
Nie dajmy tej burzy
się zanurzyć!

GŁOSY SPOZA KADRU: Utoniemy!

BOSMAN: Z drogi! Nie włączyć mi pod nogi!

Chlust! Strumień wody spoza kadru trafia go w twarz.

GŁOS SPOZA KADRU: Hola! Uważaj, co mówisz, draniu!
Masz tu przed sobą wielmożnych panów!

BOSMAN: Fale nie dbają o to wcale!

My tu z wichurą walczymy o życie,
A wy stoicie i się gapicie!

GŁOS SPOZA KADRU: Pijak!

BOSMAN: Kretyn!

GŁOS SPOZA KADRU: Już po nas!

GŁOS SPOZA KADRU: Rety!

Zbliżenie na Ariela w błękitnym czepku kąpielowym i opalizujących goglach narciarskich, z dolną połową twarzy pomalowaną na niebiesko. Ubrany jest w półprzezroczysty plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy w biedronki, pszczoły i motyle. Za jego lewym ramieniem widać dziwny cień. Ariel śmieje się bezgłośnie, unosi prawą dłoń w niebieskiej gumowej rękawiczce. Błysk, grzmot.

GŁOS SPOZA KADRU: Do modlitwy!

BOSMAN: Tonący chwytą się brzytwy.

GŁOSY SPOZA KADRU: Zaraz nas na dno pośle wichura!

Nie zobaczymy już naszego króla!

Skaczcie za burzę, płyńcie do brzegu!

Ariel odrzuca głowę do tyłu i śmieje się uradowany. W rękach trzyma dwie szybko migoczące latarki o dużej mocy. Ekran ciemnieje.

GŁOS Z WIDOWNI: Co jest?

INNY GŁOS: Wysiadło zasilanie.

INNY GŁOS: To pewnie burza śnieżna. Musiało zerwać linię.

Ciemno jak w grobie. Hałas na korytarzu. Krzyki. Wystrzały.

GŁOS Z WIDOWNI: Co się dzieje?

GŁOSY Z KORYTARZA: Alarm! Alarm!

GŁOS Z WIDOWNI: Kto tu dowodzi?

Trzy kolejne strzały.

GŁOS Z SALI: Nie ruszać się! Spokój! Wszyscy zostają na swoich miejscach!

Drogocenny, dziwny cud



Czyjaś dłoń spowita w czarną wełnę zakrywa Freddiemu oczy, ktoś naciąga mu kaptur na głowę i podnosi go z krzesła.

– Ej, co jest! – krzyczy. – Puszczaj!

– Wypadłeś za burtę! – odpowiada mu nieznajomy głos. – W piekle pusto, bo wszystkie diabły zbiegły na wasz statek!^[55]

– Bunt więźniów. – Słuchać głos Tony'ego. – Spokojnie. Nie prowokujcie ich. Wezwijcie pomoc przyciskiem. Zaraz...

– Jakim przyciskiem? – To mówi Sebert. – Mój zniknął!

– Chwila! Chwila! – wykrzykuje Freddie. – Puszczaj! Czemu mnie szczypiesz? Au! – Jego głos się oddala.

– Freddie! – woła za nim Sal. – Co wy robicie? To mój syn! Zabiję was! Zostawcie go!

– Cicho tam – odzywa się ktoś w ciemnościach. – Przestańcie drzeć mordy, do krwawej dżumy. Głowy na blat, ręce na kark. Już!

Słuchać otwarcie i zamknięcie drzwi.

– Porywają go! – krzyczy Sal. – Freddie!

Wystrzał.

– Zabili go – woła płacząco.

– Idziesz z nami – odzywa się ktoś. – Wstawaj. Prędko. Ty też.

Odgłosy szamotaniny.

– Nic nie widzę! – krzyczy spanikowany Sal.

– Zapłacicie za to – oznajmia chłodno Tony.

Głosy giną w narastającym ryku wiatru i fal. Potężny grzmot. Chaotyczne okrzyki:

– Ratunku! Pomocy! Zmiłuj się, Boże!

Freddie idzie chwiejnym krokiem po ciemku, z wykręconymi rękoma, pchany przez dwóch mężczyzn, po jednym z każdej strony.

– Popęlniacie błąd – mówi. – Możemy porozmawiać? Mój ojciec jest ministrem...

Czyjaś dłoń zakrywa mu usta pod kapturem.

– Tak, wiemy, kim jest twój ojciec. Ministrem sprawiedliwości. Niech go trująca rosa! Jest już sztywnym trupem.

– Martwym ścierwem.

– Właśnie. Już pozamiatane.

Freddie próbuje coś powiedzieć, ale go kneblują.

Słyszy odgłos otwieranych drzwi. Wpychają go do środka. Dwie ręce chwytają go za ramiona i sadzają.

Drzwi się zamykają. Czy jest w stanie zdjąć kaptur? Tak, ręce ma nieskrępowane. Odkrywa twarz.

Znajduje się w więziennej celi oświetlonej pojedynczą żarówką. Siedzi na pryczy, na gryzącym kocu z szarej wełny. Ściany zdobią domowej roboty tekturowe palmy, muszelki, kałamarnica. W kącie leży pudełko z klockami Lego. Jest też szkaradne malowidło przedstawiające morski brzeg z jakąś okropną syreną w pozie dziewczyny z rozkładówki. Ogromne piersi, zielone włosy podobne do wodorostów. Pod spodem napis: NIMFA MORSKA.

Co tu jest grane? Więźniowie się zbuntowali, zabili mu ojca, a jego trzymają jako zakładnika? W celi wypełnionej papierowymi palmami i klockami Lego?

Inna kwestia, która nie daje mu spokoju: czy się zsikał? Chyba jednak nie, stwierdza z ulgą. Dobrze, że jest tu ubikacja. Ledwie skończył opróżnić pęcherz, z małego głośniczka pod sufitem, obok dyszy gaśniczej, zaczyna się wydobywać muzyka. Śpiewają dwa głosy, a może trzy?

Sześć sążni, gdzie twój ojciec śpi,
Z kości koral wzrośnie w mig,
Oczy skrzepną w pereł łzy.
Tam nie ginie nigdy nikt,
Lecz się zmienia, czarem wód,
W drogocenny, dziwny cud.
Śpi, śpi, śpi, śpi,
Łzy, łzy, łzy łzy,
Dziwny, dziwny, dziwny cud...^[56]

Bębny, flety. O rety, myśli Freddie. Piosenka z *Burzy*. Czy to jakiś osobliwy żart? Zamierzają to puszczać na okrągło dzień i noc, aż postrada zmysły? Słyszał, że tak się robi, człowiek dostaje od tego fioła. Próbują go złamać? Ale po co?

Muzyka cichnie, otwierają się drzwi i do środka wchodzi Anne-Marie Greenland w swojej zmysłowej sukience Mirandy z odstłoniętym ramieniem. Woła go do kąta, pokazuje, żeby się nachylił, po czym szepcze mu do ucha:

– Przepraszam cię za to wszystko. Nic ci nie jest?

– Nie, ale...

– Cśś! Uwaga na podsłuch. Koło żarówki jest mikrofon. Słuchaj się mnie, a wszystko będzie dobrze.

– O co tu w ogóle chodzi? – pyta Freddie. – Czy to bunt? Gdzie mój ojciec? Zabili go?

– Nie wiem. Komuś tu odbiła szajba, i to zdrowo. Wydaje mu się, że jest Prosperem. Serio. Jesteś Ferdynandem w jego inscenizacji *Burzy*.

– Żartujesz, prawda? To jakieś chore...

– Cśś! Dla własnego dobra musisz się trzymać scenariusza. Przyniosłam ci twoje kwestie, są zaznaczone w tekście. Masz. Grunt, żebyś wygłosił monologi, najlepiej pod żarówką, żeby cię dobrze słyszał. Inaczej może mu odbić szajba. Jest mało zrównoważony.

– A jaka jest twoja rola? Jakie masz powody...

– Po prostu próbuję ci pomóc – przerywa mu.

– Co to w ogóle za gość? – dopytuje Freddie. – To znaczy, dzięki, tak czy siak. Mam nadzieję, że nie będziesz miała przeze mnie kłopotów.

– Nie więcej niż do tej pory – uspokaja go. – To szalenciec, w tej chwili tylko to się liczy. Nie wolno ci go rozczarować. Zaczynij tutaj.

Freddie czyta:

Pełza jak we śnie mój duch ociężały.
Utrata ojca, moja słabość, zguba
Wszystkich przyjaciół, groźby tego starca
(Który mną włada), lekkie się wydają,
Byłem mógł co dzień widzieć tę dziewczynę
Z mego więzienia. Niech wolność po świecie
Buja swobodnie, mnie takie więzienie
Starczy za cały świat.^[57]

– Nie najgorzej – stwierdza Anne-Marie. – Może z większym uczuciem? Udawaj, że się we mnie zakochujesz.

– A co jeśli naprawdę się w tobie zakochuję? O cudzie!

– Doskonale – chwali go. – Tak trzymaj.

– Nie, ja mówię serio. Masz chłopaka albo kogoś takiego?

Anne-Marie śmieje się cichutko.

– Próbujesz ustalić, czy jestem dziewczicą? Bo chyba o to pyta Ferdynand

w sztuce, prawda?

– Ale to nie jest sztuka. Więc masz czy nie?

– Nie – odpowiada, patrząc mu w oczy. – Nie mam.

– W takim razie czy miałabyś coś przeciwko, gdybym się w tobie zakochał?

– Chyba nie.

– Bo tak się właśnie czuję!

Freddie chwyta ją za ramiona.

– Uważaj – szepcze Anne-Marie. Zdejmuje z siebie jego dłonie. – Musimy wrócić do tekstu. – Przesuwa go bliżej żarówki, klaszcze w dłonie, przygląda mu się z wyrazem zachwyty, po czym przemawia głośno i wyraźnie:

– Nic szlachetniejszego nie znam w naturze!

– Głupia! – rozlega się z głośnika. – Wiedz, że wśród ludzi on jest Kalibanem!^[58]

– A nie mówiłam? – szepce Anne-Marie. – To wariat! A tak w ogóle, umiesz grać w szachy?

Istny labirynt^[59]



Minister sprawiedliwości O’Nally, minister dziedzictwa Price, minister spraw weteranów Stanley oraz Lonnie Gordon z Gordon Strategy są bezceremonialnie pędzeni wzdłuż czegoś na kształt korytarza. Nie widzą, dokąd idą: gęsty mrok tylko z rzadka rozjaśniają białe świecące znaki na podłodze.

Co to za ludzie, którzy ich prowadzą? Trudno powiedzieć: ubrani są od stóp do głów na czarno. Dookoła świszczy wiatr, huczą fale, dudnią pioruny, tak że nie słyszą własnych myśli. Co by mówili, Tony i reszta, gdyby dało się rozmawiać? Złorzeczyliby, błagali o litość, biadali nad swoim losem? Wszystkiego po trochu, stwierdza Felix, który słucha tego rumoru w słuchawkach.

Pochód skręca raz, drugi, trzeci. Czyżby zataczali koło?

Hałas burzy wzmagą się. Nagle ustaje.

Słyszą otwierane drzwi; przechodzą przez nie popychani. Tutaj też jest ciemno. Wreszcie u góry zapala się światło i ukazuje im się cela z dwoma piętrowymi łózkami. Na ścianach wiszą sylwetki kaktusów wycięte z szarego papieru.

Patrzą po sobie bladzi, wstrząśnięci.

– Przynajmniej żyjemy – zauważa Lonnie. – Dobrze i to!

– Ta. – Tony przewraca oczami.

Sebert Stanley naciska klamkę w drzwiach: zamknięte na klucz. Gładzi się

po małej głowie i wygląda przez zakratowane okienko wychodzące na korytarz.

– Ciemno tam.

– Słyszałem strzały. Zastrzelili Freddiego – mówi Sal. Siada ciężko na jednej z dolnych pryczy. – Słyszałem. Zabili go. Moje życie się skończyło! – Obejmuje się ramionami, kołysze tułowiem na boki.

– Nie wierzę, że to zrobili – pociesza go Lonnie. – Dlaczego mieliby go zabić?

– Bo to zwierzęta! – Sal prawie krzyczy. – Powinno się ich trzymać w klatkach! Powinni być martwi!

– A nie rozpieszczani zajęciami z literatury – dodaje swoim opanowanym głosem Tony. – Na przykład.

Lonnie się nie poddaje.

– Może strzelali do kogoś innego. Albo, ja wiem, po prostu sobie strzelali. Trzeba być dobrej myśli. Dopóki nie wiemy, co się stało.

– Niby czemu? – pyta Sal. – Dobrej myśli, łatwo powiedzieć! Straciłem Freddiego! Straciłem syna! – Chowa twarz w dłoniach. Wydaje stłumione odgłosy przypominające szloch.

– Co dalej? – Sebert cicho pyta Tony’ego.

– Czekamy – odpowiada tamten. – Nie bardzo mamy wybór.

– Wzięłyby się w garść. To żenujące – mówi Sebert. – Mam nadzieję, że odpowiednie służby zaraz się tu zjawią. – Opiera się o ścianę i ogląda swoje palce.

– Odpowiednie służby – powtarza Tony. Chodzi po celi, dziesięć kroków tam, dziesięć z powrotem. – Jeśli ten chłopak naprawdę zginął, polecą głowy.

– Niech się pan nie martwi, ministrze – mówi Lonnie do Sala. – Mogło być gorzej! Jesteśmy cali i zdrowi, w ciepłej celi...

– Będzie tak pieprzył godzinami – szepce Tony do Seberta. – Zanudzi nas na śmierć, jak zwykle.

– Gdybym miał zreformować system więziennictwa – ciągnie dalej Lonnie – spróbowałbym zapewnić osadzonym nie mniej, lecz więcej swobody. Mogliby urządzić głosowania w różnych sprawach, sami decydować o wielu rzeczach. Na przykład: układać jadłospisy. Zdobyliby w ten sposób przydatną umiejętność.

– Jasne – kpi Tony. – Przy pierwszej nadarzającej się okazji dodaliby trucizny do zupy.

– Błagam – mówi Sal. – W takiej chwili! Dość gadania!

– Chciałem tylko zająć pana rozmową na inny temat – tłumaczy się Lonnie z nutką żalu.

– Jestem zmęczony – mamrocze Sal. Wyciąga się na pryczy.

– Ciekawe – mówi Lonnie – mnie też chce się spać. Może odpocznę trochę, dopóki można. – Kładzie się na drugiej dolnej pryczy. Chwilę później obaj twardo śpią.

– Dziwne – zauważa Sebert. – Ja w ogóle nie jestem zmęczony.

– Ja też nie – mówi Tony. Przygląda się z bliska śpiącym. – Jak zabici. A skoro tak – zniża głos – powiedz mi, jak widzisz swoje szanse na zostanie nowym przewodniczącym?

– Sal prowadzi w sondażach – przyznaje Sebert. – Nie mam pomysłu, jak odrobić straty.

– Wiesz, że masz moje poparcie – mówi Tony.

– Tak, wiem. Dzięki.

– A jeśli Sal by nie startował, byłbyś murowanym faworytem, zgadza się?

– Zgadza się. Ale do czego zmierzasz?

– Kiedy mnie ktoś staje na drodze – wyjaśnia Tony – po prostu się go pozbywam. Tak otworzyłem sobie drzwi do kariery. Wykopałem Feliksa Phillipsa z festiwalu w Makeshiweg. To był pierwszy szczebel.

– Okej, rozumiem. Ale niby jak miałbym się pozbyć Sala? Na niego nie ma haków, żadnych skandalizujących plotek. Wierz mi, szukałem wszędzie. A już na pewno nie można mu niczego udowodnić. No i jeśli teraz potwierdzi się, że zabito mu syna – pomyśl, jak mu skoczy poparcie!

– Przypominam, że jesteśmy w więzieniu, w którym doszło do buntu.

– No i?

– Co się dzieje w takich sytuacjach? Gina ludzie. Nie zawsze w jasnych okolicznościach.

– Nie rozumiem... Czy sugerujesz... – Sebert bawi się małżowiną swojego drobnego ucha, kręci nią na wszystkie strony.

– Już tłumaczę – mówi Tony. – Kilkaset lat temu wykorzystalibyśmy ten chaos i pozbyli się Sala, a winę zwalili na zbuntowanych więźniów. Aha, no i musielibyśmy też pozbyć się Lonniego: żadnych świadków. Dziś możemy osiągnąć podwójny efekt za pomocą oszczerstwa.

– To znaczy?

– Czego oczekuje się od przywódcy? Przywództwa. Możemy opowiedzieć, niechętnie, ma się rozumieć, jak Sal w obliczu kryzysowej sytuacji zaczął się trząść jak galareta. Zanim zginął. Utopiony przez więźniów w muszli klozetowej. Srogi minister sprawiedliwości padł z ręki przestępców. Logiczne.

– Ale on się nie trząsał. Nie jak galareta. I nie utopili go.

– A jeśli tylko my przeżyjemy? – mówi Tony. – Kto się dowie, jak było?

– Nie mówisz serio, prawda? – pyta zaniepokojony Sebert.

– Rozważ to teoretycznie – odpowiada Tony, patrząc mu prosto w oczy. – Eksperyment myślowy.

– Okej, rozumiem. Eksperyment myślowy. No więc, teoretycznie, co z Lonniem? – Waha się. – Nie możemy tak po prostu...

– Teoretycznie Lonnie mógłby dostać zawału. Najwyższy czas. W naszym eksperymencie myślowym moglibyśmy użyć poduszki. Gdyby ustalono, że ktoś go udusił, zrzucilibyśmy winę na zbuntowanych więźniów. Przykra sprawa, ale czego innego się po nich spodziewać? Są impulsywni, nie panują nad swoim gniewem. Taka już ich natura.

– To bardzo rozbudowany eksperyment myślowy – zauważa Sebert.

– Wszystko się nagrało? – pyta Felix za parawanem w głównej sali. – Lepiej bym tego nie wymyślił! – Tony nic się nie zmienił. Pewnie od jakiegoś czasu rozważał zdradę, a teraz los podsunął mu okazję. Tu się może pociąć

krw.

- Każde słowo – potwierdza Ośmióręki. – Mamy dźwięk i obraz.
- Doskonale. A teraz pospieszmy się, zanim uduszą starego Lonniego poduszką. Zagraj pobudkę. Co wybrałeś? – W kwestii muzyki zdał się na Ośmiórękiego, tak jak Prospero na Ariela; dostarczył tylko wskazane przez niego empetrójki.
- Metallica. *Ride the Lightning*. Będzie naprawdę głośno.
- To mi łebski duszek!^[60]

- Boże! – woła Sal, poderwawszy się ze snu. – Co to za piekielny jazgot?
- Co się dzieje? – pyta Lonnie, trąc oczy.
- Słyszałem jakieś ryki – mówi Tony. – To chyba więźniowie. Przygotujcie się! Jak będą strzelać, zasłońcie się poduszką.
- Dziwnie się czuję – stwierdza Sal. – Jak na kacu. Nic nie słyszałem.
- Ja słyszałem tylko jakieś brzęczenie – mówi Lonnie.

Czary nie słabną^[61]

Drzwi się otwierają. Na korytarzu zapala się światło.

- Co teraz? – pyta Tony.
- To pułapka – mówi Sal.
- Lonnie ostrożnie podchodzi do drzwi, wychyla się przez próg.
- Nikogo nie ma.

- Teraz czas na bardziej uroczystą muzykę. – Felix zwraca się do Ośmiorękiego: – Niech rozbrzmiewa z pokoju aktorów. Czy miska z owocami, z winogronami, nadal tam jest?

- Powinna być. Sprawdzam. – Ośmioręki wpatruje się w ekran. – Tak, widzę ją.

- Brawo, gnomy. Mam nadzieję, że zapadnia działa jak należy.

- Sprawdziliśmy dwa razy. Do tej części wybrałem kawałek Leonarda Cohena – mówi Ośmioręki. – *Bird on the Wire*. W tempie zwolnionym o połowę. Sam nagrałem na keyboardzie.

- Bardzo słusznie – chwali go Felix.

- Użyłem wiolonczeli, a w tle jest coś à la theremin. To „łuu łuu”

- Podoba mi się „łuu łuu”. Nie mogę się doczekać. Puszczaj.

- Dochodzi z głębi korytarza – odzywa się Sebert.
- Czy to *Bird on the Wire*? – pyta Tony.
- Robią sobie z nas jaja.
- *I have tried in my way to be free* – powtarza Lonnie. – Może to wiadomość od kogoś, kto stara się nam pomóc? Ja bym poszedł i sprawdził. Lepsze to niż siedzenie tutaj.
- Czemu nie – mówi Sebert, skubiąc zębami palec wskazujący.
- Niech idą przodem – szepcze do niego Tony. – Wezmą na siebie kule.

- Wyszli – relacjonuje Ośmioreki. – Wszyscy czterej. Obraz z korytarza jest nie najlepszy, ale coś tam widać. Idą w stronę pokoju aktorów

- Mam wyrzuty sumienia, że Lonnie musi przez to przechodzić – przyznaje Felix – ale nie ma na to rady. Nie trzeba było się obracać w złym towarzystwie. Przyczepili mu ten malutki głośniczek?

- Tak, do kołnierza. Działa. Jak będziesz chciał go włączyć, przewiń w dół i wciśnij ENTER.

Na ekranie widać, jak czwórka gości zbliża się do drzwi pokoju aktorów. Po obu stronach wejścia przyklejono do ściany tekturowe sylwetki – tyranozaura i kosmity – w zapraszających pozach.

- Władają pięknie mową bezgłosną^[62] – mamrocze pod nosem Felix.

- Co to ma być, przedszkole? – dziwi się Sebert. – Najpierw palmy, a teraz to!

- Kto tu rządzi? – oburza się Sal. – Trzeba w tym więzieniu zaprowadzić nowe porządki! – Przykłada dłoń do czoła. – To dinozaur? Dziwnie się czuję. Chyba mam gorączkę.

Wszyscy jednak wchodzą do środka.

- Co to jest? – odzywa się Tony. – Wygląda jak pokój aktorów w teatrze! Jest nawet miska owoców! Ale same winogrona. Powinny być jeszcze krakersy i ser na talerzu.

- Jaka śliczna muzyka! – zachwyca się Lonnie. – Czy to z *Czarodziejskiego fletu*?

- Cokolwiek. Jestem głodny – oznajmia Sal, słaniając się na nogach.

- Można coś przekąsić, w sumie co nam szkodzi? – zauważa Sebert.

- Nie ruszaj winogron. – Słyszysz Lonnie koło ucha. Cichy męski głos, jakby znajomy.

- Co? Kto mówi? – Lonnie maca kołnierz i natrafia palcami na głośniczek. Staje z boku i patrzy, jak pozostali trzej zajadają.

- Jakoś dziwnie smakuje – stwierdza Sal. – Lepiej ich nie jedzmy.

- Przecież już zjedliśmy – mówi Sebert.

- Dziwnie się czuję – mamrocze Tony. – Muszę usiąść.

- Wystarczy im – mówi Felix. – Chyba zaczyna działać. Wiesz, co to było? To, co wstrzyknąłem?

- A różne takie – odpowiada Ośmioreki. – Oko traszki. Ketamina. Szałwia.

Grzybki. Supersprawa, pod warunkiem że proporcje są właściwe. Powinno ich sieknąć raz dwa. Działa szybko, ale krótko. Sam bym sobie chętnie strzelił.

– Dawaj grzmoty.

Słysząc huk, gaśnie światło, a gdy zapala się znowu, miski z winogronami już nie ma. Na ścianie pojawił się straszny cień: ogromny ptak na przemian rozkładający i składający skrzydła.

– Dobrze wygląda – komentuje Felix.

– Tak, świetne skrzydła pan wybrał.

Jakiś głos zaczyna śpiewać, nieco fałszywie:

Wy trzej grzesznicy!^[63]

Kto wasze grzechy zliczy?

Za wszystkie uczynki podłe

Spotka was kara: obłąd!

Feliksa nie było wam żal,

Wygналиście go w siną dal.

Sal stracił syna;

Co, smężna mina?

Wasz czyściec dopiero się zaczyna!

Jeżeli chcecie wyjść stąd pospołem,

Lepiej posypcie głowy popiołem.

Tak, do was mówię!

– Gdzie ono się podziało? – woła Tony. – To coś ze skrzydłami! Ten demon! Tam jest!

– Co ja zrobiłem? – Sal zaczyna szlochać. – Mogę już umrzeć, wszystko mi jedno! Słyszeliście! Zabili Freddiego i to moja wina! Kara za to, co zrobiliśmy Feliksowi!

– Otruli nas – mówi Sebert. – Gdzie jest moje ciało? Rozpuszczam się w powietrzu!

– Co w was wstąpiło? – pyta Lonnie.

– Straszny ten wierszyk, ale podziałał – mówi Felix. – Zwłaszcza po winogronach.

– Czad – stwierdza Ośmioręki. – Ale odlecieli! Muszę się dowiedzieć, co jeszcze było w tej mieszance.

– Zostawmy ich na chwilę i zajrzyjmy do Ferdynanda i Mirandy. Co tam u nich?

– Już przewijam – mówi Ośmioręki. – No więc tak: usypali stertę drewna

z klocków Lego, tak jak pan chciał. Wygłosili te cliwe mowy. A teraz grają w szachy. Ona mówi...

– Dobrze – potakuje Felix. – Wszystko zgodnie z tekstem. Bardzo ładnie wyglądają razem.

– Mówią prawie tak, jakby nie udawali – zauważa Ośmioręki. – Te wszystkie wyznania miłosne. Całkiem elegancko. Tylko obraz kiepski.

– Wystarczająco dobry – stwierdza Felix. – Wracajmy do pokoju aktorów.

Ani zmarszczki gniewu więcej^[64]

W pokoju aktorów sporo się dzieje.

Sal leży w kącie zwinięty w kłębek, trzymając się za kolana. Po twarzy spływają mu łzy; jest obrazem nieszczęścia. Zdaje się wchodzić w interakcję z podłogą.

– Ciemno tu, na dole, ciemno tu – powtarza. – Dlaczego tu jest tak ciemno? Muszę go poszukać tam, gdzie jest ciemno, muszę go odnaleźć!

Tony boksuje powietrze.

– Sio! Sio! – krzyczy. – Nie zbliżaj się do mnie!

Sebert jest przekonany, że obsiadły go insekty albo jakieś inne wielonożne formy życia.

– Zdejmijcie je ze mnie! – bełkocze. – Pająki!

Przytomny Lonnie zabarykadował się za stołem i stamtąd obserwuje przebieg wydarzeń.

* * *

– Grubo – stwierdza fachowo Ośmioręki. – Na pewno pan nie przesadził? Z tymi winogronami?

– Stosowałem się do zaleceń – odpowiada Felix. Chciał, żeby jego wrogowie cierpieli, i dopiął swego. Tylko czy cierpienie wywołane narkotykami w ogóle się liczy? I jakie będą skutki uboczne, i jak długo potrwać? – Ile minut do końca oficjalnego nagrania? – pyta. – Tego, które leci w celach i u naczelnika?

Ośmioręki sprawdza godzinę.

– Została mniej więcej jedna trzecia.

– Musimy przyspieszyć – oznajmia Felix. – Dawaj Stefana i Trynkula.

– Są gotowi.

Do pokoju aktorów wkraczają Czerwony Kojot i TimEEz w kostiumach i charakteryzacji. Twarze pomalowane na biało, usta jak u klaunów. Kojot ma na sobie zatęchły smoking ze sklepu charytatywnego, TimEEz – czerwone flanelowe kałesony i zawadiacko przekrzywiony melonik.

– Nie chciałbym ich zobaczyć na haju – mówi Ośmioręki.

– Nasi dygnitarze też woleliby tego nie widzieć.

Sal, Tony i Sebert wycofują się pod ściany, w ich oczach maluje się groza.

– Popatrz, co za potwory! – przemawia TimEEz. – A jaki rybi smród!

– Śmierdzą rybą – potakuje Czerwony Kojot. – Grubą rybą! Grubą i zepsutą.

– Moglibyśmy ich pokazywać w cyrku – proponuje TimEEz. – Bełkoczący szaleńcy. Ulicznicy. Narkomani. Męty społeczne. Tacy zawsze rozbawią.

– Ludzie zapłacą, żeby to obejrzeć – podchwytuje Czerwony Kojot. – „Minister sprawiedliwości na ostrym narkotykowym zjeździe”. Świetny nagłówek!

– Dawaj Mroczne Stwory – mówi Felix do Ośmiorękiego.

– Dobra.

Po chwili zjawia się Kaliban i dwie Mroczne Stwory, wszyscy z głowami Godzilli. Specjalnie na tę okazję napisali jeszcze jeden numer. Ośmioręki włącza akompaniament i pokój rozbrzmiewa beatami. Kaliban zaczyna melodeklamować:

Mówisz, że jestem wstrętnym potworem,

Ale kto tu jest naprawdę potworny?

Kradniesz i łżesz, złupiłeś już wielu,

Zawsze po trupach idziesz do celu.

Nazywasz mnie brudasem, nazywasz mnie odpadem,

nazywasz mnie przestępcą, zakałą, darmozjadem.

A sam jesteś krętaczem do potęgi,

kanciarzem, co fałszuje rachunkowe księgi,

pieniądze podatników lepią ci się do ręki.

Garnitur masz ładny, lecz wiemy, co ukradłeś!

Więc kto tu jest

Więc kto tu jest

Więc kto tu jest potworny?

Potwór! Wsadzimy cię do klatki.
Potwór! Pakuj lepiej manatki.
Potwór! Cały świat w końcu się dowie,
Jakim jesteś potworem!

Garnitur masz ładny, lecz wiemy, co ukradłeś!
My wiemy, my wiemy, my wiemy, co ukradłeś!

- Duchy! – wrzeszczy Tony.
- Jestem potworem! – zawodzi Sal. Chowa twarz w dłoniach.
- Co oni wiedzą? – pyta Sebert, tocząc dookoła szalonym wzrokiem. – Kto im powiedział? To były uzasadnione wydatki!
- Panowie, panowie! – apeluje Lonnie zza stołu. – Weźcie się w garść!

- Wiem, że to świnię i że chcą udupić nasz program, ale nie mogę na to patrzeć – mówi Ośmioręki. – To coś gorszego niż schiza, oni się zaraz posrają ze strachu.

- To część planu – odpowiada Felix. – Poza tym zasłużyli sobie.

- Nie żal ich panu? – pyta Ośmioręki.

Miranda do tej pory wisiła mu nad ramieniem, jak cień albo migoczący promyk, ale się nie odzywała, bo nie musiała niczego suflować. Teraz szepcze: Gdybym był człowiekiem, litość bym uczył^[65]. Taka z niej wrażliwa dziewczyna.

Czy Ośmioręki ją usłyszał? Nie, ale Felix owszem.

- Gdy ty, z powietrznych ulepiony cząstek, nad ich cierpieniem czujesz miłosierdzie, jakżebyś silniej nie czuł ich boleści?^[66]

- Znów gramy sztukę? – pyta Ośmioręki. – Mam powiedzieć: „Gdybym był człowiekiem, litość bym uczył”?

- Nie, nie. Tylko sobie mamrocę. Ale masz rację. Dość już odwetu. Ani zmarszczki więcej. Pora ich wyłowić. Wezwij gnomy.

Śpieszę po nich, panie^[67], szepcze Miranda. Czy mnie kochasz, mistrzu?^[68]

Wesoło się żyje, wesoło^[69]



Oddział ubranych na czarno gnomów eskortuje gości z powrotem do głównej sali, rozjaśnionej matowym, niebieskawym światłem. Nieco się już uspokoili: nie słychać szlochów, krzyków ani jęków. Cokolwiek było w winogronach, najwyraźniej przestało działać.

Zebrała się już cała obsada z wyjątkiem Anne-Marie, która wciąż przebywa w celi z Ferdynandem, oraz Ośmiorękiego, który obsługuje komputer za parawanem. Felix szykuje się do wejścia.

Widząc, że dygnitarzy usadzono grzecznie w przednim rzędzie, w otoczeniu gnomów, żeby nie przyszło im do głowy uciekać, Ośmioręki puszcza werble i fanfarę, wyłącza lampy, rzuca złocisty krąg światła i – ta-dam!

Felix wychodzi zza parawanu, teatralnie powiewając szatą z pluszaków. Unosi laskę z lisią głową, dając znak do puszczenia kolejnego utworu. Do tej sceny Ośmioręki wybrał *Somewhere Over the Rainbow*, grane powoli, w molowej tonacji, z dwoma saksofonami basowymi oraz wiolonczelą.

– Niech wzniosłe dźwięki, najlepsza pociecha skłębionych myśli, uleczą wasze umysły, bezradne wciąż, co w czaszkach się gotują^[70] – oznajmia z namaszczeniem. W sali robi się jasno. – Dziękuję ci, Lonnie, za twoją życzliwość. Ty jeden przed laty zachowałeś się wobec mnie przyzwoicie, czego nie da się powiedzieć o Salu, a już na pewno nie o Tonym.

Wszyscy czterej wpatrują się w niego, jakby oszalał albo jakby sami oszaleli.

- Felix Phillips? – odzywa się Sal. – Czy ja śnię? Skąd się tu wzięłeś?
- Ten sam – potwierdza Felix. – Choć tutaj jestem znany pod nazwiskiem Duke.
- Przepadłeś jak kamień w wodę – mówi Lonnie. – Myślałem, że nie żyjesz.
- Co tu się wyprawia? – pyta Sal. – Co zrobiłeś z Freddie? Jesteś prawdziwy?
- Dobre pytanie – odpowiada Felix. – Może jestem tylko mirażem stworzonym przez tę czarodziejską wyspę? Prędzej czy później na pewno dojdziecie, jak jest naprawdę. Witajcie, przyjaciele!
- Tony spogląda ponuro.
- To twoja robota – odzywa się wciąż nieco bełkotliwym głosem. – Ty i te twoje sztuczki, absurdalne popisy. Zawsze wiedziałem, że masz paranoję! Możesz się pożegnać ze swoim kółkiem teatralnym! – Milknie, próbując zrozumieć, skąd u niego ten beztroski ton. – Domyślam się, że dodałeś coś do tych winogron. To przestępstwo.
- Jeżeli Freddiemu coś się stało, gorzko tego pożałujesz – grozi Sal. – Oskarzę cię o...
- Nie sądzę – przerywa mu Felix. – Sal, jesteś ministrem sprawiedliwości, a więc domagam się sprawiedliwości. Po pierwsze, chcę odzyskać swoją dawną posadę przy festiwalu w Makeshiweg. Zwolniono mnie tylko po to, żeby Tony mógł zająć moje miejsce. To była wasza wspólna intryga.
- Zwariowałeś – rzuca Tony.
- To nie ma nic do rzeczy – ripostuje Felix. – Nieważne. To, czego przed chwilą doświadczyliście, nazywa się „zanurzeniem w sztuce”. Sal, po wyjściu stąd oznajmisz światu, że więźniowie z Fletcher zaprezentowali pomysłowy, interaktywny teatr, który bardzo ci zasmakował – o winogronach nie wspominając – i teraz, kiedy przekonałeś się o jego potencjale edukacyjnym, zamierzasz go bronić do upadłego. Tony jako minister dziedzictwa ogłosi, że finansowanie programu zostaje przedłużone o kolejnych pięć lat i że będą to kwoty hojniejsze niż dotychczas. Potem złoży dymisję. Niech powie, że chce poświęcić więcej czasu rodzinie. A Sebert wycofa się z rywalizacji o przywództwo w partii.
- Chyba ci padło na rozum! Dlaczego sądzisz, że...
- Bo mam wszystko nagrane – wcina się Felix. – To, jak Sal siedzi w kącie na ciężkim haju i miauczy, Sebert bredzi o tym, że jego ciało się rozpuszcza, a ty, ostro naszprycowany, krzyczysz coś do niewidzialnych demonów. Nie sądzę, byście chcieli, aby to nagranie zrobiło furorę w internecie, a tak się właśnie stanie, jeśli nie okażecie skruchy i nie postąpiacie zgodnie z moją wolą.
- To nie fair – protestuje Tony.
- Nazwijmy to wyrównywaniem szal. – Felix zniża głos i zwraca się wprost do Tony’ego: – Aha, nagrałem też arcyciekawą rozmowę, jaką odbyłeś z Sebertem, kiedy Sal i Lonnie spali. Można się z niej wiele nauczyć o lojalności.
- Każę przeszukać to miejsce, znajdziemy to nagranie, zniszczymy... – zaczyna Tony.

– Darmo strzępisz sobie język – oznajmia Felix. – Nagranie trafiło już do chmury. – To blef, bo na razie znajduje się tylko na pendrivie w jego kieszeni, ale przekonujący ton robi swoje i Tony mięknie.

– Czyli nie mamy wyboru – konstatuje.

– Tak bym to ujął – mówi Felix. – Sebert?

– Podkusiłeś nas do złego. Zostaliśmy wrobieni.

– Dałem wam czas i przestrzeń, a wy sami zrobiliście z niej użytek. – Felix zwraca się ponownie do Sala. – Poza tym chcę, żeby mój człowiek od efektów specjalnych otrzymał przedterminowe zwolnienie. Pod tymi warunkami jestem gotów zapomnieć o waszych winach.

Chwila ciszy.

– Zgoda – odzywa się Sal, który najbardziej skorzysta na takim układzie. Tony i Sebert milczą, lecz gdyby spojrzenia mogły zabijać, myśli Felix, to już dziesięć razy padłbym trupem.

– Dobrze – mówi – cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Nawiasem mówiąc, ta umowa, którą właśnie zawarliśmy, także została nagrana. Na wszelki wypadek.

– A więc – zabiera głos Lonnie – ten cały bunt więźniów... Czy to wszystko... To nie było... Czy to był teatr?

– I gdzie jest Freddie? – dopytuje się Sal. – Naprawdę nie żyje? Słyszałem, jak krzyczał. Słyszałem strzał!

– Współczuję – odpowiada Felix. – Sam straciłem córkę w czasie ostatniej burzy. To rana nieuleczalna^[71].

– Ale – mówi Lonnie – przecież to było co najmniej dwanaście lat temu...

– Chodź ze mną – zwraca się Felix do Sala, po czym bierze go pod ramię. – Chcę ci coś pokazać.

* * *

– Idą – szepcze Anne-Marie. – Felix i twój tata. Udawaj zdziwienie.

Siedzą z Freddiem po turecku na podłodze pośrodku celi, a między nimi leży szachownica.

– Za sekundę zajrzą tu przez okienko. Pamiętaj kwestie?

– Tak – odpowiada szeptem Freddie.

– Mój miły panie, szachrujesz! – mówi Anne-Marie swoim najbardziej czarującym tonem.

– Przenigdy, za żadne skarby, ukochana^[72].

Drzwi do celi gwałtownie się otwierają.

– Freddie! – woła Sal. – Ty żyjesz!

– Tato! Ty też!

– Bogu dzięki!

Rzucają się sobie w objęcia.

U Barda było więcej tekstu, myśli Felix, ale nawet nieźle to streścili.

Gdy okrzyki radości, uściski i poklepywania dobiegają końca, Freddie mówi:

– Tato, chciałbym ci przedstawić moją nową partnerkę, Anne-Marie Greenland. Tańczyła w Kidd Pivot, a tutaj grała Mirandę.

Anne-Marie wstała z podłogi; sukienka jeszcze głębiej odsłoniła jej ramię, papierowe kwiaty wiszą krzywo. Uśmiecha się łobuzersko i wyciąga przed siebie dłoń. Sal nie reaguje. Przygląda się jej spod zmrużonych powiek.

– Partnerkę? – pyta.

– Na scenie i w życiu – uściśla Freddie. – To znaczy, przynajmniej...

– Chwileczkę – wtrąca się ona. – Nie rozmawialiśmy o tym. Muszę się zastanowić!

– Kolacja dziś wieczorem?

– Czemu nie. – Anne-Marie poprawia rękaw. Trochę się nawet zarumieniła.

Felix zwraca się do Sala.

– Z prawdziwym uczuciem nie wygrasz. Zresztą to najlepsze możliwe zakończenie.

Pożegnawszy aktorów, dygnitarze pod eskortą przechodzą korytarzem przez automatycznie zamykane drzwi do głównego holu. Przyciski alarmowe, które zdjęto im z pasków, nie wiadomo kiedy wróciły na swoje miejsca.

Czeka ich jeszcze poczęstunek u naczelnika z udziałem innych szyszek, z obowiązkowymi zdjęciami. Będą kiełbaski na wykałaczkach, nie tak groźne jak winogrona; będą krakersy z twarożkiem; będzie też jakiś alkohol. No i Estelle, uważnie przysłuchująca się rozmowom. Od niej Felix dowie się potem, jak było.

Czy będą rozmawiać o tym, jak dokumentnie zostali zrobieni w balona? Nie będą, myśli Felix. Ani się zająkną o buncie więźniów, o dziwnych halucynacjach, o prawdziwym życiorysie Duke'a. Słowem, o niczym, co stawiałoby ich w złym świetle.

Naczelnik usłyszy za to wyrazy uznania dla wysokiego poziomu prezentowanego przez więzienną trupę teatralną. Otrzyma zapewnienie, że niebawem ogłoszona zostanie decyzja o kontynuacji programu i dodatkowych środkach. Będą uściski dłoni, toasty, wzajemne gratulacje.

Sal jako doświadczony polityk umie kłamać jak z nut. Tony i Sebert nabiorą wody w usta; ocalą w ten sposób swoją reputację, której nie skala żaden sensacyjny filmik z internetu, a co za tym idzie, zachowają szansę na zaczepienie się w zarządzie jakiejś spółki po odejściu z polityki. Kto wie, może nawet dochrapią się godności senatorskiej. W uznaniu zasług.

Freddie i Anne-Marie także udali się na poczęstunek, przedtem jednak Anne-Marie pocałowała Feliksa w zarośnięty policzek.

– Jesteś najlepszy – powiedziała. – Chciałabym, żebyś naprawdę był moim tatą.

– Świetnie się spisałaś.

– Dzięki, ale to także zasługa Freddiego. Od razu załapał, o co chodzi, naprawdę wczuł się w rolę.

Jej twarz jaśnieje szczęściem. Ach, młoda miłość, myśli rzewnie Felix. Nic tak dobrze nie robi na cerę.

Felix zostaje, żeby pomóc Ośmiorękiemu ze sprzętem. Trzeba pozbierać maleńkie mikrofony, pozdejmować głośniki, zdemontować światła. Wszystko zostanie spakowane i zwrócone do wypożyczalni.

Podczas gdy Felix sortuje sprzęt, Ośmioręki sprawdza jakość ostatniego nagrania, na którym Sal akceptuje warunki umowy. Może się ono jeszcze kiedyś przydać, bo nigdy nie wiadomo.

– Chyba odbieram w słuchawkach jakąś stację radiową – odzywa się. – Coś jakby śpiew.

– Śpiew? – pyta Felix.

– Słabo słyhać, ale... czekaj. Wiem. „Wesoło, wesoło”

– „Wesoło się żyje, wesoło, gdy drzewa zakwitną wkoło”?

To pewnie znowu Miranda, myśli Felix. Spryciula, nadaje przez słuchawki Ariela! Ale chyba troszkę się zgubiła w tekście.

– Ten fragment już odegraliśmy – mówi bardziej do niej niż do niego. – Jest na filmie. – Ostatecznie wykorzystali piosenkę Ariela w oryginalnym kształcie, zmienili tylko pierwszy wers, żeby pozbyć się ssania: „Pójdę z pszczołą nektar kraść”

– Nie. – Kręci głową Ośmioręki. – Co innego. „Wesoło, wesoło, wesoło, wesoło. Życie to jest sen”

Felix czuje ciarki na plecach.

– Śpiewałem jej to – szepcze sam do siebie. – Kiedy miała trzy latka.

Czyżby więc pamiętała? Że miała trzy latka? I że nie dożyła czterech? Jeśli tak, to...

– Co za zbieg okoliczności – mówi głośno. – Zastanawiałem się, czy nie umieścić tej piosenki w ekspozycji, ale zrezygnowałem. – Zmyśla teraz na poczekaniu. – Prospero mógłby to śpiewać małej Mirandzie w dziurawej łodzi. Bo gdy dziecko się boi, śpiewa mu się, żeby je uspokoić.

Śpiewa mu się, trzymając je za rozpalone dłonie i głaszcząc po czółku w sali szpitalnej, lecz mimo to ono powoli odchodzi, znika w mrocznej czeluści minionego czasu.

– Znam to. Pasowałoby – mówi Ośmioręki. – Panie Duke, jeszcze raz dziękuję, że załatwił mi pan wcześniejsze zwolnienie. Jest pan geniuszem.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Bez ciebie nie dałbym sobie rady z tym wszystkim. Słuchać jeszcze ten śpiew?

Ośmioręki nasłuchuje.

– Nie, już nie.

– Mogę na moment twoje słuchawki?

Ośmioręki podaje mu je. Felix wytęża słuch. Cisza, nikt nie śpiewa. Gdzie jest jego Miranda? Co próbuje mu przekazać?

* * *

Na dworze zmierzcha. Felix człapie w stronę samochodu. Zamieć już przeszła, musiała być łagodniejsza, niż się spodziewano: białe spłachetki śniegu tylko gdzieniegdzie marszczą powierzchnię asfaltu.

W ciszy zjeżdża w dół zbocza. Gdyby to była normalna premiera, aktorzy i reszta zespołu pojechaliby razem do jakiejś restauracji i tam mówiliby sobie miłe rzeczy w oczekiwaniu na pierwsze recenzje. Ale to nie była normalna premiera i dlatego Felix zje na kolację jajko, prawdopodobnie sam, chyba że Miranda postanowi dotrzymać mu towarzystwa. Pewnie siedzi gdzieś w samochodzie cicho jak myszka.

– W każdym razie udało mi się – mówi na głos Felix. – A już na pewno nie czuję się przegrany.

Skąd więc to uczucie rozczarowania?

Nad ślepą zemstę wyższe przebaczenie^[73], słyszy w myślach.

To Miranda. Jego suflerka.

V

TA MROCZNA STWORA

40

Ostatnie zadanie

Piątek, 15 marca 2013 roku



Wieczorem w przeddzień ostatnich zajęć Felix kupuje dwadzieścia paczek solonych chipsów ziemniaczanych Miss Vickie's. Z tyłu każdego opakowania, tuż pod zgrzewem, robi niewielkie nacięcie żyłką. Do każdego wsuwa jeden po drugim piętnaście papierosów. Najbardziej pożądaną marką jest Marlboro. Felix zwlekał z tym do ostatniej chwili, bo gdyby zrobił to z dużym wyprzedzeniem, papierosy smakowałyby chipsami i odwrotnie.

Potem zamyka otwór za pomocą ręcznej zgrzewarki. Nie brak mu wprawy, robi to co roku, po każdej sztuce wystawionej w zakładzie karnym we Fletcher.

Pakuje chipsy do dwóch wielkich toreb. Reszta w rękach losu.

Nazajutrz na więziennym parkingu spotyka Anne-Marie, która na specjalne życzenie reszty bierze udział w ostatnich zajęciach. To impreza pożegnalna wszystkich członków zespołu, a przecież, jak zauważył Leggs, Anne-Marie była jego częścią, więc dlaczego miałyby jej zabraknąć?

– Dzięki, że przyjechałaś – mówi Felix.

– No coś ty, nie przegapiłabym tego. Freddie chciał, żebym go wzięła ze sobą, ale powiedziałam, że nie tym razem. To jest impreza chłopaków.

A zatem Freddie wpadł po uszy, myśli Felix. Albo oboje wpadli. Uśmiecha się.

– Nie jest zazdrosny o Słodziaka? – pyta chytrze. – Te sceny były dość intensywne.

– W sensie, gorące? Zgoda, były. Ale Freddie ich nie widział, bo grał ze mną w szachy. Poza tym Słodziak dał już sobie spokój. Nie ma z tym problemu.

– Z czym nie ma problemu?

– Z tym, że to było tylko przedstawienie.

Chipsy bez trudu przeszły kontrolę bezpieczeństwa: komu by przyszło do głowy, że mogą zawierać kontrabandę? Pewnie Dylanowi i Madisonowi, ale nawet jeżeli coś podejrzewali, przymknęli oko. Może uznali, że aktorzy zasługują na jakąś nagrodę za cały swój trud.

– To było świetne, panie Duke! Ta *Burza* – mówi Dylan, wręczając Feliksowi przycisk alarmowy. – Nie sądziłem, że mi się spodoba, bo nie ma tam żadnych scen walki, ale naprawdę mnie wciągnęło.

– Wszystkich wciągnęło! – wtóruje mu Madison. – Nieźle zakręcona sztuka.

– Faktycznie nie było elfów – przyznaje Dylan. – A ten niebieski kosmita, czy co to było, albo ten rapujący potwór, obłędne! Pani Greenland też była super. Ta Miranda, rany, niezła z niej lalunia.

– Dzięki – odpowiada Anne-Marie nieco oschle.

– Co jest w torbie? – pyta Dylan.

– Nic ostrego. Ciasteczka czekoladowe dla chłopaków i kilka lalek, tych samych co kiedyś.

- Ciasteczka są bez dziwnych dodatków? – Uśmiecha się Dylan.
- Proszę, możecie spróbować.
- Anne-Marie częstuje ich.
- A te lalki co tu robią?
- To także ich impreza. Są częścią obsady. Widzieliście je na filmie.
- Aha. No dobra, cokolwiek. – Madison posyła Dylanowi znaczące spojrzenie: szurnięta artystka. – Tylko proszę o nich pamiętać. Nie chce pani chyba, żeby ktoś je wykorzystał.
- One potrafią się o siebie zatroszczyć – odpowiada Anne-Marie bez mrugnięcia okiem.
- Co ona kombinuje? – zastanawia się Felix.
- Jaką sztukę wystawi pan za rok, panie Duke? – pyta Dylan.
- Jeszcze nie wiem.
- Jaka by nie była, *merde!* – mówi Madison.

- Było znakomicie! – oznajmia Felix członkom zespołu. – Bezbłędnie! Lepiej się nie da! Świetny przykład siły teatru interaktywnego, wspaniała demonstracja praktycznego zastosowania sztuki scenicznej, no i – tu pozwala sobie na spontaniczny uśmiech – co najważniejsze, dzięki wszystkim tutaj obecnym, program „Przez literaturę do kultury” został potwierdzony na kolejnych pięć lat. Trupa teatralna z Fletcher nie przestanie istnieć.

Żywy aplauz, przybijanie piątek.

- Możecie być z siebie dumni – mówi dalej Felix. – Dzięki wam kolejna generacja młodych aktorów będzie mogła, tak jak wy, skorzystać z dobrodziejstw programu i zdobyć umiejętności związane z pracą w teatrze. Dodam jeszcze, że to była najlepsza *Burza*, jaką kiedykolwiek wystawiłem. – I zarazem jedyna, lecz o tym nie muszą wiedzieć. – Nie da się tego zrobić lepiej, dlatego nie zamierzam próbować. Pogratulowałem już z osobna wszystkim odtwórcom głównych ról, ale muszę podkreślić, że byliście wspaniali jako zespół. Każdy reżyser marzy o takich gnomach. Jeszcze raz brawa dla nas wszystkich!

Jeszcze więcej okrzyków i piątek.

- A teraz specjalne oklaski dla naszej dzielnej Mirandy, czyli pani Anne-Marie Greenland, która podjęła się tej roli mimo nietypowych okoliczności. Większość aktorek na jej miejscu pewnie by odmówiła. To naprawdę odważna dziewczyna!

Wyjątkowo gromkie wiwaty.

Leggs podnosi rękę, Felix skinieniem głowy udziela mu głosu.

- Chcę panu podziękować w imieniu wszystkich chłopaków. Jest pan najlepszy. To było... – Aż rumieni się pod piegami.

- Zajebiste! – kończy za niego Ośmioręki. Znów aplauz.

Felix lekko się kłania.

- To była przyjemność – mówi. – A teraz wasze ostatnie zadanie, stanowiące piętnaście procent oceny końcowej. Posłuchamy waszych prezentacji o dalszych losach bohaterów dramatu. I dopiero wtedy

zakończymy imprezą z chipsami i innymi przekąskami. Wszystko zgodnie z planem – dodaje znacząco, żeby wiedzieli, że udało mu się przemyścić papierosy. – Najpierw drużyna Ariela. – Gestem zaprasza Ośmiorękiego na środek, a sam zajmuje puste krzesło obok Anne-Marie.

Drużyna Ariela



Ośmioręki jest stremowany. Przeszępuje z nogi na nogę, pochrząkuje. Wygląda jeszcze młodziej niż zwykle.

– Oto raport drużyny Ariela – zaczyna – czyli mój, Słodziaka, Tasaka, P-Poda i Wytrycha. Przygotowaliśmy go razem. Każdy dorzucił coś od siebie. Chłopaki, jesteście ekstra – mówi do swoich. – Mieliśmy się zastanowić, co się stanie z naszym bohaterem po zakończeniu sztuki. Czyli z Arielem. Wiem, że na początku wszyscy się zgodzili, że to przybysz z kosmosu, ale zmieniliśmy zdanie. Tak jak powiedział pan Duke, to jest sztuka o zmienianiu zdania. Prospero zmienia zdanie pod wpływem Ariela, wybiera przebaczenie zamiast zemsty, bo mimo wszystko jest mu żal tamtych, bo dość się nacierpieli, więc to chyba nic złego, że zmieniamy zdanie, co nie?

Rozgląda się po sali. Reszta potakuje, parę osób trzyma w górze uniesione kciuki.

– Super. No więc doszliśmy do wniosku, że on nie jest kosmitą. Gdyby był kosmitą, musiałyby po niego przylecieć statek i nie wiem, wciągnąć go promieniem na pokład jak w *Star Treku*. Tak że wymyśliliśmy coś innego. Ariel jest hologramem. Dlatego tak szybko się porusza, znika, rozdwaja się i tak dalej. To ma sens, nie? – Uśmiecha się. – Wiecie, co to jest hologram, czy mam wam wyjaśnić?

– Pokróćce – prosi Felix.

– To jak obraz trójwymiarowy, tylko że nie potrzeba okularów. Ale skoro

jest tylko obrazem, to skąd się wziął? Z głowy Prospera? Chyba nie, bo gdyby tak było, to kiedy Prospero mówi: „żegnaj, Arielu”, Ariel po prostu by zniknął. Odwalił kitę. A to nie byłoby w porządku, po tym wszystkim, co zrobił dla Prospera, nie? Więc poczytaliśmy trochę o żywiołakach, dziękujemy panu za teksty, panie Duke, i wyszło nam, że Ariel jest hologramową projekcją zjawisk atmosferycznych. No bo: jest duchem powietrznym, potrafi zapanować nad wodą i ogniem, więc to są jego klimaty. Na pewno widzieliście na Weather Network wiry pyłowe i trąby wodne, słyszeliście o tym, jak w chmurach powstaje prąd elektryczny – właśnie stąd bierze się ta energia, której Ariel używa do wykonywania różnych zadań. Bo potrzebuje do tego mnóstwo energii, zwłaszcza do błyskawic. Tak że na końcu po Ariela nie przylatuje żaden statek kosmiczny, nie bimba sobie w kwiatkach gdzieś w odległej galaktyce. Może robi sobie krótkie wczasy w pierwiosnkach, w końcu zasłużył, nie? Ale potem zostaje na Ziemi, wyrusza na kolejną misję: będzie walczył ze zmianami klimatycznymi. Coś jak Storm w *X-Menach*, tylko nie ma białych oczu, no i nie jest dziewczyną. Cieszy się, że może wziąć w tym udział, bo chce pomóc, zawsze lubił pomagać, po prostu nie lubił, jak mu się ciągle mówiło, co ma robić, chciał mieć jakiś własny projekt, bo ma więcej rozumu i uczuć, niż Prospero sądził; tak jest zresztą napisane w sztuce. Uważamy, że nasz pomysł ma dużo sensu. Podpisano: Ośmioręki, Słodziak, P-Pod, Tasak i Wytrych.

Ośmioręki czeka spięty. Słuchacze kiwają aprobowująco głowami, podnosi się szmer.

– Nadzwyczajne! – zabiera głos Felix. – Bardzo oryginalne! Żałuję, że sam na to nie wpadłem – oznajmia i nie ma w tym wielkiej przesady. Mniejsza o to, że za czasów Szekspira nikt nie słyszał o zmianach klimatycznych: Felix poprosił ich o swobodne interpretacje i taką otrzymał. – Czy ktoś ma jakieś uwagi? – Nikt się nie zgłasza; to ostatni dzień kursu, wszyscy są w dobrym humorze. – W takim razie dostajecie maksymalną ocenę.

Twarze członków drużyny Ariela jaśnieją w uśmiechach. Ośmioręki wraca na swoje miejsce, jego towarzysze poklepują go po ramionach.

– Teraz drużyna Antonia – ogłasza Felix. – Posłuchajmy, co się dalej dzieło ze złym bratem.

Drużyna Antonia



Wężowe Oko wychodzi pewnie na środek sali; wygląda, jakby miał na sobie płaszcz z wywiniętym kołnierzem i nasuniętą na czoło fedorę. (Obrazka dopełnia niewidzialna spluwa gdzieś za pazuchą). Zadziera podbródek, ściąga brwi, unosi kącik ust. Czyżby jeszcze nie wyszedł z roli? Trudno powiedzieć. We wszystkich dotychczasowych przedstawieniach był łotrem, nieraz ocierając się o przesadę. Balansuje na granicy komedii, ale nigdy jej nie przekracza. Jest ciemnym odbiciem wszystkich obecnych na sali, co czyni go trochę strasznym. Zapada cisza.

– Okej, drużyna Antonia to ja, oczywiście – zaczyna – plus król Alonzo, to znaczy Krampus, i Piguła, czyli Sebastian, no i VaMoose, mój dubler, który nauczył się roli lepiej ode mnie. Wszyscy oni dobrze poznali Antonia i dlatego domyślają się, co robi na statku do Neapolu. Ja to przeczytam, ale pisaliśmy to razem. Phil, dzięki za pomoc z ortografią, chociaż muszę powiedzieć, że masz kijowy charakter pisma, jak lekarz, ledwie odczytałem.

Napięcie opada, współwięźniowie się śmieją.

– No to zaczynamy. Raport drużyny Antonia. Przede wszystkim Antonio to największy łajdak w całej sztuce. Wszystko, co robi, jest złe. Zawsze myśli tylko o sobie. Nawet jak planuje zamordować Alonza i Gonzala, żeby Sebastian został królem, nie chodzi mu wcale o Sebastiana, po prostu dogadał się, że Mediolan, czyli on, Antonio, nie będzie musiał płacić żadnej tej, no, daniny, czyli podatków. Czyli coś jak uchylanie się od obowiązku

podatkowego, tylko że na dodatek jest gotów zabić. Chociaż z drugiej strony trzeba dodać, że Prospero trochę sam jest sobie winien, bo nie interesowało go nic poza magią. To jak zostawić otwarty samochód: okazja czyni złodzieja. Nie ma się co dziwić, Prospero był głupi, więc może mieć pretensje do siebie, chociaż oczywiście gdyby jego brat nie był złym człowiekiem, toby się nic nie stało. A im więcej robił złego, tym gorszy się stawał. Jak Makbet, ci, co robili tamto przedstawienie, pamiętają. „We krwi tak głęboko tonę, że już nie mogę cofnąć się ni zboczyć, iść wstecz nie mogąc, muszę naprzód kroczyć”^[74]. Zresztą niektórzy tutaj znają to z własnego doświadczenia: jak raz coś zaczniesz, musisz skończyć, bo inaczej wyjdiesz na cykora. Wszystko jedno, co to za robota.

Aktorzy kiwają mądrze głowami, w każdym razie co poniektórzy.

– Tak czy siak, na początku Antonio nic nie ryzykuje, bo Prospero jest dupą wołową, on jest jak struś, co chowa głowę w czarodziejski piasek i gówno widzi. Taki jest zajęty duchami, wskrzeszaniem zmarłych i nie wiadomo czym – po kiego on to w ogóle robił? – że zapomina o żywych, a przede wszystkim o sobie. Przyznaje to na samym początku. Lepiej by zrobił, gdyby postępował jak Antonio: nigdy nikomu nie ufaj. Nikomu. No więc taki to jest Antonio, czy wam się podoba, czy nie, a większości z was pewnie się nie podoba. Ale on, jak każdy, ma swój punkt widzenia. Więc wsiada na statek do Neapolu i co robi? Pamiętajcie, że Prospero tak jakby mu przebacza. Piszemy „tak jakby”, bo Prospero mówi, że n a r a z i e nie wyjawi, że chcieli zamordować króla. „Na razie milczę” – tak mówi, czyli pewnie później ich sypnie i Antonio będzie w głębokiej dupie; przepraszam za wyrażenie, Anne-Marie. Król Alonzo przeprasza Prospera, ale Antonio nic takiego nie mówi. On jest wściekły, bo dał się złapać i nie będzie już księciem, a może nawet zgnije w pierdłu albo utną mu głowę, bo tak robiono ze zdrajcami. Dlatego czeka na swoją szansę i kiedy są już blisko Neapolu, znów spiskuje z Sebastianem. Zakradają się do kabiny króla Alonza i duszą go, potem walczą na miecze z Ferdynandem, który ich nakrył, i jego też zabijają, bo ich jest dwóch, a on sam, a poza tym oszukują. Potem zabijają Prospera, który nie może się już obronić magią, bo jest fujarą i wypuścił Ariela na wolność. Z Gonzalem w ogóle nie muszą nic robić, bo stary dosłownie umiera ze strachu, dostaje zawału i sam pada martwy. A potem gwałcą Mirandę – sorry, Anne-Marie, ale tak by to wyglądało – i jeszcze pozwalają ją zgwałcić Kalibanowi, żeby więcej wycierpiała, zgwałcona przez potwora, tak że Kaliban w końcu dostaje to, czego chciał. Później chcą ją wyrzucić za burzę, bo jest córką prawowitego księcia Mediolanu, ale Kaliban próbuje ich powstrzymać, bo chciałby ją gwałcić, ile wlezie, więc jego też mordują. Stefano i Trynkulo się nie wtrącają, bo są tchórzami, chcą tylko zachować posady na dworze i trudno im się dziwić, są jak wszyscy. I tyle. To koniec naszego raportu. Antonio postępuje tak, jak można się po nim spodziewać, a Prospero znów daje się zaskoczyć, tak jak za pierwszym razem. Rozumiemy, że dla większości postaci to niedobre zakończenie, ale chcieliśmy opowiedzieć, jak byłoby naprawdę, bez ściemniania, i wyszło tak, jak wyszło. Antonio jest zły, więc czego byście chcieli? Dziękowa dla chłopaków

– zwraca się do reszty drużyny – że pomogli opisać prawdziwe życie, bez lukru.

Wraca na swoje miejsce takim samym butnym krokiem. Sala milczy.

– Doskonale – odzywa się Feliks. – Widać, że się przyłożyliście. Trudno mi dyskutować z waszymi wnioskami, mimo że nie są przyjemne.

Czy Antonio nie zasługuje na żadną łaskę? – zastanawia się. Najwyraźniej. Szekspir mu jej nie okazał: po tym, jak Prospero mu wybacza, zły brat do końca sztuki nie ma już ani jednej kwestii.

– Okrutny finał – stwierdza Anne-Marie.

– Życie jest okrutne – odpowiada Wężowe Oko.

– Uważam, że drużyna Antonia zasłużyła na komplet punktów – mówi Feliks. – Zgadzaście się?

Kiwają głowami, mamroczą. Nie podoba im się to zakończenie: ani nie jest szczęśliwe, ani nie daje nadziei. Trudno się jednak nie zgodzić.

– Co mogłoby uratować Prospera i Mirandę? – pyta Feliks. – I Kalibana?

P-Pod podnosi rękę.

– Żeglarze. Może oni. Bosman. Tak myślę.

– Być może – potakuje Feliks. – Niewykluczone.

Reszta jakby odetchnęła: otworzono im furtkę nadziei. Lubią takie furtki. Kto ich nie lubi?

Drużyna Mirandy



Felix zerka na listę.

– Teraz kolej na drużynę Gonzala. Cienkopis?

Lecz gdy Cienkopis zbiera z blatu rozrzucone kartki, na środek wychodzi Anne-Marie.

– Jeśli można, chciałabym dorzucić swoje trzy grosze. Wiem, że nie dostanę punktów ani papierosów, ale czuję się częścią tego przedstawienia, nawiasem mówiąc, praca z wami była dla mnie dużą frajdą, ale nie mogę tego tak zostawić. Feliksie?

Prosi o zgodę, ale to tylko pozory: widać, że coś jej leży na wątrobie i zamierza to z siebie wyrzucić.

– Słuchamy – odpowiada Felix, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Mówicie o Mirandzie jak o szmacianej lalce. Jakby nic nie robiła, tylko leżała rozkraczona w fotelu z tabliczką „zgwałć mnie”. Otóż nie sędzę. Po pierwsze, to silna dziewczyna. Nie chowała się na książęcym dworze, nie spinano jej gorsetem ani nie wciskano w szklane pantofelki. Jest chłopczycą: trafiła na wyspę, mając trzy lata, i od tamtej pory hasała po niej od rana do nocy. Po drugie, po tym, jak Kaliban spróbował ją zgwałcić – mogła wtedy mieć dwanaście lat – Prospero uczył ją samoobrony, w razie gdyby to się powtórzyło pod jego nieobecność. Wsiadając na statek, Miranda zna już cały arsenał chwytów i ciosów, jakich ci napuszeni wielmożowie raczej się po niej nie spodziewają. Na pewno ma też muskuły, przypominam,

że dźwigała drewno za Ferdynanda. Ale to nie wszystko. Prospero powiedział, że Miranda jest lepiej wykształcona niż inne dziewczyny w jej wieku. Nie zdradza jednak, czego ją uczył, wiemy tylko, że umie grać w szachy i że wie, czym jest łono. Ja obstawiam, że chodzi o magię. Na pewno słyszała co nieco o duchach, a może nawet jakieś widziała, skoro w pierwszej chwili myśli, że Ferdynand jest jednym z nich. No i wie, że Prospero dokonuje różnych rzeczy za pomocą czarów, na przykład trzyma w ryzach Kalibana. Jak myślicie, co ta dziewczyna robiła, kiedy Prospero ucinął sobie popołudniową drzemkę? Czytała księgi – jego księgi! Jaki ojciec, taka córka. Odziedzyczyła jego dar i nie zamierzała go zmarnować. Ale to nie koniec. Miranda ma tajny układ z Arielem. Pamiętacie tę piosenkę, która wydawała wam się głupia? „Pójdę z pszczołą kwiaty ssać, w kielichu pierwiosnka spać”. No właśnie. Brzmi głupio, to fakt. Ale tu chodzi o to, że Ariel opowiada, jak najchętniej spędzałby czas, gdyby to zależało od niego. Miranda to słyszała i przezornie wykopała wszystkie rosnące na wyspie pierwiosnki, a potem zabrała je ze sobą na pokład. Jej kajuta była wypełniona pierwiosnkami! A ponieważ Ariel miał słabość do pszczoł, użyła czarodziejskiej pszczoły, którą nosiła na ramieniu – tu Annie-Marie podwija rękaw, odsłaniając tatuaż – i za pomocą zaklęcia, o którym przeczytała w księgach Prospera, stworzyła iluzję: cały rój pszczoł. I teraz Ariel jest od niej uzależniony jak narkoman. Musi podążać za nią i wykonywać jej polecenia. W nagrodę dostaje od niej pierwiosnki i pszczoły.

Pomysłowa dziewczyna, myśli Felix. Daleko zajdzie, tylko w czym?

– Te pszczoły to złudzenie – mówi.

– I co z tego? Arielowi to nie robi różnicy – odpiera Anne-Marie. – Iluzja i prawda to dla niego jedno i to samo.

– I co ty na to, Arielu? – zwraca się Felix do Ośmiorękiego. – Wiadomo ci coś o tych, hm, poprawkach?

– Ja na to nie wpadłem – przyznaje Ośmioręki. – Ale brzmi sensownie. Spoko, czemu nie.

– A więc oto jak było naprawdę – kontynuuje Anne-Marie. – Kiedy Antonio zaatakował.

Ściąga koszulę, zrzuca buty ze stóp, zsuwa dzinsy: pod spodem jest ubrana w ciasny sportowy top i zielone satynowe szorty. Wspina się na palce, kładzie dłonie na podłogę. Prostuje się, staje na jednej nodze, drugą stopę chwytając za plecami, wyciąga rękę w pozie łuczniczki. Wszystkie oczy na sali są zwrócone w jej stronę.

Znów staje na obu stopach, pochyla się, nadstawia ucha.

– Dwaj groźni złoczyńcy zbliżają się do kajuty Alonza. Zauważa ich jednak Ariel i ostrzega Mirandę, która nakazuje mu bronić kajuty błyskawicami, dopóki ona tam nie dotrze. Na miejscu Miranda zastaje Ferdynanda, który próbuje odpierać napastników, ale ciężko mu idzie. Miranda przychodzi mu w sukurs i jednym kopniakiem łamie Sebastianowi nadgarstek.

Anne-Marie demonstruje cios: robi trzy piruety i krótką arabeskę, po czym wyrzuca prawą piętę wysoko przed siebie.

Rozlegają się stłumione okrzyki podziwu, wszyscy siedzą pochyleni. Felix wcale im się nie dziwi; gdyby miał tyle lat co oni, też by się pochylał.

Właściwie to jest pochylony.

– To była ręka, w której Sebastian trzymał szpadę – opowiada dalej Anne-Marie – ale w drugiej trzyma sztylet, a Antonio ma i sztylet, i szpadę. Na domiar złego pojawia się Kaliban z wysuniętymi szponami, więc jest trzech na dwoje, a Ferdynand krwawi. Miranda postanawia więc wytoczyć ciężkie działa. Boginie, do boju!

Kręcąc piruety, zbliża się do swojej wielkiej torby. Otwiera ją zwinnym ruchem. Ze środka wyskakują Iris, Ceres i Junona w wełnianych dzianinach, z gałkami ocznymi pomalowanymi na biało, w uprzężach, do których Anne-Marie przymocowała długie rzemyki.

– Najpierw Iris! Do ataku! – Wywija nią nad głową niby maczetą. – Bam! A masz, Antonio! Odlatuje z jego mieczem! Teraz Ceres! I Junona! – Kreśli nimi ósemki w powietrzu. – Bierzcie ich, boginie! Obie rzucają się do ataku! Szysz-bam! Prosto w jaja! Skurczyły się jak rodzynki! Powodzenia z gwałtem, panowie!

– Ssij, Tonio! – woła P-Pod, a reszta wiwatuje.

– Ale Miranda musi się jeszcze uporać z Kalibanem, który patrzy na nią lubieżnie, tocząc ślinę, wreszcie rzuca się w jej kierunku. A kysz, kreaturo! – Anne-Marie wrzuca boginie z powrotem do torby, wskakuje na biurko Feliksa i staje w bojowej pozycji nad krawędzią blatu. Żgina kolana, unosi ręce nad głową, fika koziołka do tyłu i ląduje na podłodze. Robi nożyce, krzyżuje nogi, turla się, siada, wszystko jak po maśle. To sekwencja z jej występu z grupą Kidd Pivot.

– Wybiła Kalibanowi ze stawów oba oślizłe ramiona – oznajmia. – Auć.

Skacze na równe nogi, unosi pięści i wyrzuca w powietrze dwie garści brokatowego konfetti.

– Maestro – zwraca się do Feliksa, po czym kłania się publiczności, która nagradza ją gromkim aplauzem. – Dziękuję w imieniu drużyny Mirandy i bogiń. – Dyga. Prawie się nie zdyszała, czoło ma jednak zroszone potem. Wraca na swoje miejsce i zaczyna się ubierać.

– To była bardzo ożywcza interpretacja – mówi Feliks. – Chyba zrobimy sobie przerwę na kawę.

Drużyna Gonzala



Stoją w kółku z pyszną kawą od Feliksa w papierowych kubkach; Anne-Marie częstuje ciastkami, których na szczęście wystarczy dla wszystkich.

- Zarybiste są – zachwala Leggs.
- Jesteś boginią ciastek – wtóruje mu Wężowe Oko.
- Szkoda, że nie są z haszem – dodaje Ośmioręki, wzbudzając śmiech.
- To był mistrzowski występ – chwali ją Felix. – Ale czy boginie rzeczywiście miałyby taką moc? Były tylko iluzją stworzoną przez Ariela. Nie są prawdziwe.
- Teraz już są – odpowiada Anne-Marie.

Felix spogląda na zegarek.

- Dobra, koniec przerwy. Mamy jeszcze dwa raporty. – Papierowe kubki zostają zebrane i lądują w koszu, po ciastkach nie ma już śladu. – Następny w kolejce jest Cienkopis.

- Obawiam się, że moje wystąpienie nie dostarczy tylu emocji – mówi Cienkopis. – Marny ze mnie tancerz.

Nikt nie zaprzecza. Nikt się nie śmieje. Cienkopis niezrażony wychodzi na środek.

- Dziękuję za tę możliwość – zaczyna. – To było dla mnie bardzo pouczające, wcielić się w rolę pocziwego Gonzala, mimo że pocziwe

postacie często bywają niewdzięczne, no i uczestniczyć w tym, hm, nowatorskim eksperymencie teatralnym, który tak wspaniale się udał. Mam nadzieję, że te VIP-y, które wzięły w nim udział spontanicznie, że się tak wyrażę, też coś z niego wyniosły. – Śmieje się pod nosem.

– Jak nie, jak tak! – wcina się Leggs.

Cienkopis rzuca uśmiech w jego stronę.

– Przedstawię raport drużyny Gonzala – mówi dalej. – Gonzalo nie ma w sztuce żadnych sojuszników ani wspólników, nie licząc Ariela, który nie pozwala go zamordować, i Prospera, który działa za kulisami. Ja, przygotowując ten raport, mogłem na szczęście liczyć na pomoc Pułkownika Detha, TimEEza i Riceballa.

Posyła im ciepły uśmiech dobrego wujka.

– Raport: Losy Gonzala po zakończeniu sztuki. Przygotowany przez drużynę Gonzala. Postacie *Burzy* dzielą się na optymistyczne i pesymistyczne. Postacie optymistyczne to te, które mają udział w bardziej pozytywnej stronie ludzkiej natury, a pesymistyczne – w bardziej negatywnej. Ariel, Miranda i Ferdynand są optymistami; Alonzo, Antonio i Sebastian są pesymistami. Stefano, Trynkulo i Kaliban są pomiędzy, liczą na to, że fortuna się do nich uśmiechnie, ale nie mają nic przeciwko temu, żeby inni cierpieli przez nich przemoc, niewolę albo śmierć. Gonzalo jest postacią skrajnie pozytywną, do tego stopnia, że można się dziwić, jakim cudem przetrwał na pełnym cyników i karierowiczów dworze króla Alonza. To, że jednak przetrwał, pozwala wierzyć, że skrucha Alonza jest szczerą, że jego słowo coś znaczy, a więc Ferdynanda i Mirandy nie powinna spotkać żadna przykra niespodzianka. Alonzo, choć przyłożył rękę do okrutnego potraktowania Prospera, od początku musiał mieć w sobie jakiś pierwiastek dobra, inaczej nie zatrudniłby Gonzala jako doradcy. Jednak wpływy Gonzala są niewielkie. W ogóle, z wyjątkiem Prospera, żadna z pozytywnych postaci – Miranda, Ferdynand, Ariel, Gonzalo – nie ma nad nikim władzy, zresztą nawet władza Prospera jest mocno specyficzna. Jak zauważa Kaliban, bez swoich ksiąg Prospero jest nikim. Czy skrajna dobroć zawsze oznacza słabość? Czy w ogóle można być dobrym, mając władzę? To pytania, które stawia przed nami *Burza*. Oczywiście istnieje inny rodzaj siły, a mianowicie siła dobra, które opiera się złu; to siła, którą publiczność Szekspira dobrze rozumiała. Tylko że tego rodzaju siły jest w *Burzy* mało. Po prostu Gonzalo nie musi walczyć z pokusą, bo nie jest przez nikogo kuszony. Nasza wersja jego dalszych losów wygląda następująco. Przyjmijmy, że nasi pesymistyczni koledzy się mylą: Antonio nie wygrywa, Prospero nie zostaje wyrzucony za burtę, wszystko kończy się tak, jak to zapowiada koniec sztuki. Odsuńmy też na bok miłą fantazję o Mirandzie i jej zaprzyjaźnionych boginiach, którą z taką werwą wykreowała przed nami Anne-Marie. Mówię o tym w swoim imieniu, bo drużyna Gonzala nie została uprzedzona o tej interwencji. – Uśmiecha się do Anne-Marie nieprzesadnie ciepło. – Ale wróćmy do raportu. Szekspir w *Burzy* opowiada się za dawaniem ludziom drugiej szansy, więc my też się tego trzymajmy. Pomyślnie wiatry, o które zadbał Prospero przy pomocy Ariela, zanoszą wszystkich do Neapolu, gdzie wyprawione zostaje wesele Ferdynanda i Mirandy. Prospero żegna się z nimi i wraca

do Mediolanu, na nowo obejmuje władzę książęcą i przypuszczalnie wtrąca Antonia do więzienia lub unieszkodliwia go w jakiś inny sposób. Prospero mówi nam, że co trzecia jego myśl będzie krążyła wokół śmierci, ale to znaczy, że dwie na trzy mogą dotyczyć rządzenia. Oby tym razem rządził sprawnie. Na dworze w Neapolu Sebastian ma związane ręce: Prospero trzyma go w szachu, bo wie o jego udaremnionych zdradzieckich zamiarach wobec brata i króla, zaświadczył o tym na piśmie, które wręczył Mirandzie, aby w razie potrzeby mogła go użyć przeciwko Sebastianowi. A co do Gonzala, to Ferdynand i Miranda, a także sam król Alonzo, są mu tak wdzięczni za jego dobre uczynki, że gotowi są spełnić każde jego życzenie. My, drużyna Gonzala, postanowiliśmy wystawić jego dobroć na próbę. W naszej wersji Gonzalo wraca na wyspę z grupą dobrych ludzi i ustanawia tam królestwo-republikę, w którym nie będą istniały różnice stanowe, nikt nie będzie musiał harować jak wół, nie będzie niemoralnych zachowań seksualnych, wojen, przestępstw ani więzień. Oto nasz raport. Podpisano: Cienkopis, Riceball, TimEEz, Pułkownik Deth.

Znów promiennie się uśmiecha i wodzi wzrokiem po sali.

– Dziękuję – mówi Feliks. – I jak mu idzie?

– Jak co idzie? – pyta niewinnie Cienkopis.

– Ta idealna republika.

– Drużyna Gonzala pozostawia to waszej wyobraźni. Powiedzmy tylko, że Gonzalo nie jest czarodziejem. Nie ma pod swoimi rozkazami żadnych gnomów ani nie potrafi wskrzeszać zmarłych. Nie posiada też wojska. Polega wyłącznie na dobrej stronie ludzkiej natury. Ale może łaskawa Fortuna, zwana również Sprzyjającą Gwiazdą, uśmiechnie się do niego. Ona też jest ważną postacią tego dramatu. Bez niej Prospero nigdy nie otrzymałby swojej szansy.

– Racja – potakuje Feliks. – Jest bardzo ważna. Dobra robota! Komplet punktów dla drużyny Gonzala. Jak mawiał mój wujek, lepiej mieć szczęście niż pieniądze.

– Ja nie mam ani tego, ani tego – odpowiada łagodnie Cienkopis, wzbudzając rozbawienie, co sprawia mu przyjemność.

– Może szczęście jeszcze się do ciebie nie uśmiechnęło – mówi Feliks – ale ze sprzyjającymi gwiazdami nigdy nie wiadomo. Kto nam został? Ach. Drużyna Kalibana.

Drużyna Kalibana



Leggs wychodzi na środek czerwony na twarzy i jeszcze bardziej piegowaty niż zwykle. Stara się, jak może, by wyglądać hardo, wysuwa nogę do przodu, stopa pod kątem, potem szybki skręt miednicy i druga noga zatacza łuk w powietrzu, jakby zespawana w kolanie. Patrzy po sali, wykrzywia twarz w swoim grymasie Kalibana, wreszcie z wolna podwija rękawy.

Dobry teatr, myśli Felix. Budowanie napięcia.

– Melduje się drużyna Kalibana – zaczyna Leggs po wojskowemu, ale jakby z nutą drwiny. – Oto czysta i goła prawda. Czarci Pomiot nie gra w drużynie. Nikt nie jest po jego stronie. Nawet tamte dwa pijusy, które udają sprzymierzeńców. Nie są lojalni, kpią z niego i mu wymyślają, traktują go jak frajera. Tak że w sztuce Kaliban nie ma nikogo. Jeżeli w ogóle kogoś miał, to matkę, która nie żyje, a wszyscy nazywają ją wiedźmą. Ale musiała go kochać, skoro nie utopiła go jak kociaka. Dzięki niej przeżył, a to już coś, więc szacun dla niej za to. Urodziła dziecko i tak dalej, a była sama na wyspie. Może miała swoje wady, ale zrobiła dla niego, co mogła. Nie pękła.

Potakiwania, myśli słuchaczy wędrują ku niedoskonałym, lecz dzielnym matkom.

– Potem umarła i Kaliban dorastał sam. Na początku był dla Prospera miły, ale teraz Prospero jeździ na nim jak na łysej kobyle, Ariel też ma go w dupie, mimo że właściwie obaj są niewolnikami. Słuchają się Prospera, bo się boją

tortur; jedyna różnica między nimi jest taka, że Ariel zaciska zęby, a Kaliban się stawia i dlatego jest szczypany przez duchy. Ja na szczęście mam drużynę, która pomogła mi z raportem, to ci sami ludzie, którzy robili chórki i kostiumy do numerów, które przygotowaliśmy, czyli P-Pod, TimEz, VaMoose i Czerwony Kojot. Chłopaki, jesteście super, bez was nic bym nie zrobił, razem daliśmy radę i zawsze będę to miło wspominał. – Przerzywa. Czy to wystudiowana pauza, czy wzruszenie odebrało mu mowę? Skoro nie jestem pewien, myśli Felix, to znaczy, że dobrze się wyszkolił pod moim okiem.

– Dobra, oto nasz raport – ciągnie Leggs. – Na końcu sztuki nie bardzo wiadomo, co się dalej stanie z Kalibanem. Będzie teraz dobrym sługą Prospera czy jak? Przychodziły nam do głowy różne wersje. Pierwsza była taka, że Kaliban zostaje na wyspie i jest jej królem, tak jak chciał, ale nie ma tam nikogo poza nim, więc jaki w tym sens? Żeby być królem, trzeba mieć podwładnych, co nie?

Potakiwania. Wszyscy słuchają uważnie: los Kalibana naprawdę ich obchodzi.

– Więc ta wersja poszła do kosza. Następna, numer dwa, to że płynie z całą resztą do Neapolu. Prospero ginie, a Miranda zostaje zgwałcona, tak jak w raporcie drużyny Antonia – sorry, Anne-Marie, ale w prawdziwym życiu nie byłoby żadnych bogiń – z tym że Kaliban jej nie gwałci. Gwałci ją tylko Antonio, bo jest zły, sam to powiedział. Potem ją zabija, bo chce być księciem i nie chce mieć rywali, więc musi się jej pozbyć, logiczne. Kaliban jest na niego wściekły, ale nic nie może zrobić, bo Stefano i Trynkulo zakuli go w kajdany pod pokładem. W Neapolu pokazują go widzom za pieniądze, tak jak wcześniej mówili. Opowiadają ludziom, że to dzikus z dżungli, półryba, potwór ludojad. Wszyscy rzucają w niego różnymi rzeczami, jak do goryla w klatce, obrażają go, tak jak wcześniej Prospero, Miranda, Stefano i Trynkulo, drażnią kijami, żeby warczał i przeklinał, śmieją się z niego. No i karmią go różnym gównem. Więc szybko zaczyna chorować – bo nigdy nie był szczepiony, co nie? – i któregoś dnia wychodzi cały w krostach, z gorączką, aż w końcu odwala kitę.

Cisza na sali. Łatwo, zbyt łatwo sobie wyobrazić, że naprawdę tak było.

– Ale stwierdziliśmy, że to za ponure zakończenie – mówi dalej Leggs. – Dlaczego wszyscy inni dostają drugą szansę, a on nie? Dlaczego musi tyle cierpieć za to, że jest, jaki jest? On jest trochę jak czarnoskóry albo Indianin, wiecie. Od początku ma przesrane, a przecież nie prosił się na ten świat.

Głowy znów kiwają potakująco. Leggs ma pełną uwagę słuchaczy. Dokąd ich zabiera? – zastanawia się Felix. W jakieś dziwne miejsce, widać to w jego oczach. Chowa coś w zanadru.

– No więc tak sobie myśleliśmy o tym, co mówi Prospero: „Do tej mrocznej stwory ja się przyznaję”^[75]. Czyli właściwie o co mu chodzi? Że Kaliban dla niego pracuje, że jest jego niewolnikiem? Nie, tu chodzi o coś więcej. – Leggs pochyla się, wędruje wzrokiem po sali, zagląda w oczy. – Powiem wam, co myślimy. To musi być to. Uwaga. Prospero jest ojcem Kalibana.

Szmer, niektórzy kręcą głowami. Nie są przekonani.

– Poczekajcie. Już wyjaśniam. Po kolei. Jego matka to czarownica, tak? Sykoraks. Zła wiedźma! Prospero jest czarodziejem. Robią podobne rzeczy: zaklęcia, uroki, zmiany pogody, tylko że Prospero robi to lepiej i wydaje nam się, że on jest dobry, a ona zła. Powiedzmy, że spotkali się wcześniej, nie wiem, na jakimś zlocie czarodziejów i wpadli sobie w oko. Przespali się ze sobą. On zrobił jej brzuch i nawiał do Mediolanu. Potem ją złapali i wywieźli na wyspę. Kiedy Prospero tam ląduje, Sykoraks już nie żyje, ale wystarczy mu jedno spojrzenie na Kalibana i już wie, czyj to dzieciak. Obrabia dupę jego matce, wiadomo; nie mówi dzieciakowi prawdy, ale dochodzi do wniosku, że w sumie chłopak może mu się przydać, na bank ma jakieś dobre cechy, w końcu to jego krew. Na początku jest z niego dumny, bo Kaliban jest samodzielny, umie się poruszać po wyspie, zdobywać pokarm, wykopuje trufle, ryby i różne takie; jest na każde skinienie. Więc Prospero jest dla niego dobry, uczy go różnych rzeczy. Języka i tak dalej. Ale potem chłopak zaczyna się przystawiać do Mirandy. To normalne, może był mały kwas, ale w sumie nie wiadomo, czy powiedziała nie, różnie bywa, od słowa do słowa, a poza tym czyja to wina, kto pozwalał Mirandzie paradować mu przed nosem? Prospero mógł to przewidzieć. Trzeba było ją trzymać pod kluczem, skoro to dla niego takie ważne. Naszym zdaniem Prospero sam nawarzył sobie piwa i powinien wypić bynajmniej część. Ale nie, on dostaje szajby, wyzywa Kalibana od najgorszych, zaczyna się nad nim znęcać, w ogóle nie zwraca uwagi na jego dobre strony, na przykład na to, że ma talent muzyczny. Dopiero na końcu dociera do niego, że może nie wszystkiemu są winni inni ludzie. I widzi, że zło w Kalibanie w sumie nie różni się jakoś bardzo od tego zła, które on, Prospero, nosi w sobie. Jego też łatwo wkurzyć, obaj lubią wyzwiska, obaj są mściwi, krew z krwi, kość z kości. Kaliban jest jakby ucieleśnieniem gorszej strony Prospera. Jaki ojciec, taki syn. I dlatego Prospero mówi: „Do tej mrocznej stwory ja się przyznaję”. Nie rzuca tego o, tak se. No więc później, tak myślimy, Prospero próbuje wynagrodzić Kalibanowi to, jak go traktował. Zabiera go na pokład, szoruje pod prysznicem, zmywa z niego ten rybi smród, zamawia mu fajne ubrania, robi z niego pazia, kogoś w tym stylu, bo chce go nauczyć jeść z talerza. Mówi przepraszam, spróbujmy od nowa. Odkrywa jego artystyczną stronę, wiecie, te piękne sny i tak dalej. Teraz kiedy Kaliban jest czysty, dobrze ubrany i potrafi się zachować, już nie mówią o nim, że jest brzydki. Ma surową urodę i tyle. No więc Prospero pomaga mu zostać muzykiem w Mediolanie. Chłopak dostaje szansę i ją wykorzystuje. Umie wyciągnąć z ludzi mroczne emocje, ale jako muzyk. Jedyne, na co musi uważać, to alkohol, bo to dla niego trucizna, dostaje od niej pierdolca. Ale jest twardy i nie pije. I co? Zostaje gwiazdą. Prospero jest z niego dumny. Na jego koncerty przychodzą tłumy. Ma własny zespół: Czarcí Pomiot i Mroczne Stwory. Zna go cały świat. Na tym kończy się nasz raport. Mamy nadzieję, że wam się podoba.

Tym razem wszyscy są zgodni. Odzywa się chór entuzjastycznych okrzyków, głośny aplauz przechodzący w rytmiczne klaskanie, a potem tupanie.

– Czar-ci Po-miot! Czar-ci Po-miot!

Felix wstaje z miejsca. Źle by było, gdyby to się wymknęło spod kontroli.
– Doskonały raport! Komplet punktów dla drużyny Kalibana. Bardzo pomysłowa interpretacja. I godne zwieńczenie oficjalnej części kursu. Teraz czas na imprezę. Gotowi?

Nasze zabawy



Felix rozdaje paczki chipsów i puszki oranżady imbirowej. Szmer rozmów, brzęk puszek, atmosfera spokojnego święta. Za kilka minut zaczną podchodzić do niego pojedynczo i mamrotać wstydlive podziękowania. To stały element tych imprez. To – i otwieranie chipsów, i pospieszne upychanie papierosów po kieszeniach.

W każdej paczce jest ich tyle samo, bo i dlaczego miałoby być inaczej? Wszyscy dobrze się spisali. Kiedy jednak Felix zniknie im z oczu, natychmiast zaczną się targi: papierosy są tutaj nieoficjalną walutą, nadają się idealnie do przekupstwa, można je wymienić na towary i specjalne względy.

– Nie przepadam za tą marką – mówi Cienkopis. Pozostali śmieją się, bo wiedzą, że w ogóle nie pali.

– Ja nie wybrzydzam, wystarczy mi dziurka z jednej strony i ogień z drugiej – oznajmia Czerwony Kojot. Na to Tasak:

– Hej, to brzmi jak moja kobieta.

Śmiechy.

– Tak? Ale który koniec jest który?

Znów śmiechy.

– Przepraszam, Anne-Marie.

– Lepiej uważajcie – odpowiada ona. – Bo wypuszczę na was moje boginie.

– Swoją drogą, brawo, Anne-Marie – wtrąca się Felix. – Nie spodziewałem się tego.

– Zawsze powtarzasz, że magia powinna być nieprzewidywalna. Chciałam cię zaskoczyć.

– I udało ci się.

– Jesteśmy ci naprawdę bardzo wdzięczni. Freddie i ja. To było...

– Nie ma o czym mówić. Cieszę się, że mogłem się przydać.

– Mamy dla pana niespodziankę – odzywa się Leggs, podchodząc do nich.

– Ach tak? Jaka?

– Dodatkowy numer. Napisałem go razem z Mrocznymi Stworami. Pracujemy tak jakby nad musicalem.

– Musicalem? – podchwytuje Anne-Marie. – O Kalibanie?

– Tak, o tym, co się dzieje dalej. Jak pisaliśmy ten raport, to sobie pomyśleliśmy, że w sumie czemu Kaliban nie może mieć własnej sztuki?

– Mów dalej.

– Okej, no więc zaczyna się od tego, że Stefano i Trynkulo zamykają go w klatce i pokazują ludziom za pieniądze. Ale w musicalu Kaliban im ucieka. O tym jest ten numer, który zrobiliśmy. Kaliban wydostaje się z klatki i mówi, że nie będzie już niczym niewolnikiem.

Bum, bum, bum, Mroczne Stwory zapodają rytm. Leggs zaczyna rapować:

Wolność, hej wolność! O wolność, hej wolność!^[76]

Już nie pójdę na ryb połów,

Ni po drzewo między bory,

Ni jak do tej będę pory

Myć talerzy, skrobać stołów.

Nie będę wam lizał butów,

Świata oglądał z za drutów,

W autobusie siedział z tyłu.

Kraj oddajcie, on nasz był!

Ban, ban, ban, Kaliban,

Niepotrzebny mi jest pan!

Nie dam sobie dmuchać w kaszę, oddawajcie, co nie wasze,

Oddawajcie, i to pędem, długo czekać już nie będę,

Zrobię taką rozpierduchę, że będziecie bić w bęben!

Chcę za pracę godną płacę, chcę mieć co włożyć w gębę!

Mieszkać w norze, szczać do wiadra nie zamierzam już więcej!

Klepać nędzę, na której wy zarabiacie pieniądze!

Gdy leżę w błocie, kopiecie mnie i na mnie plujecie,

Jak może być inaczej, skoro jestem dla was śmieciem?

Ban, ban, ban, Kaliban,

Dla was jestem brudny cham!

Czarci Pomiot bywa czarny, Czarci Pomiot bywa śniady,
Może skórę mieć czerwoną, ale może być też blady.
Wiele różnych ma imion, włóczy się po nocy,
Wyszydzany, pomiatany, strach jak robak go toczy.
Czarci Pomiot!
Ban, ban, ban, Kaliban,
Niepotrzebny mi jest pan!
Wara! Jazda! Precz! Wynocha!
Wolność, wolność, och-ach, och-ach!

– Mocne – stwierdza Felix. – Bardzo mocne.

– Mocne to mało powiedziane! – woła Anne-Marie. – To ma... to by mogło... Ale co właściwie dzieje się po tym, jak ucieka z klatki?

– Pomyśleliśmy, że mógłby się po kolei mścić na ludziach, którzy źle go traktowali – mówi Leggs. – Coś jak Rambo. Załatwiać jednego po drugim. Zacząłby od Stefana i Trynkula.

– A Prospero? – pyta Felix.

– I Miranda? – Chce wiedzieć Anne-Marie.

– Może ich nie ma w musicalu. A może są. Może Kaliban im wybacza. A może nie. Może chodzi za nimi, rzuca się na nich z pazurami. Jeszcze nad tym pracujemy.

Felix jest zaintrygowany: Kaliban wydostał się ze sztuki. Uciekł od Prospera, jak cień, który odrywa się od ciała i zaczyna chodzić własnymi ścieżkami. Teraz już nikt go nie kontroluje. Czy Prospero zostanie oszczędzony, czy w którąś bezkسیężycową noc zemsta wejdzie do niego przez okno i podetnie mu gardło? Felix mimowiednie dotyka ręką szyi.

– Może mógłby pan to wyreżyserować, jak pan myśli, panie Duke? Jak już skończymy. Jest pan pierwszy na naszej liście. – Leggs uśmiecha się nieśmiało.

– O ile dożyję – odpowiada Felix. Ta propozycja sprawiła mu absurdalną przyjemność, choć wie, że to nie dojdzie do skutku. A może dojdzie? – Niewykluczone. Nigdy nie wiadomo.

Skończone



Felix dopija swoją oranżadę, gdy podchodzą do niego Ośmioręki, Leggs i Wężowe Oko.

– Jeszcze jedno – odzywa się ten ostatni. – Nie dokończyliśmy czegoś na zajęciach.

– Czego? – pyta Felix. Czyżby o czymś zapomniał?

– Dziewiąte więzienie – wyjaśnia Ośmioręki. – Znaleźliśmy tylko osiem. Pamięta pan?

– Powiedział pan, że jak nie zgadniemy, to nam pan powie.

– Ach. No tak. – Felix zbiera rozproszone myśli. – Zakończenie sztuki jest dla Prospera mniej szczęśliwe, niż można by się spodziewać, nie sądzicie? Odzyskał księstwo, ale niespecjalnie mu na nim zależy. Jest zwycięzcą, ale poniekąd i przegranym. Przede wszystkim stracił dwie ukochane istoty: Mirandę, która zamieszka z Ferdynandem w dalekim Neapolu, i Ariela, który opuszcza go bez wahania. Prosperowi będzie go brakowało, lecz Ariel nie zdradza żadnych oznak tęsknoty za Prosperem: cieszy się wolnością. Jeżeli ktoś pozostanie przy Prosperze, to chyba tylko Kaliban, nieszczególnie pożądanym towarzyszem. Właściwie to na co mu on poza wyspą? W Mediolanie Prospero będzie miał inne sługi. Być może z poczucia odpowiedzialności zabierze z sobą mroczną stworę. Ale chwilowo czuje się winny z innego powodu.

– Skąd pan wie? – pyta Leggs. – Że czuje się winny?

– Z tekstu. – Felix kartkuje swój egzemplarz dramatu. – O, tutaj mówi: „Niech mnie tu wasze nie wiążą zaklęcia”^[77]. Prospero odczytał swoje czary, zamierza złamać czarodziejską laskę i utopić księgę, a więc utraci magiczne moce. Twierdzi, że teraz wszystko w rękach publiczności: o ile nie nagrozi sztuki brawami, Prospero pozostanie uwięziony na wyspie. Prosi też widzów, by się za niego modlili: „I rozpacz tylko czeka na mnie wszędzie, / Jeśli modlitwa w pomoc nie przybędzie: / Modlitwa bramy litości otwiera / I błędów dawnych pamiątki zacierą”. Innymi słowy, prosi o bożą łaskę. „Jak sami chcecie grzechów odpuszczenia, / Tak mi przebaczcie moje przewinienia”. Można to rozumieć dwojako.

– Tak, było o tym w komentarzach – potwierdza Cienkopis.

– Wyleciał mi z głowy ten fragment – przyznaje Wężowe Oko.

– Kiedyś można było wykupić się od piekła, nazywało się to odpust.

– Teraz też można – zauważa Wężowe Oko. – Nazywa się to grzywna.

– Nazywa się to kaucja – poprawia go Leggs. – Ale to nie jest wolność, co nie?

– Nazywa się to przedterminowe zwolnienie – oznajmia Ośmioręki. – I nic nie kosztuje. Ale trzeba sobie zapracować.

– O co chodzi z tą jego winą? – włącza się Anne-Marie. – Co takiego strasznego zrobił Prospero?

– No właśnie, co? – pyta retorycznie Felix. Dookoła gromadzi się coraz więcej osób. – Tego się nie dowiadujemy. To jeszcze jedna zagadka. Ale *Burza* jest dramatem o człowieku reżyserującym wymyślony przez siebie spektakl, więc może to właśnie spektakl obciąża jego sumienie.

– Zgrabne – przyznaje Anne-Marie.

– Nie kumam – mówi Wężowe Oko. – Spektakl nie jest przestępstwem.

– Ale może być grzechem – odpowiada Felix. – Naruszeniem norm etycznych, a nie prawnych.

– Nadal nie rozumiem.

– Cały ten gniew? Żądza odwetu? Zadawanie cierpienia?

– No tak, w sumie.

– Dobrze, ale co z tym dziewiątym więzieniem?

– O tym właśnie jest epilog – wyjaśnia Felix. – Prospero w praktyce mówi do widzów: jeżeli nie pomożecie mi opuścić tej wyspy, będę musiał tu pozostać. Zaklęty. To znaczy, że będzie zmuszony bez końca odgrywać swoje pragnienie zemsty. A to byłoby piekło.

– Widziałem kiedyś taki film – wtrąca Ośmioręki. – To znaczy, czytałem opis w internecie.

– W tych ostatnich wersach Prospero prosi, żeby go wyzwolić. Człowiek, który czuje się wolny, raczej nie prosi o wyzwolenie. Prospero jest więźniem sztuki, którą sam stworzył. Macie więc swoje dziewiąte więzienie: jest nim sama sztuka.

– Okej, nieźle – kiwa głową Ośmioręki. – Sprytnie pomyślane.

– Bardzo – potakuje Anne-Marie.

– Nie wiem, czy mnie to przekonuje – mówi Cienkopis.

– Jaką sztukę robimy za rok? – pyta Tasak. – Wróci pan do nas, prawda?

Uratowaliśmy program?

– Obiecuje, że w przyszłym roku będzie kolejna sztuka – odpowiada Felix. – Wszyscy na to zapracowaliśmy.

– Chce mi się troszkę płakać – wyznaje Anne-Marie, gdy idą we dwoje korytarzem. – Że to już koniec. Nasze zabawy skończone. A to była zajebista zabawa. – Bierze Feliksa pod rękę. Za nimi z głuchym łoskotem zamykają się pancerne drzwi.

– Nasze zabawy się kończą – mówi Felix – ale inne dopiero przed tobą. Jak ci się układa z Freddie?

– Jak na razie nie najgorzej – odpowiada z właściwą sobie powściągliwością. Felix zerka i dostrzega na jej twarzy słabo skrywany uśmiech.

Po przejściu przez kontrolę bezpieczeństwa Felix żegna się z Dylanem i Madisonem.

– Super było – mówi do niego Dylan. A do Anne-Marie: – Świetne ciastka.

– Do zobaczenia niedługo, panie Duke – odzywa się Madison. – Za rok o tej samej porze?

– Już się cieszę – zapewnia ich.

Na parkingu raz jeszcze dziękuje Anne-Marie, po czym wyjeżdża swoim rzeżącym autem za bramę, na kręto opadającą drogę. Na poboczach stoją w kałużach topniejące, brudne zasy. Ni stąd, ni zowąd nadeszła wiosna. Ile czasu spędził tam, na górze? Zdawałoby się, że całe lata.

Czy jego Miranda też wyszła z imprezy i przeszła przez kontrolę, czy jest z nim w samochodzie? Tak, siedzi z tyłu, w kącie: cień w cieniu. Smutno jej, że musiała się rozstać z tymi ludźmi, opuścić ich nowy, wspaniały świat.

– Nowy dla ciebie – mówi do niej.

Epilog

Niedziela, 31 marca 2013 roku



Felix jest w swojej chatce, pakuje się. Nie żeby miał wiele do pakowania. Trochę tego, trochę tamtego. Stosik podstarzałych ubrań – złożył je starannie i chowa do czarnej walizki na kółkach. To już oficjalnie wiosna: na dworze topnieje lód, ptaki stroją głosy. Przez otwarte drzwi wlewa się do środka światło słoneczne – i całe szczęście, bo Feliksowi odcięto prąd.

Kiedy przebrnął przez roztopy, żeby zapytać właścicieli, co się stało, ich dom był opuszczony. Rodzina Maude ulotniła się, zostawiając po sobie tylko niezapłacone rachunki. Zupełnie jakby nigdy ich tu nie było; jak gdyby ukazywali się Feliksowi, dopóki byli mu potrzebni, a potem rozplynęli się jak mgła wśród pól i lasów. Wy, duchy wzgórz i jezior, rzek i gajów^[78], mamroczcie do siebie. Prawdopodobnie jednak zmiierzają pikapem na zachód, ku lepszemu życiu.

Dokonał zemsty, cokolwiek o niej mówić. Jego wrogowie doznali cierpienia, które jemu sprawiło przyjemność. Potem wielkodusznie im wybaczył, słuchając zgrzytu zębów Tony’ego, co sprawiło mu jeszcze większą przyjemność. Dopóki przechowuje w chmurze tamto nagranie, łachudra Tony nie wytnie żadnego numeru, choć bardzo by chciał. Zresztą ustąpił ze stanowiska i stracił wiarygodność. Przestał się liczyć, nie ma już możliwości wywierania nacisku. Tony jest na aucie, a Felix z powrotem w grze – tak jak być powinno.

Ścisłej rzecz biorąc, Felix odzyskał dawną posadę dyrektora artystycznego festiwalu w Makeshiweg. Gdyby chciał, mógłby w końcu wystawić swoją

Burzę sprzed dwunastu lat.

Lecz o dziwo, już nie chce. *Burza*, którą przygotował z więźniami we Fletcher, była szczytem jego możliwości. Po co miałby teraz robić spektakl, który nie ma szans dorównać tamtemu?

Co zaś tyczy się funkcji dyrektora artystycznego, to zamierza być nim tylko nominalnie. Widzi siebie jako szarą eminencję; złamie swoją laskę, utopi księgę, bo czas już ustąpić miejsca młodszemu.

Na zastępcę wziął sobie Freddiego: niech się chłopak uczy. Felix przez jakiś czas będzie go wspierał, lecz w gruncie rzeczy proces przekazywania pałeczki już się rozpoczął. Freddie jest bardzo pojętny. I nie może mu się nadziękować, co też jest miłe.

Anne-Marie będzie główną choreografką musicali, które Freddie zamierza włączyć do festiwalowego repertuaru. Na pierwszy ogień idzie *Crazy for You*: jest tam wystarczająco dużo numerów tanecznych, by Anne-Marie miała pole do popisu. Będzie mogła się wykazać, pojechać po bandzie, i na pewno nie zmarnuje okazji.

Pięknie ze sobą współpracują ci dwoje. Jakby byli dla siebie stworzeni, jak mistrzowska para tancerzy na lodzie. Kiedy patrzy, jak ślęczą nad szkicami kostiumów, z powagą rozprawiając o ich wyglądzie, albo jak eksperymentują na ekranie komputera z cyfrową scenografią, czuje ściskanie w krtani, jak na weselu: tę dziwną mieszaninę tęsknoty za tym, co minęło, i radości z tego, co będzie, cudzej radości. On sam jest już tylko świadkiem, życzliwym obserwatorem, gościem rzucającym ryż. Nie będą mieli łatwo, bo w teatrze nigdy nie jest łatwo, ale przynajmniej pomógł im wystartować. Chociaż tyle dobrego działał w życiu; pozostaje mu mieć nadzieję, że to dzieło przetrwa.

Lecz nic na tym świecie nie jest trwałe, przypomina sobie. Ani świetne zamki, ani wieże z głowami w chmurach. Kto wie o tym lepiej niż on?

Myślał, że stary O’Nally dostanie szau: jego umiłowany pierworodny syn, porwany mu sprzed nosa, stracony dla świata polityki i palestry, w którym ojciec pragnął go zamknąć, zeswatany z jakąś chłopczycą. Tymczasem Sal zdawał się wręcz uspokojony: jego chłopak znalazł cel w życiu, był szczęśliwy, a co najważniejsze, nie zginął! W oczach troskliwego ojca były to wszystko niewątpliwe plusy. Nawet jednak troskliwi ojcowie prędzej czy później muszą się odsunąć. Odtąd Freddie będzie sam decydował o swoim losie, w takim stopniu, w jakim los człowieka zależy od niego samego.

Felix przerywa pakowanie, by zrobić szybki bilans. Słowo „obszarpany” nie całkiem oddaje stan jego garderoby – j e g o stan. Będzie musiał odwiedzić fryzjera i sprawić sobie lepsze zęby; już niedługo wybierze się na zakupy. Potrzebuje nowych ubrań, bo zamierza wypłynąć w rejs wycieczkowy.

Estelle załatwiła wszystko za niego. Wśród jej rozlicznych znajomych są też organizatorzy rejsów. Chwytaj moment! – powiedziała. Po tym wszystkim

należy mu się chyba odrobina relaksu? Będzie wylegiwał się w słońcu, odetchnie zdrowym morskim powietrzem.

Nic nie płaci: będzie musiał tylko wygłosić kilka pogadanek o swoich wspaniałych eksperymentach teatralnych w zakładzie karnym we Fletcher. Może nawet pokazać nagrania, jeżeli uzna to za stosowne; ludzie będą zachwyceni jego nowatorskim podejściem! A jeśli nie wolno mu ich pokazywać ze względu na prywatność aktorów, to niech przynajmniej opowie o swoich metodach pracy. Morze Karaibskie jest cudowne o tej porze roku, powiedziała. A w ogóle to ona też się wybiera. Będzie fajnie! Wspólne tańce na pokładzie i nie tylko.

Felix w pierwszej chwili się wzdragał. Statek wycieczkowy pełen starych ludzi, starszych nawet od niego, drzemiących na leżakach i tańczących w długich rzędach – tak sobie wyobrażał jeśli nie piekło, to przynajmniej czyściec. Stan zawieszenia gdzieś w pół drogi między życiem a śmiercią. Z drugiej jednak strony, co miał do stracenia? I tak zmierza ku śmierci, a skoro po drodze można dobrze zjeść...

Zgodził się więc, ale pod jednym warunkiem. Ośmioręki otrzymał przedterminowe zwolnienie, a on, Felix, nie ma sumienia – tak powiedział Estelle – zostawiać go samemu sobie. Podobno pierwszy dzień po wyjściu na wolność jest straszniejszy niż pierwszy dzień pobytu w więzieniu. Dlatego Ośmioręki musi popłynąć z nimi. Mógłby urozmaicić prezentacje Feliksa monologami Ariela, które zna na pamięć; jest urodzonym aktorem. A poza tym, kto wie, może na takim rejsie spotka jakiegoś wpływowego biznesmena, kogoś z branży nowoczesnych technologii, kto pozna się na jego talentach i wykorzysta jego potencjał twórczy. Chłopak zasłużył na odmianę losu; tyle się dla niego napracował.

Estelle, dzwoniąc bransoletkami, ścisnęła go za ramię: ich zażyłość oficjalnie osiągnęła ten poziom. Nie ma sprawy, powiedziała, promieniejąc. Pociągnie za odpowiednie sznurki. Skoro Ośmiorękiemu należy się szansa od życia, to ją dostanie, a dzięki morskemu powietrzu poczuje się naprawdę wolny.

Felix składa szatę z pluszaków: zabrać czy wyrzucić? Pod wpływem impulsu chowa ją do walizki. Weźmie ją w rejs, niech ubarwi i uwiarygodni jego prezentacje. Aura, która ją otaczała, przygasła, jak świąteczne iluminacje w środku dnia. Niedługo będzie już tylko pamiątką i niczym więcej. A oto i jego laska z lisią głową. Złamana. Nie jest już laską czarodziejską, lecz zwykłym kawałkiem drewna. Czy powinien ją pogrzebać w głębokościach ziemi?^[79] Nie, to zbyt teatralne. Zresztą nie ma już dla kogo grać.

– Żegnaj – mówi do niej – moja potężna sztuko.

Ogarnia go dreszcz zrozumienia: mylił się co do swojej *Burzy*, mylił się przez dwanaście lat. Celem jego obsesji nie było przywrócenie życia Mirandzie, lecz coś zgoła innego.

Sięga po srebrną ramkę ze zdjęciem. Oto Miranda, wesoło roześmiana na huśtawce, trzyletnia, uwięziona w przeszłości. Ale niezupełnie, bo przecież

jest z nim tutaj, patrzy, jak Felix szykuje się do opuszczenia lichej chatynki, która była jego, ich cełą. Blaknie już, traci kontury, ledwie ją widać. Zadaje mu pytanie. Czy żąda od niej, aby towarzyszyła mu przez resztę jego drogi?

Jak mógł być tak niemądry? Dlaczego tyle czasu trzymał ją na uwięzi? Zmuszał do posłuszeństwa? Jakże był samolubny! Oczywiście, że ją kocha, swoją najdroższą jedynaczkę. Lecz wie, czego ona pragnie – i jest jej to winien.

– Bądź wśród żywiołów wolna i szczęśliwa^[80] – mówi do niej.

I Miranda wreszcie taka jest.

Burza: streszczenie oryginału



Na wzburzonym morzu fale miotają statkiem. Na pokładzie są Alonzo, król Neapolu, jego brat Sebastian, doradca Gonzalo i syn Ferdynand, a także Antonio, książę Mediolanu, podczasy Stefano i błazen Trynkulo. Wśród bijących piorunów, mimo wysiłków Bosmana i załogi statek zaczyna tonąć, a pasażerowie boją się o życie. Scena ta jest zwykle odgrywana z udziałem powietrznego ducha Ariela, który pojawia się wśród lin i masztów.

Na brzegu pobliskiej wyspy piętnastoletnia Miranda boleje nad losem tonących, lecz jej ojciec, czarodziej Prospero, zapewnia ją, że nikomu nie stała się krzywda i że to wszystko dla jej dobra. Następnie wyjaśnia, dlaczego wywołał burzę. To on, a nie Antonio, jest prawowitym księciem Mediolanu. Ponieważ jednak zaprzętały go bez reszty studia nad magią, praktyczne sprawy rządzenia księstwem powierzył bratu, który zwietrzył okazję i zmówił się z politycznym wrogiem Prospera, Alonzem. Gdy ten ostatni najechał Mediolan, Prospero i trzyletnia Miranda zostali umieszczeni w dziurawej łodzi i wypchnięci na morze bez niczego poza ubraniami i księgami Prospera, dostarczonymi przez poczciwego Gonzala. Morze wyrzuciło ich na brzeg wyspy i tu spędzili dwanaście lat, mieszkając w skalnej pieczarze.

Teraz jednak sprzyjająca gwiazda i bogini Fortuna sprawiły, że wrogowie Prospera znaleźli się w jego zasięgu. Kazał więc rozpętać iluzoryczną burzę, która zagna ich na brzeg. Przyświecają mu dwa cele: zemsta i poprawa doli Mirandy.

Prospero kładzie córkę spać, przywdziewa czarodziejską szatę i wzywa swojego naczelnego ducha, Ariela. Ariel służy mu, ponieważ Prospero wyostał go z pnia sosny, w którym uwięziła go za nieposłuszeństwo wiedźma Sykoraks, chce jednak, aby czarodziej zwrócił mu wolność. Prospero

zarzuca mu niewdzięczność, lecz obiecuje, że jeśli – z pomocą Ariela – doprowadzi swój plan do końca, wówczas spełni jego prośbę. Następnie Ariel opisuje rozpętaną przez siebie „burzę”. Pasażerowie statku wylądowali na wyspie w trzech grupach: Ferdynand jest sam, Stefano i Trynkulo stanowią parę (chwilowo rozdzieloną), reszta królewskiej świty trzyma się razem.

Ariel otrzymuje kolejne polecenie: ma przybrać postać wodnej nimfy, widzialnej tylko dla Prospera, i odnaleźć Ferdynanda, który jest przekonany, że jego ojciec utonął. Za pomocą muzyki przywiedzie go do miejsca, w którym młodzieniec ujrzy Mirandę.

Prospero budzi córkę, a potem szuka swojego zniewolonego sługi, Kalibana, szpetnego i nieokrzesanego syna wiedźmy Sykoraks. Kaliban i Prospero obrzucają się wyzwiskami i oskarżeniami: Kaliban twierdzi, że Prospero zagarnął jego wyspę, Prospero wypomina mu, że próbował zgwałcić Mirandę. Kaliban żałuje, że tego nie zrobił i nie zaludnił wyspy małymi Kalibanami. Szczypany i dręczony przez duchy Prospera udaje się jednak po drewno na opał.

Ariel przyprowadza Ferdynanda, który jest oczarowany Mirandą, podobnie jak ona nim. Aby jednak szczęście nie przyszło za łatwo i Ferdynand nie traktował go zbyt lekko, Prospero wystawia chłopaka na próbę: rozbraja go za pomocą magii, oskarża o bycie uzurpatorem i zdrajcą, po czym oznajmia, że go uwięzi. Ferdynand odpowiada, że zniesie niewolę, o ile raz dziennie będzie mu dane spojrzeć na Mirandę.

Ariel odlatuje do królewskiej świty, by mieć na oku Alonza, Sebastiana, Gonzala, Antonia i pozostałych panów. Alonzo jest przekonany, że jego syn utonął, i rozpacza. Gonzalo usiłuje go pocieszyć, zachwala wyspę i opisuje utopijne społeczeństwo, które by na niej zbudował, gdyby nią władał. Antonio i Sebastian drwią z niego. Zjawia się Ariel i usypia Alonza i Gonzala; wtedy Antonio proponuje Sebastianowi, aby ich zamordowali, dzięki czemu Sebastian objąłby tron Neapolu. Ariel jednak w porę budzi śpiących, po czym wraca do Prospera, by zdać mu relację.

Kaliban, zbierając drewno, spostrzega zbliżającego się błazna Trynkula, bierze go za jednego z dokuczliwych duchów i chowa się pod sukmaną. Trynkulo, obawiając się nadciągającej burzy, także się pod nią chowa, mimo rybiego smrodu i towarzystwa potwora. Zaraz potem nadchodzi chwiejnym krokiem pijany podczaszy Stefano. Upija Kalibana, który postanawia czcić Stefana jak bóstwo i służyć jemu, a nie Prosperowi. Wyraża ten zamiar piosenką.

Ferdynand został przez Prospera zmuszony do pracy: musi taszczyć drewno. Zjawia się Miranda i namawia go, żeby odpoczął – ona go wyręczy. Wyznają sobie miłość i obiecują, że wezmą ślub. Prospero, który przygląda się temu z ukrycia, jest zadowolony.

Kaliban, Stefano i Trynkulo są coraz bardziej pijani. Po kłótni sprokurowanej przez Ariela Kaliban proponuje, aby zamordowali Prospera i uczynili Stefana królem wyspy, a Mirandę królową. Ariel za pomocą muzyki wywodzi ich na manowce. Kaliban uspokaja towarzyszy: na wyspie często rozlegają się straszne odgłosy.

Alonzo, Gonzalo, Sebastian i Antonio przerywają poszukiwania Ferdynanda, żeby odpocząć. Ukazują im się dziwne zjawy i zapraszają ich do suto zastawionego stołu, lecz gdy panowie chcą zasiąść do uczyty, jedzenie znika i zjawia się Ariel pod postacią harpii. Ostro gani Alonza, Antonia i Sebastiana za to, jak potraktowali Prospera, i daje do zrozumienia, że śmierć Ferdynanda jest karą. Trzej winowajcy wpadają w obłąd, a król Alonzo nie widzi sensu w dalszym życiu.

Prospero odwiedza Ferdynanda, uwalnia go i wyraża zgodę na jego ślub z Mirandą, pod warunkiem jednak, że nie dojdzie między nimi do przedwczesnego zbliżenia. Arielowi rozkazuje stworzyć kolejną iluzję: maskę [rodzaj przedstawienia – przyp. tłum.] z udziałem trzech bogiń, które obsypują młodych błogostawieństwami.

Święto przerywa Prospero, który przypomina sobie o spisku Kalibana. Wyjaśnia Ferdynandowi, że istoty, które widział, były duchami i zniknęły, tak jak wszystko inne na tym świecie, nietrwałe i ze snów utkane, musi kiedyś zniknąć.

Ariel opowiada Prosperowi, jak wywiódł w pole Kalibana i jego towarzyszy. Aby jeszcze bardziej ich spowolnić, Prospero i Ariel rozwieszają na ich drodze okazałe szaty. Stefano i Trynkulo chcą je ukraść, mimo że Kaliban ponagla ich do mordy. Na przeszkodzie stają im szczute przez Prospera i Ariela duchy pod postacią psów, które przeganiają złoczyńców.

Na rozkaz Prospera Ariel udaje się po świtę królewską. Gdy opowiada swojemu panu, jak bardzo cierpią, dodając, że budzą jego politowanie, Prospero, zaskoczony, że nawet duch powietrzny odczuwa litość, postanawia wziąć z niego przykład. Każe Arielowi wybawić nieszczęśników od obłądu. Później oznajmia, że nadszedł czas, by wyrzec się „topornej magii”, łamie więc czarodziejską laskę i topi księgę.

Ariel przyprowadza panów. Prospero wyrzuca Alonzowi, Antoniowi oraz ich współnikowi Sebastianowi zdradę, jakiej się wobec niego dopuścili, lecz im wybacza. Na boku ostrzega Antonia i Sebastiana, że wie o ich knowaniach przeciw królowi, lecz na razie zachowa to dla siebie.

Alonzo wciąż jest pogrążony w żalu po stracie syna. Prospero mówi, że on też stracił dziecko, a potem prowadzi króla do swojej „lichej chatynki”, w której Ferdynand i Miranda grają w szachy. Zdumiony i wdzięczny Alonzo błogostawi narzeczonym. Miranda nie może się nadziwić temu nowemu światu, pełnemu cudownych ludzi. Prospero zauważa, że są oni nowi dla niej. (On sam dobrze wie, jacy są naprawdę).

Ariel przyprowadza Bosmana, który oznajmia, że kiedy wraz z resztą załogi obudził się ze snu, królewski okręt stał pod żaglami, nieuszkodzony. Na końcu wchodzi Kaliban, Stefano i Trynkulo, przemoknięci i obolali. Dostają stosowną reprimendę i wyrażają skrucę. O Kalibanie Prospero mówi: „do tej mrocznej stwory ja się przyznaję”.

Zapadają decyzje o powrocie do Włoch i rychłym weselu. Prospero odzyska swoje księstwo. Miranda i Ferdynand zostaną w przyszłości królową i królem Neapolu. Na czas ich podróży Ariel zadba o pomyślne wiatry na morzu.

W krótkim epilogu Prospero wyjaśnia widzom, że ponieważ jego czary

przestały działać, będzie musiał pozostać na wyspie, chyba że publiczność okaże mu łaskę i uwolni go magiczną mocą oklasków.

Podziękowania



Pracą nad tą książką sprawiła mi ogromną przyjemność, również dlatego że mogłam się nacytać o Szekspirze i jego *Burzy*, a także o pożytkach z literatury i dramatu w zakładach karnych.

Szczególnie pomocne okazały się następujące książki i filmy:

Ekranizacja *Burzy* w reżyserii Julie Taymor z Helen Mirren w roli Prospery.

Inscenizacja *Burzy* w cyklu Globe on Screen z Rogerem Allamem w roli Prospera.

Inscenizacja *Burzy* zaprezentowana podczas Stratford Festival – którą miałam okazję oglądać na żywo – z Christopherem Plummerem w roli Prospera.

Generator przekleństw szekspirowskich (*Shakespeare Insult Generator*).

Sugestywna książka Davida Thomsona *Why Acting Matters*.

Esej Northropa Frye'a o *Burzy* w jego książce *On Shakespeare*.

Doskonałe i niezwykle przydatne wydanie *Burzy* w serii Oxford World's Classics pod redakcją Stephena Orgela.

Opowiadanie *Burze* Isak Dinesen ze zbioru *Anegdoty o przeznaczeniu*.

Książka *Worlds Elsewhere* Andrew Dicksona o tym, jak wystawiano Szekspira w różnych epokach i miejscach na świecie.

Literatura więzienna ma bardzo długą tradycję. Trochę ją poczytałam, pisząc powieść *Grace i Grace*, a ostatnio *Czarci pomiot*. Tym razem oprócz głośnych współczesnych tytułów, jak choćby *Orange Is the New Black*, interesowały mnie książki traktujące o tym, jak literatura i dramat są nauczane i odbierane w więzieniach. Wiele do myślenia dała mi lektura zbioru esejów *A Crowbar in the Buddhist Garden* Stephena Reida, a także niezwyklej powieści Rene Denfeld *The Enchanted*. Pomocna była mi książka *Running the Books*, w której Avi Steinberg opowiada o pracy więziennego

bibliotekarza, oraz *Shaking It Rough* Andreasa Schroedera. Budująco podziały na mnie wspomnienia Laury Bates *Shakespeare Saved My Life*. Cenna była też dla mnie wiedza o studiach dla więźniów organizowanych przez Bard College oraz przez inne uczelnie.

W tym miejscu muszę jednak zaznaczyć, że zakład karny we Fletcher jest oczywiście zmyślony. Wątpliwe, by istniało gdzieś takie samo więzienie, choć niektóre jego cechy można pewnie odnaleźć w innych placówkach.

Felix Phillips zawdzięcza swoje nazwisko nieżyjącemu Robinowi Phillipsowi, wieloletniemu dyrektorowi festiwalu teatralnego w Stratford w prowincji Ontario. Kto chciałby zobaczyć go w akcji, niech obejrzy znakomity dokument *Robin and Mark and Richard III*, w którym Phillips na oczach widzów przeobraża niepozornego aktora w mrozącego krew w żyłach Ryszarda.

Anne-Marie Greenland wcieliła się w Mirandę dzięki aukcji zorganizowanej przez Medyczną Fundację Opieki nad Ofiarami Tortur.

I wreszcie wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś o rozmowach z nieżyjącymi bliskimi – i różnych innych dziwnych doświadczeniach – odsyłam do książki Johna Geigera *Ten trzeci*.

Dziękuję moim dzielnym redaktorkom, Becky Hardie z Hogarth i Louise Dennys z Knopf Canada, które namówiły mnie, żebym opowiedziała coś więcej; także mojej adiustatorce Heather Sangster ze Strongfinish.ca. Dziękuję też mojej redaktorce Ellen Seligman z McClelland & Stewart, z którą współpracowałam przez dwadzieścia sześć lat; Ellen zmarła w marcu 2016 roku i nie zdążyła przeczytać tej książki.

Podziękowania zechcą przyjąć moi pierwsi czytelnicy: Jess Atwood Gibson, Eleanor Cook, Xandra Bingley, Vivienne Schuster i Karolina Sutton z Curtis Brown; Phoebe Larmore, moja długoletnia agentka w Ameryce Północnej; a także Ruth Atwood i Ralph Siferd.

Dziękuję Louise Court, Ashley Dunn i Rachel Rokicki z Penguin Random House.

Podziękowania zechcą też przyjąć: Devon Jackson, który pomagał mi z kwerendą na temat więzień; moja asystentka Suzanna Porter; Penny Kavanagh; V.J. Bauer, za projekt strony internetowej margaretatwood.ca; Sheldon Shoib i Mike Stoyan; Michael Bradley, Sarah Cooper i Jim Wooder; Coleen Quinn i Xiaolan Zhao; Evelyn Heskin; Terry Carman i Shock Doctors. Wreszcie pragnę szczególnie podziękować Graeme'owi Gibsonowi, staremu czarodziejowi (choć, na szczęście, nie o nim jest ta książka).

Źródła cytatów



Tytuł *Czarci pomiot* pochodzi z *Burzy* w przekładzie Piotra Kamińskiego.

[1] [W mrocznych] czeluś[ciach] minionego czasu – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[2] [Skutkuje dzielnie] czarów mych potęga – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, III.3.

[3] wyjcie, wyjcie! – *Król Lear*, tłum. Leon Ulrich, V.3.

[4] Władca chatynki lichej – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[5] [...] wśród samotnej wyspy – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, III.3.

[6] Wiedza tajemna – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[7] Sprowadź tu hołotę – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, IV.1.

- [8] Niechaj cię diabeł, bladolicy łotrze, przeklnie, byś szerniał – *Makbet*, tłum. Maciej Słomczyński, V.3.
- [9] Drogocenny, dziwny cud – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.
- [10] Królestwo w sam raz – tamże, III.3.
- [11] [Pod wpływem] gwiazd[y] pomyślności – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, I.2.
- [12] Pójdę z pszczołą kwiaty ssać, w kielichu pierwiosnka spać – tamże, V.1.
- [13] Pomniejsze duchy – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, III.3.
- [14] Spójrz, gdzie zatknięto głowę samozwańca przeklętą – *Makbet*, tłum. Maciej Słomczyński, V.9.
- [15] Coś mnie nagle w palcu rwie, znak, że ktoś zły zbliża się – tamże, IV.1.
- [16] Wyspa [zdaje się...] nieprzystępna – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, II.1.
- [17] [A pióro jego powietrznej nicości] imię i miejsce pobytu wyznacza – *Sen nocy letniej*, tłum. Leon Ulrich, V.1.
- [18] Przekleństwa z *Burzy* w tłumaczeniu Piotra Kamińskiego, Leona Ulricha i własnym.
- [19] cudzie! – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.
- [20] [Bądź] niewidzialny dla każdej źrenicy – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, I.2.

- [21] Wyspa dźwięczy, szemrze, gada – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, III.3.
- [22] Wy, duchy [...] choć wątła moc wasza – tamże, V.1.
- [23] Z myślą o tobie wszystko [uczyniłem] – tamże, I.2.
- [24] To moja wyspa – tamże.
- [25] Strasznie durny potwór – tamże, II.2.
- [26] Aktorzy moi – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, IV.1.
- [27] Nasze zabawy [będą] skończone – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, IV.1.
- [28] Słuchaj, ale wyją! Znęcajcie się nad nimi bez litości. Mam teraz w ręku wszystkich moich wrogów – tamże.
- [29] Godna admiracji Mirando – tamże, III.1.
- [30] Już nie pójdę na ryb połów – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, II.2.
- [31] Niejedno dziewczę chętnym ścigał okiem – tamże, III.1.
- [32] [Chwała ci, mistrzu, witaj] wielki panie – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.
- [33] [Ty,] niedościgła – tamże, III.1.
- [34] [Nim ci wyjaśnię,] co nastąpi teraz – tamże, I.2.

[35] Mury kamienne nie czynią więzienia / Ni klatki żelazne pręty – Richard Lovelace, *Do Altei, z więzienia*, tłum. własne.

[36] [...] myśl jest wolna – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, II.3.

[37] Być w pogotowiu – tylko to ma sens – *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak, V.2.

[38] [...] skąd i chytre szczury uciekły – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[39] Czarodziejskim sposobem – tamże, III.3.

[40] [Przecież] tu jest piekło. Ja z niego wcale nie wyszedłem – Christopher Marlowe, *Tragiczna historia doktora Fausta*, tłum. Julian Kydryński.

[41] [Córko ukochana,] która nie wiesz, kim jesteś – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[42] Wież [e] z głowami w chmurach – tamże, IV.1.

[43] 187 Dzielny duchu! – tamże, I.2.

[44] Monolog Prospera (IV.1) w przekładzie Piotra Kamińskiego.

[45] Nowy, wspaniały świat, gdzie tacy ludzie! / Nowy – dla ciebie – tamże, V.1.

[46] Zbliź się tu, mój Arielu, przybywaj – tamże, I.2.

[47] Monolog Ariela – tamże.

[48] [...] toporn[ej] magi[i] [zrzekam się teraz] – tamże, V.1.

[49] [...] próbk[ą] mojej sztuki – tamże, IV.1.

[50] Pełza jak we śnie mój duch ociężały – tamże, I.2.

[51] Brawo, ptaszku! – tamże, IV.1.

[52] Łaskawa Fortuna, dziś mi przychylna – tamże, I.2.

[53] Nie bój się; wyspa pełna jest [rozgłosów] – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, III.2.

[54] Dziś chwila nadeszła – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[55] W piekle pusto, bo wszystkie diabły zbiegły na wasz statek! – *Burza*, tłum. Stanisław Barańczak, I.2.

[56] Pieśń Ariela (I.2) w przekładzie Piotra Kamińskiego.

[57] Monolog Ferdynanda (I.2) w przekładzie Piotra Kamińskiego.

[58] Wiedz, że wśród ludzi on jest Kalibanem – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, I.2.

[59] Istny labirynt – tamże, III.3.

[60] To mi łebski duszek! – tamże, V.1.

[61] Czary nie słabną – *Burza*, tłum. Stanisław Barańczak, V.1.

[62] [Kształty, gesty] władają [tak] pięknie mową bezgłośną – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, III.3.

[63] Wy trzej grzesznicy – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, III.3.

[64] Ani zmarszczki gniewu więcej – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.

[65] Gdybym był człowiekiem, litość bym uczuł – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, V.1.

[66] Gdy ty, z powietrznych ulepiony cząstek, nad ich cierpieniem czujesz miłosierdzie, jakżebyś silniej nie czuł ich boleści – tamże.

[67] Śpieszę po nich, panie – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.

[68] Czy mnie kochasz, mistrzu? – tamże, IV.1.

[69] Wesoło się żyje, wesoło – *Burza*, tłum. Stanisław Barańczak, V.1.

[70] Niech wzniosłe dźwięki, najlepsza pociecha skłębionych myśli, uleczą [twój umysł] (bezradn[y] wciąż), co w czas[ce] się gotuj[e] – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.

[71] To rana nieuleczalna – tamże.

[72] Mój miły panie, szachrujesz! / Przenigdy. Za żadne skarby, ukochana – tamże.

[73] Nad ślepą zemstą wyższe przebaczenie – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, V.1.

[74] We krwi tak głęboko tonę, że już nie mogę cofnąć się ni zboczyć, iść wstecz nie mogąc, muszę naprzód kroczyć – *Makbet*, tłum. Maciej Słomczyński, III.4.

[75] Do tej mrocznej stwory ja się przyznaję – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.

[76] Początek piosenki Kalibana (II.2) w przekładzie Leona Ulricha.

[77] „Niech mnie tu wasze nie wiążą zaklęcia” i pozostałe cytaty z epilogu *Burzy* w przekładzie Leona Ulricha.

[78] Wy, duchy wzgórz i jezior, rzek i gajów – *Burza*, tłum. Piotr Kamiński, V.1.

[79] [...] w głębokościach ziemi [ją zagrzebię] – *Burza*, tłum. Leon Ulrich, V.1.

[80] Bądź wśród żywiołów woln[y] i szczęśliw[y] – *Burza*, tłum. Stanisław Barańczak, V.1.



projekt
SZEKSPIR

współcześni uznani autorzy
dramaturg wszech czasów
uniwersalne historie opowiedziane na nowo

- ZIMOWA OPOWIEŚĆ • Jeanette Winterson
- KUPIEC WENECKI • Howard Jacobson
- POSKROMIENIE ZŁOŚNICZY • Anne Tyler
- BURZA • Margaret Atwood
- MAKBET • Jo Nesbø
- OTELLO • Tracy Chevalier
- HAMLET • Gillian Flynn



Czarci pomiot

Felix, reżyser teatralny, zostaje bezceremonialnie usunięty ze stanowiska dyrektora artystycznego festiwalu w Makeshiweg.

Odcina się od świata. Gdy po latach życia w samotności podejmuje się prowadzenia zajęć teatralnych w więzieniu, niespodziewanie nadarza się okazja do zemsty...

Burza w interpretacji Margaret Atwood skrzy się od intrygi i zachwyca pisarskim rozmachem.



HOGARTH
SHAKESPEARE



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5642-6

EAN 9788327156426

U.WD.SZE005.1.01.01

Patron medialny PROJEKTU SZEKSPIR

ams